

Masterton Graham

***Wendigo***

Z angielskiego przełożył JĘDRZEJ ILUKOWICZ

W sercu tej nieujarzmionej dziczy spotkali się z czymś niewyobrażalnie prymitywnym. Czymś, co przetrwało mimo ogromnego postępu uczynionego przez ludzkość, odsłaniając pierwotne oblicze życia. On widział w tym wszystkim przypomnienie prehistorycznych czasów, kiedy sercami ludzi władały potężne i prymitywne przesady. Czasów, gdy siły przyrody nie były jeszcze ujarzmione, a uniwersum naszych przodków nadal nawiedzały Moce. Aż do dziś uważa, iż owe, jak je określa - „dzikie i straszliwe Potęgi, czające się w głębi dusz ludzkich”, nie są z natury złe, lecz instynktownie wrogie wobec całej ludzkości.

Algernon Blackwood, *Wendigo*

Od autora - wskazówki wymowy i akcentowania:

Wendigo - „Łen-DI-go”

Mdewakanton - „Mde-ŁA-kanton”

Wayzata - „ŁAJ-zata”

## ROZDZIAŁ 1

Lily właśnie zasypiała, gdy niespodziewanie gdzieś z parteru domu dobiegło przytłumione szczęknięcie. Brzmiało to jak odgłos otwieranych drzwi. Po chwili usłyszała głuchy łomot, jakby ktoś po ciemku wpadł na mebel.

Uniosła głowę z poduszki i zmarszczyła brwi, pilnie nasłuchując. Dobrze pamiętała, że zamknęła wszystkie zamki i włączyła alarm. A może to jej czarny labrador Sierżant usiłował wydostać się z pralni? Miał już dziewięć lat i był hałaśliwy; niekiedy tak głośno skowyczał przez sen, że budził sam siebie.

Lily czekała, wciąż nasłuchując, ale dom był pogrążony w ciszy, od czasu do czasu przerywanej bulgotem dochodzącym z rur centralnego ogrzewania. Była tak wyczerpana, że bolały ją mięśnie karku. Pragnęła jedynie przyłożyć głowę do poduszki i ponownie zasnąć.

I wtedy usłyszała kolejny łomot, a tuż po nim czyjeś kaszlnięcie.

Cholera. To chyba nie Sierżant, pomyślała. Może to włamywacze?

Włączyła nocną lampkę ozdobioną wzorkiem z maków. Budzik pokazywał godzinę 2.17. Zwykle nie kładła się tak późno, lecz po podaniu kolacji Tashy i Sammy'emu ponad cztery godziny przesiedziała przy stole w jadalni, przygotowując ofertę handlową Indian Falls Park, inwestycji mieszkaniowej o powierzchni stu czterdziestu hektarów, mieszczącej się przy Ridge Road w Edina, z domami po dwa i pół miliona dolarów każdy.

Wyjęła z szuflady nocnego stolika puszkę gazu pieprzowego, po czym zwiesiła nogi z łóżka i sięgnęła po jasnoczerwony atłasowy szlafrok.

W lustrzanych drzwiach szaf dostrzegła siebie, stojącą niezdecydowanie przy drzwiach sypialni, z krótkimi zmierzwionymi blond włosami i podpuchniętymi z niewyspania oczami. Może powinna zamknąć się w sypialni i zadzwonić na policję, powiedziała do siebie w myślach.

Nie - zdecydowała po chwili. Jeżeli to tylko Sierżant, wyjdiesz na rozhisteryzowaną idiotkę. Poza tym musiała przecież zadbać o bezpieczeństwo dzieci, musiała sprawdzić, co się dzieje.

Otworzyła drzwi i wyszła na otoczony balustradą podest. Zapaliła duży szklany żyrandol wiszący nad schodami.

- Jest tam kto? - zawołała, starając się, by w jej głosie nie było słycać lęku. Głupie pytanie, pomyślała natychmiast. Jeżeli ktoś tam faktycznie był, to co niby miał odpowiedzieć? „Spokojnie, paniusiu, to tylko my, włamywacze”?

Ostrożnie przechyliła się przez poręcz schodów i krzyknęła:

- Ostrzegam, mam broń i umiem strzelać! Odpowiedziała jej cisza, spowijająca cały dom. Odczekała jeszcze chwilę i ruszyła w stronę pokoju Tashy. Na drzwiach jej sypialni widniała ceramiczna tabliczka, przedstawiająca laleczkę Bratz o surowej minie, a poniżej widniał napis: „Absolutny zakaz wstępu!”. Lily otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Spod kraciastej różowej kołdry wystawało jedynie kilka kosmyków ciemnobrązowych włosów. Ze wszystkich półek pokoju spoglądało na nią z niemą wrogością co najmniej czterdzieści lalek Bratz i Barbie.

Przeszła do pokoju Sammy’ego. Spał w poprzek łóżka, nogawki jego piżamy w zielono-niebieską szachownicę były podwinęte aż za kolana i gwizdał przez zapchany nos. Miał dopiero osiem lat, ale już bardzo przypominał Jeffa: szeroka nordycka twarz, brwi tak jasne, że niemal przezroczyste... Lily czasem miała wrażenie, że Jeff zostawił swoją młodszą kopię, by jej pilnowała.

Przekradła się na palcach pomiędzy stojącymi na podłodze wozami strażackimi i okaleczonymi Gorillazoidami, by cmoknąć syna w policzek. Sammy poruszył się niespokojnie, podniósł rękę i wymamrotał:

- Hmm, nie wracaj tu już nigdy.

- Co? - zdziwiła się Lily. - Co powiedziałeś?

W odpowiedzi chłopiec przekręcił się na drugi bok, owijając prześcieradłem. Lily uświadomiła sobie, że mówił przez sen.

Sięgnęła ręką, by dotknąć pleców syna. Boże! Nawet w dotyku przypominał Jeffa. Wycofała się na palcach i zamknęła za sobą drzwi.

\*\*\*

Ponownie stanęła na podeście i nasłuchiwała przez dłuższą chwilę. Na dworze zerwał się wiatr, słyszała, jak gałęzie rosnącego przy domu dębu stukają o drewnianą elewację z natarczywością starego żebraka. Może powinna sprawdzić, co się dzieje na parterze?

Ruszyła boso szerokimi drewnianymi schodami. Wzdłuż nich, na ścianie, wisały oprawione fotografie jej, Jeffa i dzieci. Psa również. U samego podnóża schodów wisało największe zdjęcie, na którym cała rodzina stała na starym kamiennym moście w Marine-on-St-Croix. Lily wraz z Tashą i Sammym wychylała się przez balustradę, patrząc na płynącą wodę. Jeff z opuszczoną głową stał jakieś dwadzieścia metrów dalej, jakby nie był członkiem rodziny.

Dotarła korytarzem aż pod drzwi wejściowe. Leżący przed nimi czerwonepurpurowy dywanik z frędzlami był pośrodku sfałdowany, jakby ktoś się na nim potknął. Ale drzwi wejściowe były zamknięte i nic nie wskazywało, by ktoś usiłował je sforsować.

Przeszła do kuchni i włączyła światła - zamigotały kilkakrotnie, nim zapłonęły. Kuchnia była urządzona w stylu Shaker, z dębowymi frontonami i stołem-wyspą na środku, również wykończonym dębowymi panelami. Zobaczyła Sierżanta, stojącego w pralni - przez drzwi ze szkła młotkowego nie przypominał psa, lecz płynną plamę czerni. Nie zaszczekał, wydał z siebie tylko pełne niezadowolenia fuknięcie.

Lily otworzyła drzwi pralni.

- Co się stało, piesku? Znów miałeś zły sen? Gonieś króliki i nie mogłeś ich złapać?

Wymasowała labradorowi uszy. Zdawała sobie sprawę, że Sierżant jest już bardzo stary i schorowany, i że powinna pomyśleć o jego uspieniu. Ale kupił go jej Jeff, gdy tylko się pobrali. Sierżant był ostatnim żywym wspomnieniem tamtych dni - najszcześniejszych i najbardziej szalonych. Wtedy wierzyła, iż będą z Jeffem aż do starości, „póki śmierć ich nie rozłączy”.

Nalała psu świeżej wody do miski, po czym kazała mu położyć się w jego koszu. Sierżant posłuchał, spoglądając na swoją panią smutnymi bursztynowymi ślepiami.

- Dooobry pies... Czemu nie śnisz o żółwiach? Z pewnością je złapiesz.

\*\*\*

Wychodząc z kuchni, usłyszała, że wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Do kołatania dębowych gałęzi o zewnętrzną ścianę dołączyło skrzypienie huštawki, wiszącej na werandzie z tyłu domu. Skrzypu-skrzyp, skrzypu-skrzyp. Zupełnie jakby ktoś się na niej huštał... a może poruszało ją samo wspomnienie czyjejś obecności?

Lily nie wierzyła w duchy, pracowała jednak w handlu nieruchomościami wystarczająco długo, by dobrze wiedzieć, że w niektórych domach duchy właścicieli przebywały jeszcze długo po ich wyprowadzce... albo śmierci.

Przeszła pod szerokim łukiem prowadzącym do pokoju dziennego. Po obu stronach znajdowały się łamane drzwi z mahoniu. Lily rzadko je zamykała. Pokój tonął w ciemnościach - zasłony z motywami roślinnymi były szczelnie zaciągnięte, więc mogła dostrzec jedynie mroczne zarysy krzeseł i kanap.

Tutaj też nikogo nie było. Pewnie to przeciąg postukiwał drzwiami. A może tylko zdawało jej się, że coś słyszy, gdy zasypiała? W tych szczególnych chwilach między snem a jawą już nieraz odnosiła wrażenie, że obok niej leży Jeff. Raz nawet była niemal pewna, że czuje jego oddech na ramieniu.

\*\*\*

Odwróciła się z zamiarem powrotu na piętro i wtedy w łukowatym przejściu ujrzała dwie wielkie ciemne postacie.

Wrzasnęła cienko i odskoczyła do tyłu, potykając się przy tym.

Obie postacie były odziane w czarne skórzane płaszcze i dżinsy. Miały na twarzach przezroczyste maski z celulozoidu, nadające im wygląd ludzi z ciężkimi poparzeniami twarzy. Wyższy z osobników miał na głowie dziwną rogatą czapkę.

- Cholera jasna! - krzyknęła Lily, bardziej zaskoczona niż zdenerwowana. - Kim do cholery jesteście i co do cholery robicie w moim domu?

Osobnik z rogami zbliżył się do niej o krok i uniósł dłoń.

- Pani Blake, nie chcieliśmy pani przestraszyć. - Miał gruby, ochryply głos, charakterystyczny dla nałogowych palaczy.

- Kim jesteście? Skąd wiecie, jak się nazywam?

- Wiemy o pani wszystko, pani Blake. Wiemy, gdzie pani pracuje, gdzie pani dokonuje prezentacji, dokąd pani wychodzi w czasie przerw na lunch...

- Co takiego?

- Ależ tak, dobrze wiemy, co pani wyprawia razem z tym Dane'em. Myślała pani, że ujdzie jej to na sucho? Że nikt nie odkryje pani schadzek? Oj... zła z pani kobieta, pani Blake, bardzo zła.

Lily poczuła, że ogarnia ją strach.

- Idźcie stąd. Zadzwońłam już na policję.

- Jakoś w to nie wierzę, pani Blake. W każdym razie zrobimy to, po co tu przyszliśmy.

Na pewno zdążymy przed przyjazdem policji.

Postać z rogami podeszła bliżej. Lily wycofała się za kanapę i uniosła rękę z puszką gazu.

- Nie podchodź do mnie. Ostrzegam!

- Przyszliśmy tu, by dać pani to, na co sobie pani zasłużyła.

- Zbliź się tylko o krok... - zaczęła Lily, lecz mężczyzna błyskawicznie przeskoczył nad oparciem kanapy, przewracając po drodze mosiężny kwietnik z hiacyntami. Chwyił Lily za rękę, a gdy chciała prysnąć mu gazem w twarz, wykręcił jej palce tak mocno, że upuściła pojemnik na podłogę.

Lily chodziła na kurs samoobrony, spróbowała więc wyrwać się, zamarkować cios i kopnąć napastnika w krocze. Mężczyzna był jednak za silny i za ciężki. Wykręcił jej rękę do tyłu i zmuszał do pochylania się tak długo, aż wreszcie wtłoczył jej twarz w pleciony dywan. Lily mogła jedynie dyszeć z wysiłku i bólu.

- Czy wie pani, kim pani jest, pani Blake? Czarownicą. A wie pani, jak karze się czarownice?

- Puść mnie! - wyjęczała błagalnie. - Słuchaj, mam w domu pieniądze, w gotówce. Możecie je sobie zabrać!

- Uwłacza pani mojej godności! Mam sprzeniewierzyć się moim zasadom? - zapytał napastnik. - Myśli pani, że jestem zwykłym włamywaczem? Jestem tu, by dać pani to, na co pani zasługuje. Właśnie po to tu przyszedłem i zaraz to zrobię!

- Weźcie moją biżuterię. Błagam! Mam przecież dzieci!

- Ha! Teraz martwi się pani o dzieci! Trzeba było o nich pomyśleć, gdy podrygiwała pani na łożku wodnym z Robertem Dane'em!

- Kim wy jesteście, do cholery? - wydyszała Lily. - Kto was tu przysłał?

Mężczyzna pochylił się, całym ciężarem napierając na jej plecy. Miała wrażenie, że zaraz pękną jej żebra. Kiedy znowu się odezwał, jego usta znajdowały się tuż przy jej uchu. Głos zza maski był przytłumiony i beznamiętny.

- Bóg nas tu przysłał, pani Blake. Przysłał nas Bóg, abyśmy mogli dokonać zemsty w Jego imieniu.

Tymczasem drugi osobnik obszedł kanapę i obaj podnieśli ją z podłogi.

Jeszcze nigdy nie czuła się taka bezbronna. Jej serce tłukło się niczym oszalały ze strachu ptak.

- Tasha! - krzyknęła, lecz jej głos był tak zdławiony, że córka nie mogła jej usłyszeć. - Tasha, dzwoń na policję!

- Podobno już pani to zrobiła - syknął mężczyzna z rogami. - Czyżby chciała nas pani oszukać?

- Puśćcie mnie, proszę! - błagała Lily. - Puśćcie mnie, a nikomu nigdy o tym nie powiem, przyrzekam na życie swoich dzieci!

Rogaty chwycił poły jej szlafroka i rozdarł go.

- To niezbyt interesująca propozycja, pani Blake. Kiedy już zrobimy to, po co tu przyszedliśmy, i tak pani nikomu o tym nie powie.

Zdarł z niej szlafrok i cisnął go na podłogę, pozostawiając Lily tylko w białym długim podkoszulku.

- Proszę, nie rób mi krzywdy. Pomyśl o moich dzieciach.

- Pani naprawdę nie rozumie... - zaczął Rogaty. Pochylił się nad Lily i celuloidowa maska znalazła się niecałe dziesięć centymetrów od jej twarzy. Oczy mężczyzny błyszczały niczym czarne chitynowe pancerzyki. Śmierdział papierosami, cebulą i czymś chemicznym, jakby impregnatem.

- Jesteśmy tu właśnie z powodu dzieci.

- Co?!

- Wygrała pani sprawę o opiekę nad nimi, prawda? Jest pani ich jedyną opiekunką. Ale zajmowanie się dziećmi to duża odpowiedzialność. Trzeba się zachowywać moralnie. Świecić przykładem. Nie palić, nie przeklinać, nie mówić źle o swoim byłym małżonku i nie cudzołożyć na prawo i lewo z facetami, którzy mu do pięt nie sięgają.

Lily wpatrywała się w niego z przerażeniem.

- To Jeff was przysłał? O to chodzi?

- Pani Blake, musi pani jedynie wiedzieć, iż dostanie pani to, na co zasłużyła.

Lily wrzasnęła i zaczęła się dziko szamotać, próbując wyrwać się z rąk intruzów. Była tak przerażona i wściekła, że pociemniało jej przed oczami.

- Puśćcie mnie! Puszczajcie, skurwysyny! Puszczajcie! Osobnik z rogami zamachnął się i trzasnął ją w twarz tak mocno, że aż zadzwoniło jej w uszach. Natychmiast uszła z niej cała energia. Poczula, jak puchną jej usta, a nabrzmiewająca lewa powieka zaczyna zakrywać jej oko.

- Niech pani się nie miota - upomniał ją Rogaty. - Opór nic pani nie pomoże.

- Nic już pani nie pomoże - dodał drugi napastnik, po czym zachichotał upiornie.

\*\*\*

Na wpół zanieśli, na wpół zawlekli Lily do kuchni. Za szklanymi drzwiami pralni pojawił się Sierżant. Stał za szybą, wściekły i cichy, obserwując niewyraźne kształty mężczyzn okrążających stół w kuchni. Zaskomlał, ale nie zaszczekał.

Postać z rogami stanęła nad Lily i przemówiła:

- Musi pani zrozumieć, że wypełniamy jedynie swój święty obowiązek. Osobiście nic do pani nie mamy. Nie chcemy, by wróciła pani z zaświatów i nas straszyla.

Lily milczała. Miała zbyt spuchnięte i zdrętwiałe usta, by móc odpowiedzieć.

Rogaty odczekał chwilę, po czym znów się odezwał:

- Niech pani na siebie spojrzy! W tej koszulce wygląda pani jak czarownica gotowa na spotkanie z Bogiem.

Lily zadygotała. Drugi mężczyzna, ten, który trzymał ją za ramiona, ponownie zaniósł się chichotem.

Rogaty przysunął jedno z kuchennych krzeseł i pchnął ją na nie. Z kieszeni płaszcza wyciągnął zwój sznura do bielizny, po czym przywiązał Lily do krzesła - tak mocno, że sznur werznął jej się w ciało.

- Nie skrzywdzisz moich dzieci, prawda? - wykrztusiła z trudem.



- A czy wyglądam na takiego, co krzywdzi dzieci? - odpowiedział. - Niech mi pani wierzy, jest pewna różnica między boską zemstą i okrucieństwem.

- Tylko spróbuj skrzywdzić moje dzieci, a przysięgam na Boga, że wrócę i będę cię straszyć dzień i noc, aż do końca twojego parszywego marnego życia!

Rogaty nie odpowiedział. Przemierzył kuchnię i zjrzał do lodówki, wyciągnął z niej dużą butlę wody mineralnej i podszedł do Lily, otwierając ją.

- Wie pani, dlaczego pławiono czarownice w wodzie? - zapytał, po czym wyjaśnił: - Z trzech powodów. Po pierwsze, miały się przyznać do konszachtów z diabłem. Po drugie, aby sprawdzić, czy wypłyną, czy też utoną. Jeżeli wypływały, oznaczało to, że woda, stworzona przez Boga, nie chce ich przyjąć, i był to oczywisty dowód winy. A po trzecie dlatego, żeby ich ubrania zamokły i paliły się wolniej, gdy już trafiły na stos. Wtedy ich męki trwały o wiele dłużej.

- Co?! - Lily nie bardzo pojmowała, o czym mężczyzna mówi.

Rogaty uniósł butlę nad jej głowę, obrócił do góry dnem i opróżnił. Spływająca woda moczyła jej włosy, twarz i podkoszulek. Lily z trudem łapała oddech.

Mężczyzna cisnął pustą butlę w kąt, po czym skinął na swojego towarzysza. Złapali obaj krzesło, na którym siedziała Lily, podnieśli je i umieścili na stole pośrodku kuchni.

- Co wy chcecie mi zrobić? - Siedząc tak wysoko, czuła się jeszcze bardziej bezbronna.

- Jest pani czarownicą, a to właśnie najlepszy sposób rozprawienia się z czarownicami. W każdym razie najbardziej zbliżony do oryginału. Dzisiejsze domy są doskonale wyposażone, lecz niestety w żadnym z nich nie ma stosu do palenia wiedźm, prawda?

Drugi mężczyzna wyszedł z kuchni i po chwili wrócił z zielonym plastikowym kanistrem na benzynę. Lily słyszała, jak w środku chlupocze paliwo.

- Och, Boże!

- Taaak... to chyba dobry moment, by poprosiła pani Boga o przebaczenie. Przecież to pani ostatnie chwile.

- Chyba mnie nie spalicie? Proszę, nie palcie mnie. Już lepiej mnie zastrzelcie.

- Eeee... to byłoby raczej trudne, bo nie mam przy sobie broni. Mój kolega też nie.

- No to mnie uduście, na litość boską! Tylko mnie nie palcie. Nie wytrzymam tego.

- Taaak... podejrzewam, że to dość bolesne. Ale tak szczerze, pani Blake, czyż pani na to nie zasługuje?

Lily chciała spróbować przemówić Rogatemu do rozsądku, ale ze strachu zaczęła tak szybko oddychać, że nie mogła wykrztusić ani słowa. Patrzyła ze zgrozą, jak drugi mężczyzna otwiera kanister, po czym rozpryskuje jego zawartość na podłodze wokół wysepki i polewa jej drewniane boki. Smród benzyny odurzał, powietrze zaczęło drżeć od oparów i wszystko nagle wydało się jej mirażem. Usłyszała błaganie jakiejś kobiety:

- Proszę... nie róbcie tego.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że to jej własny głos. Zdziwiła się, że mówi tak spokojnie, zupełnie jakby cała ta sytuacja jej nie dotyczyła, jakby to jakaś inna Lily Blake mówiła w jej imieniu.

- Jeżeli przyszlście od Jeffa, jeżeli uważa, że źle opiekuję się dziećmi, to zawsze możemy się dogadać. Porozmawiam rano z prawnikiem...

Rogaty milczał. Przesunął się od wysepki ku drzwiom, a jego towarzysz, pochylony, wycofywał się, wylewając benzynę na podłogę.

- Nie ujdzie to wam na sucho - oświadczyła Lily. - I jeżeli to Jeff was nasłał, jemu też to nie ujdzie na sucho.

Obydwaj mężczyźni wycofali się na korytarz. Rogaty wyjął z kieszeni tanią zapalniczkę i zapalił ją. Zamigotał płomyk, a jego odblaski sprawiły, że maska intruza uśmiechnęła się szeroko.

- Popelniasz wielki błąd - powiedziała Lily.

## **ROZDZIAŁ 2**

Benzyna zapaliła się z łagodnym „pyfff”, pomarańczowe płomienie popędziły po podłodze i zapląsały dookoła kuchennej wysepki niczym grupa płonących klaunów. Lily poczuła, jak fala gorąca opala jej twarz i skręca włoski w nozdrzach.

Ogień szalał bezgłośnie. Wystarczyło kilka sekund, by zużył całkowicie tlen wewnątrz powstałego wokół stołu kręgu płomieni. Lily próbowała złapać oddech, lecz powietrze było tak gorące, że zacisnęła usta i starała się ich więcej nie otwierać. Poczowała zapach przypalonych włosów, dostrzegając jednocześnie, jak jej przedramiona czerwienieją od żaru.

Sierzant rozszczeakał się na całe gardło i jak szalony miotał się za drzwiami pralni. Lily była całkowicie świadoma tego, co się z nią dzieje, i dziwnie spokojna.

Muszę za wszelką cenę wydostać się z tego ognia, pomyślała.

Dębowe okładziny stołu, pokryte woskiem, płonęły już całe - skwiercząc i wydzielając gęsty czarny dym. Lily uświadomiła sobie, że prawdopodobnie zdąży się udusić, nim spłonie.

Mogła uczynić tylko jedną rzecz - przyciągnęła mocno głowę do piersi, a potem całym ciałem rzuciła się do tyłu. Krzesło zakotyło się, odchyliło... ale nie przewróciło.

Musi próbować dalej. Pochyliła głowę i znów targnęła się do tyłu. Przez chwilę odchylone krzesło balansowało na dwóch nogach, po czym Lily gruchnęła razem z nim na podłogę kuchni, uderzając potylicą o terakotę.

Ogień wciąż tańczył wokół kuchennej wysepki, lecz płomienie na podłodze niemal już się wypaliły. Lily, parząc sobie stopę, kopniakiem odsunęła się od płonącej szafki, po czym przekręciła się razem z pogruchotanym krzesłem na lewy bok. W końcu odturlała się od ognia i wyładowała prawie pod kuchennymi drzwiami.

Była cała obolała, na wpół przytomna od uderzenia głową o podłogę i dygotała ze strachu. Choć Sierżant nadal wściekle ujadął, a alarm przeciwpożarowy pisał przeciągle, nikt się nie pojawiał. Bardzo ją to zaniepokoiło - jeżeli Tasha i Sammy wciąż byli w domu, cały ten jazgot powinien ich dawno obudzić i z pewnością by sprawdzili, co się dzieje na dole. Miała nadzieję, że te indywidua w czerni nie zrobiły nic złego dzieciom.

Kuchenna wysepka wciąż płonęła, rzygając iskrami. Po chwili dębowy blat się rozpadł, a ze znajdującej się pod nim szafki wypadły dwie szuflady. Na podłogę spłynął deszcz sztućców.

- Tasha! Sammy! - wychrypiała Lily. - Tasha!

Było jej obojętne, czy mężczyźni w czerni wciąż są w domu i czy nie przyjdą jej wykończyć, gdy usłyszą wołanie. Teraz obchodziło ją tylko bezpieczeństwo dzieci.

Krzyknęła ponownie, lecz nikt nie odpowiedział. Ogień już właściwie dogasał, ale za to ze zgliszcz unosiło się coraz więcej dymu. Lily podniosła nadgarstki do ust i zaczęła zębami rozsupływać sznur. Rogaty związał jej ręce bardzo mocno - gryzła węzły tak długo, aż zaczęły jej krwawić dziąsła. Na szczęście węzeł nie był skomplikowany i udało jej się w końcu go rozluźnić. Po kilku minutach rozwiązała pęta w pasie oraz wokół kostek i wreszcie mogła niepewnie stanąć na nogach. Przekuśtykała do drzwi pralni i wypuściła psa. Sierżant, już cichy i wyraźnie zmartwiony, obiegł ją, machając ogonem.

- Spokój, piesku - przykazała mu Lily. - Cicho. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Ani śladu intruzów.

Odczekała chwilę, po czym, nadal kuśtykając, podeszła do schodów. W dużym lustrze w korytarzu ruszyła ku niej jakaś okropna postać.

Lily zatrzymała się przed swoim odbiciem. Policzki i czoło miała przypieczone na różowo, a brwi zwęglone, co nadawało jej twarzy dość dziwny wygląd. Podkoszulek był

nadpalony, zaś stopy opuchnięte od poparzeń. Włosy po prawej stronie głowy zamieniły się w zwęglone grudy.

Kaszłąc, weszła na schody i dotarła do pokoju Tashy. Drzwi były uchylone.

- Tasha?

Włączyła światło. Kołdra leżała w nogach pustego łóżka. Lily, wciąż kaszłąc, przeszła do pokoju Sammy'ego. Jej syn też zniknął.

Oparła się plecami o ścianę. To musiała być sprawka Jeffa. Któż inny mógłby tak jej nienawidzić i zarazem pragnąć jej dzieci?

Poszła do sypialni i podniosła słuchawkę. Nadal się trzęsła. Jej palce zostawiały na telefonie tłuste czarne plamy.

- Dzwonię na policję - oświadczyła głośno. - I po straż. Zobaczywszy swoje odbicie w lustrzanych drzwiach szafy, dodała:

- I po pogotowie.

\*\*\*

Otworzyła oczy. Był ranek. Przy łóżku siedziała jej siostra Agnes. Uśmiechała się. Szpitalny pokój, oświetlony promieniami październikowego słońca, pomalowany był na najbledszy z możliwych odcieni błękitu. Na parapecie stał wielki szklany wazon, pyszniący się bukietem białych i żółtych róż.

Lily zdjęła z twarzy maskę tlenową i spróbowała usiąść.

- Agnes... - zaczęła, chrypiąc.

- Ciii... - powiedziała siostra. Popchnęła delikatnie Lily na poduszki, po czym objęła ją i pocałowała.

- Cieszę się, że przyszłaś... Od kiedy tu siedzisz?

- Byłam już raz o trzeciej. Chciałam się z tobą zobaczyć, byłaś jednak nieprzytomna, więc wróciłam do domu i teraz przyjechałam znowu.

Lily wzięła siostrę za rękę. Zamierzała coś powiedzieć, ale zupełnie zaschło jej w gardle, a na dodatek dławiły ją łzy.

- Już dobrze, dobrze... - uspokajała ją Agnes. - Rozmawiałam z lekarzami, powiedzieli, że nic ci nie będzie. Masz tylko niewielkie poparzenia, kilka stłuczeń i nawdychałaś się dymu. No i włosy ci się trochę przypaliły, ale to wszystko.

- A co z Tashą? I z Sammym?

- Nic jeszcze nie wiemy. Policja zgłosiła to FBI.

- Tak szybko? - Lily znów usiłowała, usiąść, lecz znowu się rozkaszała i z powrotem opadła na plecy.

- Chyba zawsze tak robią, gdy w grę wchodzi porwanie dzieci.
- Boże, jeżeli ci faceci zrobili im krzywdę...
- Lily, dzieciakom na pewno nic się nie stało. Policja uważa, że to Jeff je porwał.
- Ci faceci chcieli spalić mnie żywcem. Powiedzieli, że spalą mnie jak czarownicę.
- Wiem, kochanie, ale już nic ci nie grozi. Lekarz powiedział, że za kilka dni wypuszczą cię do domu.

Lily przycisnęła do twarzy maskę tlenową i wzięła kilka głębokich wdechów. Po chwili zapytała:

- Czy Jeff jest u siebie, w domu? Agnes pokręciła głową.
- Zniknął ponad tydzień temu. Nie pojawił się w pracy ani nie zostawił żadnej informacji. Policja mówi, że jego matka nie widziała go od końca września.

- O Boże!

Lily opadła na poduszki. Nie miała siły na nic więcej, patrzyła tylko na Agnes, trzymając ją za rękę.

Siostra była od niej o pięć lat młodsza - miała dwadzieścia dziewięć - lecz poważna twarz, brązowe oczy i ciemne włosy dodawały jej lat. Zawsze kojarzyła się Lily z jakąś katolicką świętą.

Do pokoju weszła pielęgniarka - pulchna dziewczyna o rumianych policzkach.

- Och! Pani Blake, obudziła się pani! Sprawdź, jak pani się czuje, a potem podam śniadanie.

- Chciałabym przejrzeć się w lustrze - oświadczyła Lily. Pielęgniarka przyjrzała się jej uważnie.

- Nie wiem, czy już pani powinna...

- Proszę... - wykaszała Lily.

Agnes wyciągnęła z torebki składane lusterko. Lily spojrzała na swoje odbicie. Zobaczyła spuchniętą, zaczerwienioną twarz, błyszczącą od maści z lidokainą. Lewe oko ginęło w sonej opuchliznie. Brwi były poskręcane, a włosy po prawej stronie głowy wyglądały jak przypalona miotła.

Lily w milczeniu wpatrywała się w swoje odbicie. Ledwo mogła uwierzyć własnym oczom.

- Poparzenia są powierzchowne - zapewniła ją pielęgniarka. - Doktor Perlstein powiedział, że wszystko wygoi się bez śladu.

- To dobrze. - Lily pokiwała głową i oddała siostrze lusterko. - Chyba jeszcze za wcześnie na makijaż, prawda?

- Posłuchaj... - zaczęła Agnes, lecz Lily przerwała jej:

- Wszystko w porządku. Przecież żyję, no i muszę odzyskać dzieci.

Agnes wyciągnęła szarą kopertę.

- Przyniosłam ci to, bo pomyślałam, że może cię podniesie na duchu.

W kopercie znajdowało się kolorowe zdjęcie Tashy i Sammy'ego. Zrobiono je latem, w czasie tygodniowych wakacji, które spędzili w Wayzata razem z Agnes i Nedem. Dzieci siedziały na otoczonej klombami róż ogrodowej huśtawce, która znajdowała się z tyłu domu. Sammy miał przymknięte jedno oko, bo raziło go słońce, a Tasha śmiała się z głową odrzuconą do tyłu. Lily przyglądała się zdjęciu przez dłuższą chwilę, aż w końcu oczy zaszczyły jej łzami.

- Odzyskam je - oznajmiła drżącym z emocji głosem. - Odzyskam, choćby nie wiem co. A ich porywacze będą się smażyć w piekle!

\*\*\*

Wczesnym popołudniem w pokoju Lily pojawili się agenci specjalni FBI: Rylance i Kellog. Stanęli przy jej łóżku, z rękami w kieszeniach.

Agent Rylance, starszy z nich dwóch, miał szare włosy zaczesane na poźyczkę, ciemne wory pod oczami oraz podejrzanie wyglądające plamy na żółtym aksamitnym krawacie. Młodszy, Kellog, o wymizerowanej twarzy, wyglądał na podenerwowanego. Z zaczesaną do tyłu grzywką i bokobrodami sprawiał wrażenie studenta, który w 1965 wyszedł z balu uczelnianego na papierosa i niespodziewanie wylądował w dwudziestym pierwszym wieku.

Na stoliku przy łóżku leżało kilkanaście kartek z życzeniami powrotu do zdrowia, a Lily miała wrażenie, że pielęgniarki co kilka minut wnoszą nowe bukiety. Agent Rylance podniósł jedną z kartek:

- „Najlepsze życzenia od Benniego, Fiony i Billa oraz wszystkich z Nieruchomości CONCORD. Bóg z Tobą” - przeczytał na głos. Odłożył kartkę na stolik i oświadczył: - Lekarze powiedzieli, że mogła się tam pani usmażyć na amen. Miała pani szczęście.

- Chciałam tylko ujść z życiem - wychrypiała Lily.

- Policja opowiedziała nam o problemach, jakie pani miała z byłym mężem - odezwał się Kellog. - O walce o prawo do opieki i całej reszcie. Czy pani były mąż zrobił coś, co mogłoby uzasadnić podejrzenia o uprowadzenie dzieci lub napaść na panią?

Lily odchrząknęła i odparła:

- Nie. Co prawda Jeffa łatwo zdenerwować, ale jest raczej niedojrzały niż okrutny. Trzaskał drzwiami, wrzeszczał, rzucał rzeczami. Nigdy mnie jednak nie uderzył. A gdy już wściekał się na serio, po prostu wychodził z domu.

- A ci mężczyźni, którzy zabrali pani dzieci... nie wie pani, kim oni są? Nie ma pani żadnych podejrzeń? Czy pani były mąż nie wspominał, że wstępuje do jakiegoś kółka czy ruchu ojców?

- Nie. Ale Jeff nie jest specjalnie towarzyski. Nie dałby się nawet podwieźć do pracy, nie mówiąc już o wożeniu czyichś dzieci do szkoły razem z naszymi.

- Pani Blake, może wyjaśnię, o co chodzi. Atak na panią i porwanie pani dzieci nie jest odosobnionym przypadkiem. Mieliliśmy już podobne napaści wcześniej, głównie w Minnesocie, Wisconsin i Illinois. Były to porwania dzieci i rytualne spalania ich matek.

- Ścigamy tych świrów od ponad trzech lat - dodał agent Rylance. - Wiemy, że należą do organizacji o nazwie Liga Ojców Zwalczających Złe Matki, FLAME.

- Jakoś nie jestem przekonana, że Jeff chciałby mnie zabić. To prawda, że kieruje się emocjami i ma ostre huśtawki nastrojów, ale nie... nie sądzę, by mógł być zdolny do zabicia matki swoich dzieci.

- Policja powiedziała nam, że jeden z napastników oskarżył panią o romans, z... - Rylance otworzył notes i przez chwilę, mrużąc oczy, wpatrywał się w swoje zapiski, jakby nie mógł ich odczytać -...niejakim Robertem Dane'em, zgadza się?

- Tak. Spotkałam się z Robertem kilka razy... Ale nie traktowaliśmy tego zbyt poważnie. Nigdy nie był u nas w domu, a Tasha i Sammy nic o nim nie wiedzą.

- Czy pani były mąż mógł być zazdrosny o pani romans z innym mężczyzną?

- Nie mam pojęcia. Może... Zawsze powtarzał, że nie znajdę nikogo, kto by go potrafił zastąpić...

- Staram się tylko znaleźć jakiś motyw - mruknął przepaszająco Rylance.

Lily wzięła kilka wdechów z maski, po czym dodała:

- Nigdy bym go nie zdradziła. Było cudownie, gdy się pobraliśmy. Byliśmy tak szczęśliwi, że z trudem mogliśmy w to uwierzyć.

- No to co poszło nie tak?

- Chodziło głównie o pieniądze. Kiedy poznałam Jeffa, miał dobrą pracę w dziale informatycznym Trzy M. Oszczędzaliśmy i na początek kupiliśmy dom z trzema sypialniami w Bloomington. Gdy Jeff dostał awans, przenieśliśmy się do West Calhoun, tam gdzie teraz mieszkam. Dom był dość zapuszczony, ale zaczęliśmy go remontować. Po kilku latach zamierzaliśmy sprzedać go i przenieść się do lepszego, gdzieś bliżej Lake Harriet.

- A potem Jeff stracił pracę?

- To nie było tak. Trzy M połączyło dwa wydziały i odstawili go na bocznice. Nagle został z mniejszym zespołem ludzi, niższą płacą i bez szans na awans. Pokłócił się z dyrektorem naczelnym i odszedł z firmy. Sądził, że uda mu się od razu dostać nową, dobrze płatną pracę. Tyle że był już za stary, a na rynku aż roi się od młodych zdolnych. W końcu wylądował jako serwisant komputerowy w małej firmie w Richfield.

- Trzeba było zacisnąć pasa?

- Tak, na jakiś czas. Potem moja znajoma, Margaret Allison, znalazła mi pracę w Nieruchomościach „Concord”. Uwielbiam tę pracę. Już po pół roku awansowali mnie na dyrektora sprzedaży regionalnej. Po niecałym roku zarabiałam trzy razy więcej niż Jeff. - Lily wzruszyła ramionami i dodała: - Chyba nie czuł się z tym dobrze... Może w ten sposób uraziłam jego męskie ego?

- Wtedy zaczęły się kłótnie, tak?

- Najpierw były nieustanne spory o duperele: o to, co zjemy na obiad, na jaki kolor pomalować pokój i tak dalej. Jeff ciągle mówił: „Po co mnie pytasz? Ty za wszystko płacisz”. A potem już wszystko było nie tak... wie pan. Po jakimś czasie doszło do tego, że nie mogliśmy zbyt długo przebywać w tym samym pomieszczeniu, bo zawsze kończyło się to kłótnią.

- Kiedy ostatnio miała pani z nim kontakt albo jakieś wiadomości o nim? - spytał Kellog.

- Dwa miesiące temu, parę dni przed urodzinami Sammy'ego. Zadzwonił i zapytał, czy może wpaść i dać małemu prezent. Nie zgodziłam się.

- Dlaczego? To chyba była nieszkodliwa prośba?

- No... tak się może wydawać. Kiedy pozwoliłam mu przyjść na urodziny Tashy w kwietniu, w trakcie przyjęcia dostał szału. Skończyło się to tym, że ściągnął ze stołu obrus wraz z jedzeniem.

- Rozumiem.

Do Lily podeszła pielęgniarka i oznajmiła, że pora na leki.

- No dobrze - powiedział Rylance. - Damy już pani spokój. Ale chciałbym zapytać panią o jeszcze jedną rzecz. Czy pani były mąż wspominał kiedykolwiek o jakimś miejscu, które stanowiłoby dla niego schronienie? Miejsce, z którym wiązały się jakieś dobre wspomnienia? Do którego zabrałby dzieci, by „wrócić do lepszych dni”?



- Jeżeli ma takie miejsce, to nigdy mi o nim nie mówił. Urodził się i wychował tutaj, w Minneapolis. Tu się uczył i tu dostał pierwszą pracę. Może jego matka będzie coś wiedziała.

- Zapytamy ją o to. Jest następna w kolejce.

- Znajdziecie moje dzieci, prawda? - zapytała Lily.

- Pani Blake, centrum dochodzeniowe FBI do spraw uprowadzeń dzieci jest najbardziej skuteczną instytucją tego typu na świecie. Odnajdziemy pani dzieci. Obiecujemy.

\*\*\*

Do pokoju wróciła Agnes. Usiadła na brzegu łóżka i pogłaskała siostrę po ramieniu.

- Może się pomodlimy? - zaproponowała.

- Nie - odparła Lily. - Będę się modliła dopiero wtedy, gdy odzyskam dzieci.

- Mogę ci jeszcze jakoś pomóc? Lily zastanawiała się przez chwilę.

- Owszem. Znajdź jakieś nożyczki i maszynkę do golenia.

- Co takiego?

- Nożyczki i maszynkę. Muszą być w szpitalnym sklepiku. Chcę, żebyś ogoliła mi głowę.

\*\*\*

Lily z zamkniętymi oczami siedziała na łóżku, z ręcznikiem wokół szyi, czując, jak ciepłe mydliny spływają jej po twarzy i karku. Nic nie mówiła - ciszę zakłócały jedynie dzwonki szpitalnego radiowęzła oraz miarowe skrobanie ostrza po skórze.

Kiedy Agnes skończyła, wyjęła lusterko, by pokazać Lily swoje dzieło.

- Jakoś nieswojo się czuję, że ci to zrobiłam. Lily przejechała dłonią po czaszce.

- Nie powinnaś. Dla mnie to jakby nowy początek. Widok pozbawionej włosów głowy nappełnił ją niezwykłą energią. Czowała się jak samuraj albo Joanna d'Arc. Wiedziała, że oskarżonym o czary kobietom również golono głowy, i jeżeli miała znów zostać oskarżona o uprawianie czarów, to przynajmniej wyglądała teraz jak trzeba. Uznała łysinę za symbol swojej determinacji - odzyska dzieci bez względu na cenę, jaką przyjdzie jej za to zapłacić. Nie była już sprytną agentką od nieruchomości z wiecznie potarganymi włosami. Stała się innym człowiekiem, czystym i silnym. Matką pałającą żądzą zemsty.

- Chyba powinnaś się przespać - poradziła jej Agnes. - Musisz nabrać sił.

- Żebyś wiedziała. I oby stało się to jak najszybciej.

\*\*\*

Bennie Burgenheim, szef Nieruchomości „Concord”, także ją odwiedził. Szurając nogami, wsunął się nieśmiało do pokoju, dzierżąc absurdalnie wielki bukiet róż i smagliczek.

Był bardzo wysoki - miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu - i nieco wstydził się swoich rozmiarów, toteż zawsze chodził niemal na palcach, co wyglądało, jakby podkradał się do ludzi.

Miał dużą twarz, podwójny podbródek, wyłupiaste oczy i nosił po chłopięcemu zaczesaną grzywkę. Gdy Lily zaczęła pracować w „Concord”, natychmiast się nią zainteresował. To zainteresowanie jeszcze wzrosło po jej rozwodzie z Jeffem. Bennie był wdowcem: pięć lat wcześniej jego żona Marjorie zmarła w wypadku typowym dla okresu zimowego w Minneapolis - zatrzała się spalinami, próbując rozgrzać samochód w zamkniętym garażu.

Uśmiechnął się do Lily, mrugnął i wyciągnął w jej stronę bukiet.

- Przyniosłeś mi całą kwiaciarnię - zauważyła.

- To na dowód, że bardzo się o ciebie martwimy.

- Dziękuję ci. Są wspaniałe! Słuchaj, połóż je w nogach łóżka, weź krzesło i siadaj. Chcesz kawy albo czegoś innego do picia? Pielęgniarka zaraz ci przyniesie...

- Dziękuję, nie. Wiesz, bardzo martwię się o ciebie, Lii. To było okropne, ten cały napad...

- Już mi lepiej. Teraz chciałabym jedynie odzyskać Sammy'ego i Taszę.

- Odzyskasz ich - zapewnił ją Bennie. - Aha, wiesz co? Nie musisz od razu wracać do pracy. Weź sobie tyle wolnego, ile chcesz. I jeżeli możemy... jeżeli mogę ci w czymś pomóc...

Ujął dłoń Lily i uściśnął ją mocno. Lily myślała, że jej szef zaraz się rozplacze, lecz on tylko popatrzył na zieloną jedwabną chustę wokół jej ostrzyżonej głowy i powiedział:

- Wyglądasz w tym jak leśny skrzat, wiesz?

- Leśny skrzat? Dzięki!

- No nie, wiesz przecież, o czym mówię... jesteś taka mała, delikatna. Chyba budzą się we mnie instynkty opiekuńcze.

- Bennie, sama potrafię o siebie zadbać.

- Jasne, pewnie... - mruknął. - Ale jest jeszcze coś. Wiem, że policja i FBI szukają twoich dzieci, ale... Kiedy kilka lat temu mój brat Myron miał problemy z przyznaniem prawa do opieki nad dziećmi i ze swoją pierwszą żoną, znalazł genialnego detektywa. Facet jest lekko szurnięty, lecz naprawdę niesamowity. Myron oszczędził sobie mnóstwa kłopotów, no i mógł widywać się z córkami.

- Dzięki za informację - odparła Lily. - Zapamiętam. Milczała przez chwilę, po czym zapytała:

- A jak idą sprawy z Ridge Road?

- Wszystko gra. Fiona przejęła ster. Nie chcę, żebyś przejmowała się pracą.

Lily uśmiechnęła się do niego. Wiedziała, jak bardzo ją lubi. Ona także go lubiła, był dobrym szefem i przyjacielem. Ale kiedy spoglądała w jego oczy, widziała w nich jego rzeczywiste pragnienia - Benny chciałby ją widzieć przy wspólnym stole, przy śniadaniu, patrzeć na nią z podziwem i dziękować Bogu za piękną młodą żonę.

\*\*\*

Gdy wszyscy goście już wyszli, pojawił się Robert. Zastukał cicho w otwarte drzwi.

- Mogę wejść?

- Jasne! Już myślałam, że nie przyjdiesz. Podeszedł do łóżka, ubrany w długi płaszcz z wielbłądziej welny.

- O Boże, Lii! Co oni ci zrobili?

Lily z lekkim zażenowaniem dotknęła chusty na głowie.

- Nie jest tak źle. Opaliło mi połowę włosów na głowie, więc poprosiłam Agnes, żeby ją ogoliła.

- A twoja twarz, kochanie! Twoja biedna twarz... Usiadł na łóżku i objął ją.

- Nic mi nie jest. Naprawdę nic.

Obiecała sobie, że nie będzie płakała, gdy Robert ją odwiedzi, ale nie mogła się opanować. Łzy potoczyły się po jej policzkach, a potem tak się rozszlochała, że rozboleła ją w piersi. Uspokajał ją cichym szeptem i całował po głowie, aż opanowała się na tyle, by móc mówić.

- Tasha i Sammy... Muszą być teraz przerażeni. Jak można zabrać komuś dzieci?

- Znajdą się, wierz mi. Musisz być dzielna.

Lily usiadła. Jej poparzona twarz była mokra od łez.

- Nie jestem dzielna. Nie czuję się odważna. Jestem po prostu wściekła. Wściekła na ludzi, którzy zabrali mi dzieci. Wściekła na siebie, bo nie potrafiłam ich obronić. Nigdy dotąd nie czułam się taka... taka... bezsilna.

- Czy policja już coś wie?

Opowiedziała mu o FLAME oraz o rozmowie z agentami Kellogiem i Rylance'em.

- Myślisz, że Jeff może mieć z tym coś wspólnego? - zapytał Robert.

- Nie mam pojęcia. Nie bardzo wierzę, że mógłby być aż tak mściwy. Ale kto inny mógł to zrobić?

- Czasem ludzie potrafią nas bardzo zaskoczyć - odparł Robert. - Nawet ci, których dobrze znamy. - Ujął jej dłonie i pocałował. - Nie przyniosłem ci kwiatów. Przepraszam, wpadłem tu prosto z zebrania rady miejskiej. Przyniosę ci je jutro.

- Nie musisz. Popatrz, ile tu tego jest. Zresztą za kilka dni wychodzę.

- No to może czekoladki albo winogrona? Albo butelkę szampana?

- Jestem na antybiotykach, nie mogę pić alkoholu. Spojrzał jej w oczy.

Był przystojnym mężczyzną, choć o nieco przeciętnej urodzie - miał kręcone blond włosy, mały prosty nos i dołek w podbródku. Coś w wyrazie jego twarzy mówiło Lily, że to koniec ich związku. Robert był człowiekiem o prostych upodobaniach, uprzejmym i jednocześnie zabawnym, o niezbyt skomplikowanej osobowości. Wyczuwała, że napaść na nią i porwanie dzieci po prostu go przerastają. Gdyby ciągnął tę znajomość, musiałby wspierać ją w powrocie do zdrowia fizycznego i równowagi psychicznej. A gdyby coś strasznego stało się Tashy i Sammy'emu - musiałby pomóc Lily sobie z tym poradzić.

Po chwili milczenia Robert rzucił okiem na zegarek i oświadczył:

- Muszę jechać do domu. Przyjadę jutro, mniej więcej o tej samej godzinie.

Pocałował ją jeszcze na pożegnanie. Lily odpowiedziała mu bardzo delikatnym pocałunkiem.

### **ROZDZIAŁ 3**

Po czterech dniach lekarze wypisali ją ze szpitala. Agnes i Ned przyjechali swoim fordem explorerem, żeby zabrać ją do domu w Wayzata, gdzie miała dochodzić do siebie.

Dzień był słoneczny i przeraźliwie zimny - znak, że od strony Kanady nadciągają zimowe chłody.

- Zima w tym roku będzie bardzo ostra - oznajmił Ned. Miał ryży wąsik, a na głowie czapkę drużyny Golden Gophers. Miał również zwyczaj wygłaszania mądrze brzmiących opinii na każdy temat, poczynając od opadów śniegu w styczniu po ilość sandacza w jeziorze Minnetonka.

- Możemy zboczyć nieco z trasy? - zapytała Lily.

- Zboczyć? Oczywiście. Chcesz zabrać coś z domu?

- Nie. Chcę zajechać do mamy Jeffa. Ned spojrzał na Agnes i zrobił znaczącą minę.

- Myślisz, że to dobry pomysł? Policja już z nią rozmawiała, FBI pewnie też.

- Wiem o tym, ale chcę spojrzeć jej prosto w oczy i usłyszeć, że naprawdę nie wie, gdzie jest Jeff.

- A jeśli wie, to myślisz, że ci powie?

- Mama Jeffa uwielbia Tashę i Sammy'ego - odparła Lily. - Na pewno rozumie, jak bardzo dzieci są bez mnie nieszczęśliwe. Zresztą co mam do stracenia? FBI nie trafiło jeszcze na żaden ślad. Nie mają nic.

- No dobrze... Ale nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł.

\*\*\*

Choć Nedowi nie podobał się pomysł Lily, przemógł się i podjechał na przedmieścia Nokomis. Tam właśnie, w jednym z domków z lat pięćdziesiątych ciągnących się wzdłuż wysadzanego szpalerem drzew uliczki, mieszkała pani Blake, matka Jeffa. Przed sąsiednim domem starszy pan zgrabiał żółtoczerwone liście w kupki, a jego wnuczka radośnie je rozkopywały, tarzały się w nich i biegały po trawniku tuż przy jezdni. Na ich widok Lily przypomniało się, jak Tasha i Sammy ganiłi się wokół muszli koncertowej w parku Lake Harriet.

Agnes i Ned zostali w samochodzie, a Lily zadzwoniła do drzwi domku pani Blake. Przez chwilę myślała, że nikogo nie ma, lecz po minucie czy dwóch przez tafłę młotkowego szkła w drzwiach wejściowych dostrzegła niewyraźną postać, wyłaniającą się niczym ryba spod wody.

Sylvia Blake uchyliła drzwi wejściowe, nie zdejmując łańcucha.

Była niegdyś bardzo atrakcyjną kobietą - z burzą rudych włosów, o kremowej cerze, zielonych oczach i miłych dla męskiego oka krągłościach. Lubiła się śmiać, lubiła taniec i dobrą zabawę. Niestety ojciec Jeffa cierpiał na nowotwór najądrzy. Choroba zabijała go przez siedemnaście długich lat, które przeistoczyły Sylvie Blake w umęczony cień samej siebie - w siwiejącą, zaszuszoną kobietę z ustami wykrzywionymi w wyrazie wiecznego niezadowolenia.

- To ty - powitała Lily głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji.

- Witaj, Sylvio. Właśnie wyszłam ze szpitala i postanowiłam cię odwiedzić.

- Aha... Nie masz dzieci ze sobą? Nigdy z nimi do mnie nie przyjeżdżałaś.

- Oj, Sylvio, daj spokój. Wiesz dobrze, że to trudny temat. Chciałam cię zapytać, czy wiesz, co się dzieje z Jeffem.

- Policja już mnie o to pytała. Agenci FBI również. Myślisz, że gdybym coś wiedziała, nie powiedziałabym im tego?

- Sylvio... czy mogę wejść?

Po chwili wahania pani Blake zdjęła łańcuch.

- Nie mam ci niczego do powiedzenia, czy to w drzwiach, czy w domu.

Lily poszła za nią do pokoju dziennego. Mimo słonecznego dnia w pomieszczeniu panował półmrok, bo wszystkie okna zasłaniały zakurzone koronkowe firany. Pachniało papierosami i stęchłym, zepsutym jedzeniem. Stały tam ciemnobrązowe meble o beżowej tapicerce, a nad kominkiem wisiała pociemniała reprodukcja przedstawiająca ponurego traperę, piekącego nad ogniskiem wiewiórkę.

- Kim są ci ludzie w samochodzie? - zapytała pani Blake, wyglądając przez firany.

- To moja siostra Agnes i jej mąż Ned.

- Aha. No więc, jak powiedziałam to już policji i tym agentom z FBI, nie mam żadnych wieści od Jeffa. Nie kontaktował się ze mną od września.

- Czy kiedykolwiek mówił ci, że odbierze mi dzieci? Pani Blake uniosła rude, zbyt mocno wyskubane brwi.

- Może raz albo dwa, gdy był na ciebie bardzo wkurzony. Ale nie sądzę, żeby naprawdę chciał to zrobić.

- Dobrze wiesz - zaczęła Lily - że faceci, którzy porwali Tashę i Sammy'ego, chcieli mnie zabić. Chcieli mnie spalić żywcem!

Pani Blake wzruszyła tylko ramionami, więc Lily mówiła dalej:

- Chcieli spalić mnie żywcem, rozumiesz, Sylvio? Patrz! - Ściągnęła z głowy czarną wełnianą czapkę. Na widok jej łysej głowy i oparzeń pani Blake wytrzeszczyła oczy, a jej lewe ramię podskoczyło w nerwowym skurczu, ale nadal milczała. - Może rzeczywiście nie wiesz, co się dzieje z Jeffem, nie wiesz, gdzie teraz jest, ale czy mogłabyś pomóc mi go odnaleźć? - zapytała Lily. - Czy jest takie miejsce, w którym lubił przebywać, gdy był młodszy? Gdzie czuł się szczęśliwy i bezpieczny?

- Jeff jest moim jedynym dzieckiem - odparła pani Blake. - Podcięłaś mu skrzydła, podeptałaś jego dumę, a na koniec odebrałaś mu dzieci. I po tym wszystkim oczekujesz ode mnie pomocy?

- Sylvio, przecież tu nie tylko o mnie chodzi! Chodzi o Tashę i Sammy'ego, a także o Jeffa, bo jeśli to on porwał dzieci, będzie miał poważne kłopoty. Czeką go długa, bardzo długa odsiadka. Ale jeżeli go odnajdę i przekonam, by mi oddał dzieci... wtedy być może potraktują go łagodniej.

Przez twarz Sylvii przewinęła się cała gama uczuć: zwątpienie, niepokój, konsternacja i podejrzliwość, która upodobniła starszą panią do złośliwego szopa.

- Sylvio, dobrze wiesz, że Jeff nie może ukrywać się w nieskończoność, w dodatku z dwójką dzieci!

- Jak możesz mnie o to prosić? - wycedziła pani Blake. - Nawet gdybym coś wiedziała, nie powiedziałabym ci.

Lily złapała starszą panią za ramiona i spojrzała jej prosto w oczy.

- Sylvio, przecież ty też jesteś matką. Dobrze wiesz, co przeżywam. Powiedz mi, gdzie jest Jeff.

Pani Blake strząsnęła z siebie dłonie Lily i odparła spokojnie:

- Nie mam ci nic do powiedzenia. Nie wszystko w życiu idzie po naszej myśli.

\*\*\*

Cały weekend Lily spędziła w Wayzata u Neda i Agnes. Z każdym dniem - mimo że każdy był słoneczny - robiło się coraz zimniej. Dzieci Agnes - Petra, Jamie i William - opatulone szalikami i w rękawiczkach, szalały na podwórku i biegały za Rudym, ich cocker-spanielem. Lily obserwowała je przez okno, rozmyślając o własnych dzieciach.

Sammy wdał się w ojca, więc uznała, że najprawdopodobniej daje sobie radę w obecnej sytuacji. Na pewno spędza czas, łowiąc ryby, oglądając mecze lub grając w kosza. Bardziej martwiła się o Tashę, która była o wiele wrażliwsza od Sammy'ego. Rozpad ich małżeństwa poruszył ją do głębi. Lily obawiała się, że porwanie na dobre zniszczyło poczucie bezpieczeństwa, które usiłowała wytworzyć u Tashy od czasu pierwszych poważnych problemów z Jeffem.

W niedzielę po południu pod dom Agnes i Neda podjechał szary pontiac grand prix. Z wozu wysiedli agenci specjalni Rylance i Kellog. Agnes wprowadziła ich do pokoju dziennego, gdzie stanęli przed Lily, cisi i poważni niczym dwaj mormoni.

Pierwszy odezwał się agent Rylance:

- Pani Blake, jest nam niezmiernie przykro, ale na razie nie ma żadnego postępu w śledztwie. Otrzymaliśmy trzydzieści osiem zgłoszeń od ludzi, którzy widzieli dzieci podobne do Tashy i Sammy'ego, z czego siedemnaście z rejonu Twin City, ale wiele z innych, odleglejszych miejsc. Jedno aż z Filadelfii.

- Zamieściliśmy zdjęcia na stronie internetowej FBI - dorzucił Kellog. - Każdy posterunek w Stanach ma już raport o pani byłym mężu i dzieciach. To standardowa procedura przy zaginięciu małych dzieci, choć robimy też znacznie więcej. Korzystamy z informatorów w grupach „ojcowskiego nacisku” oraz organizacjach prowadzących podobną działalność.

Lily miała na sobie tylko dzinsy i biały golf. Powitała ich z odkrytą głową. Agenci nie zapytali, dlaczego ją ogoliła, ale wiedzieli bez słów, że rozumieją, przez co przechodzi.

- Czyli nie macie żadnych tropów? - zapytała powoli, po czym na chwilę zawiesiła głos. - Myślicie, że mogą nie żyć?

Agent Rylance spojrział na nią spod zmrużonych powiek.

- Nie będę pani oszukiwał - odparł. - Im dłużej trwają poszukiwania dzieci w ich wieku, tym większe prawdopodobieństwo, że nie żyją. Tak zwykle jest w przypadkach porwań na tle seksualnym. Jednak gdy chodzi o porwania dokonane przez rodzica, szanse na to, iż dziecko pozostanie przy życiu, znacznie wzrastają.

- Ale nie jesteście pewni, że za tym porwaniem stoi mój mąż?

- Nie na sto procent.

- Więc nadal istnieje możliwość, że zrobili to pedofile? Albo jakieś inne oszołomy?

- Dopuszczamy taką możliwość, ale nie jest to nasz główny kierunek poszukiwań. Im dłużej pan Blake jest nieosiągalny, tym większe szanse, że dzieci są z nim.

- A co ja mam począć? - zapytała Lily. - Mija już tydzień.

Agent specjalny Rylance usiadł obok niej i ujął jej dłoń.

- Chcę, by zaufała pani naszemu doświadczeniu. Krajowe Centrum Analiz Ciężkich Przepstępstw dysponuje zadziwiającymi możliwościami w poszukiwaniu zaginionych dzieci oraz porwanych osób.

- Drukujecie ich zdjęcia na kartonach od mleka?

- Między innymi też, pani Blake. Poza tym dysponujemy ogromnym rejestrem DNA i odcisków palców, nagraniami rozmów telefonicznych i wyciągami z transakcji bezgotówkowych. Coraz trudniej teraz przepaść jak kamień w wodę.

Kellog wpatrywał się w Lily przez dłuższą chwilę i dopiero teraz zauważyła, że ma jedno oko brązowe, a drugie zielone.

- Znajdziemy pani dzieci - powiedział Rylance. - Proszę się o to nie martwić.

\*\*\*

Tymczasem minęły już dwa tygodnie i w połowie listopada od strony Alberty nadszedł zimowy front. W jednej chwili ulice Minneapolis wypełniły się wściekle wirującym śniegiem.

Lily wróciła do swojego domu i po kilku dniach ponownie podjęła pracę w Nieruchomościach „Concord”. Nie mogła dłużej znieść wiecznego czekania na telefon z FBI oraz wielogodzinnego przesiadywania na łóżkach dzieci i rozmyślenia, jak by to było dobrze mieć je znów przy sobie. W jej pamięci zaczęło się zacierać brzmienie ich głosów.

Rodzice Lily, mieszkający w Escondido w południowej Kalifornii, dzwonili do niej każdego wieczoru. Nie mogli przyjechać do Minneapolis, zwłaszcza że zbliżała się zima -



ojciec Lily, Douglas Frazier, miał już siedemdziesiąt cztery lata i słabe serce, a matka, Iris, niedawno zwichnęła sobie biodro. Mimo to rodzice usiłowali ze wszystkich sił ją pocieszyć, uspokoić i przekonać, że w końcu ktoś rozpozna Tashę i Sammy'ego gdzieś na ulicy i odwiezie ich do domu. Ale wiara Lily słabła za każdym razem, gdy odkładała słuchawkę.

Agent Kellog również do niej dzwonił. Czasami nawet trzy razy dziennie, nie zważając na porę. Niestety wciąż z tym samym: „Ktoś podobno widział pani dzieci na Presque Isle, jednak był to fałszywy alarm. Przykro mi”.

Czas mijał, śniegu było coraz więcej, jeziora skuł lód. Lily usłyszała w radiu WCCAM 830, że w rejonie Twin Cities szykuje się najgorsza zima od 1864 roku, kiedy to temperatura spadła poniżej minus czterdzieści pięć stopni. Minneapolis stało się nagle dziwnie ciche. SUV-y toczyły się po ulicach z prędkością konnych dwukółek, a ludzie poruszali się powoli, niepewnie, jak pijane strachy na wróble. Zamarzał nawet zimowy olej napędowy.

- Mieliliśmy doniesienie z Saint Louis Park oraz z Mankato. Niestety to znowu fałszywy alarm. Przykro mi.

Drugiego grudnia, kiedy Lily wychodziła z domu, na zaśnieżonym trawniku pojawił się listonosz i wręczył jej szarą używaną kopertę, zaklejoną taśmą pakową. Ktoś zamazał poprzedni adres niebieskim długopisem, a jej zapisał na odwrocie. Lily obróciła kopertę w rękę, po czym zaniósła do domu. Zdjęła rękawiczki i otworzyła ją.

Wewnątrz znalazła stare, poźółkłe zdjęcie o wymiarach osiem na dziesięć centymetrów, przyklepione do prostokąta z kartonu. Przedstawiało stojącego przed stodołą małego chłopca w pasiastej koszulce i ciemnych spodenkach. W rękach trzymał kawałek drewna imitujący karabin.

Lily poczuła, jak krótkie włosy na głowie stają jej dęba, a dłoń trzymająca zdjęcie zadrżała.

To przecież Jeff. To malutki Jeff.

Pobiegła do telefonu i wystukała numer Sylvii. Minęły niemal dwie minuty, nim Sylvia odebrała..

- Dom państwa Blake, słucham - powiedziała nieco niepewnym głosem.

- Gdzie to jest? - zaatakowała od razu Lily. - Gdzie zrobiono to zdjęcie?

- Za dwa tygodnie Gwiazdka... Pomyślałam sobie, że gdybyśmy znalazły dzieci, to zobaczyłabym je na święta...

- Gdzie to jest?! - wrzasnęła Lily w słuchawkę. - Wiedziałaś o tym miejscu i nic mi nie powiedziałaś?!

- Nie krzycz na mnie. Zapomniałam o wszystkim aż do ostatniego weekendu, kiedy sprzątałam stary pokój Jeffa. Wtedy przypomniałam sobie o twojej prośbie... dotyczącej jego ulubionej kryjówki.

- Sylvio! Muszę wiedzieć, gdzie to jest. Teraz!

- O półtora kilometra od naszego domu była stara, opuszczona farma niejakiego Sibleya. Teraz wszystko tam zabudowali, ale stodoła stoi nadal. Jeff, gdy był mały, czasem całe dnie bawił się tam w kowboja. Chodził z przymrużonymi oczami i z wypaloną zapalką w ustach, twierdząc, że jest Clintem Eastwoodem...

Lily aż się trzęsła ze złości.

- Słuchaj! Jeżeli dowiem się, że Jeff je tam zabrał...

- Staram ci się pomóc - przerwała jej pani Blake. - i Nie musisz się na mnie wściekać. Myślisz, że nie chcę znowu zobaczyć wnuków?

Lily odsunęła słuchawkę od ucha i przez chwilę wpatrywała się w nią z mieszaniną gniewu i niedowierzania, jakby chciała zgnieść ją w dłoni. W końcu jednak zmusiła się, by delikatnie odłożyć słuchawkę na widelki. Była nieprawdopodobnie wściekła, lecz jednocześnie zdawała sobie sprawę, że Sylvia nie kieruje podłość czy złośliwość. Po prostu była zmęczona życiem i miała lekko pomieszaną w głowie. Lily dobrze wiedziała, że za żadne skarby nie może zrazić do siebie Sylvii - a nuż jeszcze będzie potrzebowała jej pomocy?

Wykręciła numer, który dał jej agent specjalny Rylance.

- Słucham, pani Blake? - odezwał się Rylance. Miał bardzo zmęczony głos.

- Chyba namierzyłam kryjówkę Jeffa. Miejsce, w którym chował się przed światem.

- Proszę nam dać dwadzieścia minut. Oddzwonimy i przyjedziemy po panią.

\*\*\*

Śnieg zaczął sypać niespodziewanie, zaskakując ich w drodze do Nokomis. Musieli bardzo zwolnić. Było już wpół do jedenastej, lecz niebo nadal pokrywały chmury, a wszystkie samochody na Czterdziestej Drugiej Ulicy jechały z włączonymi światłami.

Agent specjalny Rylance spojrział na rewers zdjęcia.

- „Jeff. Stodoła Sibleya, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy”. Nie robiłbym sobie wielkiej nadziei na pani miejscu, pani Blake. Szkoda, że pani teściowa nie pokazała nam tego zdjęcia wcześniej.

- Była teściowa - poprawiła go Lily.

Przejechali powoli koło domu Sylvii i ruszyli dalej, w stronę nowego osiedla domków, które rozłożyły się jeden nad drugim na zaokrąglonym zboczu. Tego ranka wzgórze pokrywał

głęboki śnieg, z czego radośnie korzystała grupka około dwudziestu dzieciaków, zjeżdżając na sankach. Lily nie mogła się powstrzymać i uważnie przyglądała się twarzom mijanych dzieci. Może była wśród nich Tasha albo Sammy?

Zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe, ale nie potrafiła się opanować.

Agent specjalny Rylance, marszcząc brwi, przyglądał się szczegółowej mapie okolicy, rozłożonej na kolanach.

- Jesteśmy tutaj... to Sibley's End. Tu kiedyś stała farma, proszę spojrzeć. Stodoła Sibleya, wzniesiona około tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego roku. Skręć w lewo, Nathan, będziemy ją mieli po prawej...

Sibley's End okazało się małym osiedlem piętrowych domków z cegły. Na podjazdach stały przysypane śniegiem samochody, na trawnikach przed domami pyszniła się kolorowa parada bałwanów. Kellog zaparkował samochód na krańcu osiedla, pod ciemną plataniną wiązów.

Wysiedli z samochodu. Między krzakami odkryli krętą wąską ścieżynkę. Prowadziła do tego, co pozostało z farmy Sibleya - pół akra zaśnieżonego pola w kształcie trójkąta. Na przeciwległym końcu stała rozwalająca się stodoła - dach był zapadnięty, a z desek na ścianach już dawno zniszczyła się większość zielonej farby.

Lily przecisnęła się przez zarośla i ruszyła w jej kierunku, brnąc w głębokim śniegu. Agenci szli tuż za nią. Z leżącego niedaleko lotniska Minnesota Inter National dobiegało ich zawodzenie i ryki silników odrzutowców. Nagle ze śniegu wyskoczył tłusty szary królik, pognał przez pole i po chwili zniknął w krzakach.

Jego widok przypomniał Lily Sammy'ego. Syn uwielbiał *Historię o Króliczku z Brer i Ciernistej Kępie*.

„Powieś mnie tak wysoko, jak tylko chcesz, Lisie z Brer - powiedział Królik z Brer. - Lecz na litość boską nie rzucaj mnie w Ciernistą Kępę”.

- Nie było tu nikogo od czasu pierwszych śniegów - zauważył Rylance.

Agent Kellog zbliżył się do wrót stodoły. Ich skrzydła dawno temu wypadły z prowadnic, uniemożliwiając wjazd, ale pośrodku znajdowały się niewielkie drzwi, zamknięte długim kawałkiem zardzewiałego drutu.

- Niedawno ktoś rozplątywał ten drut - powiedział Kellog.

- Pewnie jakieś dzieciaki - mruknął Rylance.

- Mocno w to wątpię, Dick. Dzieciaki nie bawią się już w starych, cuchnących stodołach. Nie te czasy. Wolą teraz siedzieć w przytulnych, ciepłych pokojach i grać na konsolach.

- Pewnie tak, lecz mimo wszystko możemy tam zajrzeć. Rylance rozplatał drut i szarpnięciem otworzył drzwi.

Wydobył z kieszeni płaszcz latarkę i ostrożnie wszedł do środka. Po chwili wyszedł na zewnątrz i oznajmił:

- Pusto. Nie było tu chyba nikogo. Lily i Kellog przestąpili próg. Wewnątrz było ciemno i ponuro, choć przez liczne dziury w wysokim dachu przebijały snopy szarego światła. Promienie latarek agentów tańczyły po stodole i po chwili skupiły się na stryszku na siano, skrzyżowane jak świetlne miecze. Na górze nie było niczego prócz paru wiechci wyschniętej słomy, dwóch lemieszki do pługa i rozebranej na części prądnicy.

- Cóż, przykro mi, pani Blake - powiedział Rylance, kładąc dłoń na ramieniu Lily.

Rozejrzała się wokół ostatni raz przed wyjściem. W chwili gdy już miała przestąpić próg, kątem oka uchwyciła lśnienie niewielkiego guzika, prawie niewidocznego wśród słomy na klepisku.

- Może pan tutaj poświecić? - spytała Kelloga.

Schyliła się i podniosła guzik z ziemi. Był nowy, plastikowy, mienił się perłowo. Przy nitce wisiał wyrwany kawałek niebieskozielonej bawełnianej tkaniny.

Lily zapało dech w piersiach.

- To guzik Sammy'ego - oświadczyła, trzymając go w świetle latarki. - To guzik od jego piżamy.

- Jest pani pewna? - Rylance przyjrzał się guzikowi.

- Tamtej nocy miał na sobie niebieskozieloną piżamę. Guzik od góry tej piżamy. Na pewno. On tu był. On tu był... to Jeff go porwał - dokończyła.

- Szkoda, że pani go podniosła - zauważył Rylance. - Mogły być na nim jakieś ślady... A zresztą wszystko jedno. - Wyciągnął z kieszeni pomietą szarą kopertę. - Damy guzik do laboratorium. Zobaczymy, co znajdą. Sprowadzimy też techników, i to zaraz. Nathan, zadzwoń z łaski swojej do Murraya Halperina, dobra?

Lily pochylała się i zaczęła przerzucać dłońmi słomę w poszukiwaniu kolejnych dowodów. Agent Rylance natychmiast złapał ją za rękę.

- Niech pani tego nie robi. Jeżeli Sammy rzeczywiście tu był, stoimy na miejscu przestępstwa. Nie wolno pani zacierać dowodów. Od tego zależy, czy znajdziemy pani dzieci...

Lily wyprostowała się i wbiła wzrok w Rylance'a.

- Co to znaczy „czy znajdziemy”? Obiecał mi pan, że znajdziecie moje dzieci! Pan mi to obiecał.

- Miałem na myśli szybko... Czy znajdziemy je szybko - odparł Rylance.

Lily dostrzegła jednak spojrzenie, jakim obrzucił Kelloga, i już wiedziała, że wcale nie to miał na myśli.

Tasha i Sammy zaginęli czterdzieści sześć dni temu, a zgodnie ze statystykami FBI szanse ich odnalezienia gwałtownie malały z każdą upływającą godziną.

Rylance odprowadził Lily przez pole Królika z Brer. Para z ich oddechów kłębiła się, bielejąc w mroku późnego zimowego poranka.

Kiedy wsiedli do samochodu, agent powiedział:

- Pani Blake, to daje jakąś nadzieję. Jeżeli ma pani rację i jest to rzeczywiście guzik od piżamy Sammy'ego...

- Jestem tego pewna.

- W takim razie nie powinniśmy się martwić o bezpieczeństwo Tashy i Sammy'ego. Jeżeli porywacze przywieźli tu dzieci, to najprawdopodobniej odebrał je stąd pani „eks”. Mocno wątpię, by zrobił im jakąkolwiek krzywdę.

Lily zerknęła na starą stodołę.

- Myślicie, że technicy znajdą tu ślady Jeffa?

- Będą szukali śladów butów, włókien z ubrań, niedopałków... Wszystkiego. Jeżeli ktoś wjechał na to pole tamtej nocy, gdy porwano pani dzieci, musiał zostawić głębokie koleiny. Kilka dni później wszystko ściał mróz, więc są spore szanse, że mogły zachować się ślady opon. Zaczniemy też przesłuchiwać sąsiadów, dom po domu - dodał Rylance. - Być może ktoś z osiedla coś widział.

Lily rozejrzała się po ulicy.

- Szkoda, że bałwany nie potrafią mówić - mruknęła.

## **ROZDZIAŁ 4**

Bałwany, rzecz jasna, nie przemówiły. Ludzie z osiedla Sibley's End też niczego nie widzieli, a technicy z FBI nie odkryli żadnych śladów opon, butów - ani jakichkolwiek innych. Jedyne dowód wskazujący na udział Jeffa w porwaniu dzieci stanowił ów guzik ze strzępkiem piżamy. Tyle że była to zwyczajna dziecinna piżamka, kupiona na wyprzedaży w Dayton's, więc nie było nawet wiadomo, czy guzik rzeczywiście należał do Sammy'ego.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Śnieg padał bez przerwy od trzech dni, a Twin Cities skrzyły się od błyszczących ozdób i świateł lampek.

Lily zabrała Petrę, Jamiego i Williama na paradę Holiday w Centrum Handlowym „Nicolett”, a potem do Marco’s na pizzę i krem sultański. Wycieczka z dziećmi Agnes sprawiła jej ból. Z drugiej strony jednak, widząc, jak śmieją się i oklaskują maszerujących pomocników Świętego Mikołaja, uznała, że lepsze to od siedzenia w ciemnym i pustym domu w oczekiwaniu na coraz rzadsze telefony.

Pierwszy dzień świąt spędziła u Agnes i Neda. Przed lunchem odmówili specjalną modlitwę za Tashę i Sammy’ego, prosząc, by wrócili do domu cali i zdrowi. Lily kupiła Tashy nową lalkę Bratz, w stroju na dyskotekę, a Sammy’emu gadającego robota. Zapakowała prezenty w złoty i srebrny papier i zostawiła je pod choinką na znak, że o nich nie zapomniano i że spodziewa się ich rychłego powrotu.

Właśnie rozmawiała w kuchni z Agnes, popijając na stojąco czerwone wino, gdy wszedł Ned.

- Lily? Jacyś dwaj panowie do ciebie...

O, nie. Tylko nie agenci Rylance i Kellog, pomyślała natychmiast. Błagam. Nie w święta. I nie ze złymi wiadomościami.

W tej samej chwili w drzwiach pojawił się Bennie Burgenheim. Z jego czerwonej watowanej kurtki skapywał topniejący śnieg.

- Wesółych świąt, Lii! - zagrział, wszedł ostrożnie do kuchni i pocałował Lily. - Mam dla ciebie prezent - I oznajmił. Odwrócił się i wyciągnął rękę w stronę drzwi.

Stanął w nich mężczyzna o szczupłej twarzy, ubrany w długi czarny płaszcz i szary kapelusz z szerokim rondem.; Uśmiechnął się do Lily i uniósł na powitanie kapelusz. Miał krzaczaste brwi, błyszczące ciemne oczy i wąski, kościsty\* nos. Z pokrytą ciemnym zarostem brodą wyglądał, jakby nie golił się od przedwczoraj.

- Przedstawiam ci Johna Shooksa. John, to Lily Blake, o której ci mówiłem.

- Bennie - Lily z trudem hamowała irytację - czyj powiesz mi łaskawie, o co tu chodzi?

- Oczywiście! John jest detektywem, tym samym, który pomógł mojemu bratu Myronowi. Pomyślałem sobie, że skoro jest gwiazdka, a FBI jeszcze nie wie, gdzie są Tasha i Sammy, to Johnowi uda się ich odnaleźć...

- Bennie... - zaczęła Lily spokojnym tonem. - Wiem, że chcesz jak najlepiej... ale uważam, że FBI robi wszystko, co tylko się da.

- Ja też tak sędę - odparł Bennie. - Ale co masz do stracenia? Wiesz, to jest tak, jak na przykład z pozbywaniem się nieatrakcyjnej nieruchomości. Czasem wystarczy zasięgnąć opinii kogoś z zewnątrz, bo taki ktoś ma świeże spojrzenie.

- To prawda. Ale opchnięcie jakiejś rudery to nie to samo co ściganie porywacza dzieci. Agenci powiedzieli mi, że mają bardzo dokładne procedury, tak opracowane, by nie spłoszyć poszukiwanych.

- Bo rzeczywiście tak jest, pani Blake - odezwał się John Shooks. - I czynią bardzo rozsądnie.

Mówił z twardym akcentem z Minnesoty, jego głos przypominał skrzywienie drzwi, i na dodatek lekko seplenił, więc „rozsądnie” zabrzmiało jak „rossządnie”.

Postąpił naprzód i położył kapelusz na blacie.

- Jedną z najpoważniejszych przeszkód przy poszukiwaniu rodzica, który uprowadził własne dzieci, jest to, że ofiary chętnie współpracują z porywaczem.

- Jak to? - zdziwiła się Lily. - Moje dzieci nie chciałyby przebywać ze swoim ojcem z własnej woli.

- Owszem, może nie na początku - odparł Shooks. - Jestem jednak pewien, iż teraz bawią się z nim jak nigdy. Gwarantuję, że od pierwszego dnia nastawiał dzieci przeciw pani. I nie musiał ich długo urabiać.

- Tasha i Sammy nigdy nie przestaną mnie kochać - warknęła Lily. - Nie przestaną kochać swojej matki, niezależnie od tego, co Jeff im nagada!

Shooks uniósł brew.

- Bez urazy, proszę pani, ale pragnę zauważyć, że bardzo łatwo jest manipulować dziećmi. Są niezwykle podatne na sugestię. Dzięki temu szybko się uczą. Wystarczy lunapark i porcja lodów Rocky Road, by przekonać подростka, że życie z tatusiem jest o niebo lepsze niż z mamusią, która każe sprzątać pokój, myć naczynia i odrabiać zadania z geografii.

- Moje dzieci nie są takie - broniła się Lily.

- Aha. To znaczy, że nie lubią kolejki górskiej? Ani lodów? Wolą odrabiać lekcje niż sobie popływać? Wobec tego ma pani bardzo nietypowe dzieci.

- Panie Shooks, nie potrzebuję pańskiej pomocy - odparła Lily z naciskiem. - Bennie, dziękuję ci, że pofatygowałaś się aż tutaj z panem Shooksem. Cieszę się, że chcesz mi pomóc, ale uważam, że śledztwo powinniśmy zostawić odpowiednim służbom.

John Shooks znów się uśmiechnął. Lily nagle zauważyła, że mimo ponurej aparycji ma wyjątkowo miły uśmiech. Odniosła wrażenie, że detektyw doskonale wie, co ona przeżywa.

- No dobrze - powiedział. - Decyzja należy do pani. Co prawda uważam, że Bennie ma absolutną rację. Czasami świeże spojrzenie na problem pozwala go rozwiązać w mgnieniu oka. Niemal magicznym sposobem.

- Napijcie się, panowie? - wtrącił Ned. - Mam jeszcze ze dwa galony mojego świątecznego ponczu. Chcesz, Bennie? A pan, panie Shooks? Ma pan ochotę na szklaneczkę?

- Dziękuję bardzo, ale nie - odparł Shooks, wciąż uśmiechając się do Lily.

- Ja chyba też spasuję. Innym razem - rzucił Bennie. - Drogi są oblodzone, wolę jechać trzeźwy.

- Przepraszam, że straciłeś czas - powiedziała do; niego Lily.

Objął ją i uściśnął mocno.

- Przestań. Wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko. Pomyślałem sobie po prostu, że warto byłoby, żeby John chociaż spróbował. On naprawdę pomógł Myronowi w sprawie jego córek. Ilekroć jego była żona Velma zabierała dziewczynki, John namierzał je dosłownie w ciągu paru godzin. Myślę, że w końcu się tym zmęczyła, bo Myron już jej więcej nie spotkał.

Shooks wziął kapelusz i odwrócił się w stronę wyjścia. Gdy wychodził na korytarz, Agnes zapytała:

- Sądzi pan, że jest w stanie odnaleźć dzieci Lily? John Shooks przystanął i uśmiechnął się, nie podnosząc głowy.

- W innym przypadku nie przyjeżdżałbym tutaj, proszę pani. Nie w święta.

Agnes spojrzała na Lily.

- Może jednak pozwól panu Shooksowi sobie pomóc. W końcu co masz do stracenia?

- Zrozumcie, ja po prostu nie chcę utrudniać śledztwa FBI - odparła Lily. - Wicie, jak to jest w filmach telewizyjnych. Gliniarze aresztują tajniaków, bo myślą, że są przestępcami, i dekonspirują ich w trakcie rozgryzania siatki dealerów.

- Doskonale panią rozumiem - odezwał się Shooks. - Tyle że nie mamy tu do czynienia z policyjną prowokacją, a ja mam takie same uprawnienia do dokonywania aresztowań jak wszyscy w tej kuchni. Chcę tylko odnaleźć dzieci i oddać je pani całe i zdrowe. Tak szybko, jak to tylko możliwe.

- A jakim cudem pan tego dokona, skoro FBI nie potrafi?

- Ponieważ nie jestem z FBI, mam możliwości działania, z których oni nie mogą albo nie chcą skorzystać - odparł John Shooks.

- Czyli jakie? - zainteresował się Ned. - Na przykład... - po czym szeptem dokończył: - Mafia?

- Ależ skąd. Są na tym świecie siły o wiele potężniejsze niż mafia. I godni jej sze zaufania.

Lily nagle poczuła, jak jej serce zaczyna walić szybko i mocno. Na samą myśl, że Shooks mógłby odnaleźć Sammy'ego i Taszę, poczuła przypływ adrenaliny.



- Jak szybko potrafi pan odnaleźć moje dzieci? - zapytała, a potem dodała nieco spokojniej: - Oczywiście jeśli pana o to poproszę.

John Shooks odwrócił głowę i obrzucił ją spojrzeniem swoich ciemnych błyszczących oczu.

- Trudno mi powiedzieć. To zależy od tego, jak daleko przebywają. Sądzę, że w ciągu trzech, czterech dni.

- Skoro jest pan takim geniuszem od znajdowania ludzi, dlaczego nie jest pan sławny? I dlaczego FBI nie korzysta z pana usług? - zapytała sceptycznie Lily.

- Widzi pani, moje usługi są niezwykle kosztowne. I nie chodzi o pieniądze, bo moje honorarium jest czasami bardzo niskie. Jednak niektórych ludzi nie stać na moje usługi. A ci których stać, nie zawsze chcą zapłacić.

- Nie rozumiem.

- Zrozumiałaby pani, gdyby chciała mnie pani wynająć.

- Niech pan poda zatem orientacyjną cenę - wtrącił Ned.

- Nie teraz. - John Shooks pokręcił głową. - Muszę przedtem porozmawiać z moimi współpracownikami.

- Tysiąc dolarów? Dwa? Dziesięć? Ile?

- Niech pan powie, ile pan chce - powiedział Bennie. - Koszty pokryją Nieruchomości „Concord”. Chcemy tylko, by Lily odzyskała dzieci.

- Ile zapłacił twój brat? - zapytał John Shooks Benniego. Szef Lily w zamyśleniu zmarszczył brwi.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Nigdy mi nie powiedział.

- No właśnie - podsumował Shooks i ruszył do wyjścia. Lily już wiedziała, że nie może pozwolić mu odejść. Jeżeli potrafiłby odszukać Tashę i Sammy’ego w ciągu trzech, czterech dni, nie obchodziła ją wysokość wynagrodzenia za jego usługi, nawet jeżeli musiałaby sprzedać dom i żyć w tanim mieszkaniu w Cedar-Riverside.

- Panie Shooks... - zaczęła. Detektyw zatrzymał się i czekał cierpliwie.

\*\*\*

Spotkali się przy stodole Sibleya o jedenastej następnego dnia. Śnieg przestał padać, na bladoszarym niebie wisiało pomarańczowe słońce.

Lily miała na sobie płaszcz z lisa, taki sam kapelusz i ciepłe futrzane boty. John Shooks czekał na nią po drugiej stronie pola Królika z Brer, w tym samym kapeluszu i płaszczu co wczoraj. Na szyi miał bardzo długi czarny szal. Jego oddech unosił się obłoczkami w zimnym powietrzu.

- Dobrze się spało? - zapytał, gdy podeszła. Lily była zaskoczona. Jak na osobę, która ledwo ją знаła, zadał dość niedyskretne pytanie. Ale z drugiej strony... na pewno chciał wiedzieć, w jakim jest nastroju.

- W sumie nie najlepiej. Ale chyba pan rozumie.

- Rozejrzałem się po stodole - oznajmił Shooks. - FBI miało rację, nie ma śladów fizycznych. Żadnych odcisków butów czy palców ani włókien.

- Więc co pan zamierza?

- Najpierw ustalimy, co tu się stało.

- Niby jak? Nie mamy żadnych dowodów. Shooks uśmiechnął się pod nosem.

- Fizycznych może nie. Ale ludzie pozostawiają po sobie nie tylko ślady fizyczne. Chodzi mi o pewien rezonans, echo...

- FBI użyło tu nawet psów. Niczego nie znalazły - odparła Lily.

- Nie mam na myśli zapachu. Proszę wejść do stodoły, pokażę pani, o co mi chodzi.

Po pełnej wahania chwili Lily przestąpiła próg, a Shooks wszedł za nią. Stała się pośród rozwleczonej słomy, on zaś krążył dookoła, wodząc palcami po ścianach.

- Czego pan szuka? - nie wytrzymała Lily. Detektyw zatrzymał się.

- Byli tutaj. Słyszę ich.

- Jak to, słyszy pan? Nie rozumiem.

W odpowiedzi Shooks podszedł do Lily z dłońmi przy twarzy. Zatrzymał się jakieś pół metra od niej i nagle wywrócił oczy białkami do góry. Lily cofnęła się o krok, potem następny. Twarz Shooksa wyglądała jak pośmiertna maska.

- *Gdzie idziemy?* - odezwał się niespodziewanie. Jego głos zmienił się - był teraz wysoki i brzmiał jak głos Sammy'ego.

Lily przeszedł dreszcz. To nie było brzuchomówstwo, Shooks nie naśladował głosu. W jakiś sposób jego ustami przemawiał Sammy.

- Jak pan to zrobił? - zapytała. - To głos Sammy'ego! W jaki sposób...

- *Mamusia będzie się martwiła* - oznajmił Shooks, tym razem mówiąc głosem Tashy. - *Lepiej zabierz nas do domu.*

- *Przecież chcielibyście wyjechać* - odpowiedział jakby sam sobie Shooks. Przemówił głosem Jeffa, a Lily aż podskoczyła i okręciła się dookoła, by sprawdzić, czy przypadkiem jej były mąż za nią nie stoi.

- *Mama na pewno nie będzie zła, jeżeli wyjedziemy na parę dni. Popływamy, pojeździmy konno. Będziemy robili wszystko, na co przyjdzie nam ochota.*

- *A czy mamusia wie?* - spytała Tasha.

- Zadzwoń do niej, słowo. Tyle że nie chciała, abym się z wami zobaczył, dlatego moi przyjaciele musieli was wynieść po cichu.

- Zimno mi - poskarżył się Sammy. - Nie chcę wyjeżdżać na wakacje. Chcę wrócić do łóżka.

- Spokojnie. Moi przyjaciele zaraz przyprowadzą samochód. Mam w nim koce, więc będzie wam ciepło. Możecie spać po drodze.

Lily podeszła wolnym krokiem do Shooksa i zapytała:

- Jeff? Jeff, słyszysz mnie? Gdzie zabierasz dzieci? W odpowiedzi usłyszała głos Sammy'ego:

- Nie chcę wyjeżdżać na wakacje. Chcę do domu.

- Jeff! - Lily z krzykiem doskoczyła do Shooksa, złapała go za uniesione nadgarstki i potrząsnęła nim. - Gdzie ty je bierzesz, Jeff!?

Zapadła cisza, długa cisza. Gdzieś pod okapem dachu załopotąła skrzydłami sowa, po czym dobieła z siebie głuchy, niepokojąco ludzki jęk.

Shooks powoli zamknął oczy. Gdy uniósł powieki, Lily znów zobaczyła jego czarne, błyszczące źrenice. Spojrzał na dłonie Lily, nadal trzymające go za nadgarstki, po czym zdecydowanym, choć delikatnym ruchem uwolnił ręce.

- Słyszała ich pani, prawda?

- Oczywiście, że słyszałam! Mówił pan... jak Sammy, potem jak Tasha, a potem... jak Jeff. Jak pan to zrobił?

- Pani Blake, po prostu wykorzystałem dobrze znane zjawisko - odparł Shooks. - Naukowcy nazywają je śladem akustycznym.

- Co takiego? - zdziwiła się Lily.

- To bardzo proste, już tłumaczę. Kiedy coś gdzieś powiemy, nasze słowa nadal rozbrzmiewają w tym miejscu przez jakiś czas. Może to trwać dnie lub nawet tygodnie, w zależności od otoczenia i siły, z jaką zostały wypowiedziane. - Shooks popukał się palcem w czoło. - Te słowa potrafi usłyszeć każdy, kto jest wyczulony. To taki dar. Ja odziedziczyłem go po prapradziadku od strony matki, który był Siuksem z plemienia Mdewakanton. Siuksowie nazywają ten dar „mową duchów”.

- To znaczy... To były naprawdę ich głosy? Tashy, Sammy'ego i Jeffa?

- Jak najbardziej - przytaknął Shooks. - Zresztą sama pani ich słyszała. I moim zdaniem te głosy są niezbitym dowodem, że to pani były mąż porwał dzieci i chciał panią zabić.

- Więc gdzie jest teraz Jeff?

- Wygląda na to, że chciał pojechać gdzieś, gdzie jest ciepło. Kto wie, może do Meksyku?

- Sądziłam, że potrafi pan to ustalić - mruknęła Lily.

- Oczywiście, że potrafię, lecz nie sam. Nie posiadam wystarczających zdolności, by tropić ludzi... Ale znam kogoś kto je posiada.

- No to na co czekamy?

- Pamiętaj pani, co mówiłem u pani siostry? O cenie?

- Tak. I co z tego? Zapłacę każdą cenę.

- Wiem o tym. Muszę jednak panią ostrzec: mój znajomy może się nie skusić na zapłatę...

- Nie rozumiem.

- Najlepiej będzie, jak go pani przedstawię. Wtedy się okaże, czy zechce pani pomóc.

- W porządku. Kiedy się z nim spotkam?

\*\*\*

Gdy wróciła do domu, czuła się podenerwowana i zniecierpliwiona. W domu było zimno i cicho. Zegar w korytarzu stanął, wypalone polana czerniły się w kominku. Skierowała się do pralni za kuchnią, w której Sierżant ucinął sobie drzemkę. Pies przebudził się i obrzucił swoją panią wzrokiem tak smutnym, że można było pomyśleć, iż pragnie powrotu dzieci bardziej niż ona sama.

Przykucnęła obok niego i delikatnie potargała go za uszy.

- Nie martw się, piesku. Mamcia znalazła pana, który ich odszuka. Przynajmniej ma taką nadzieję.

Sierżant zaskomlał i polizał ją po dłoni.

Zadzwoił telefon. Po drugiej stronie był agent Kellog.

- Mamy doniesienie z Estherville, parę kilometrów za granicą z Iowa. Widziano dzieci bardzo podobne do Tashy i Sammy'ego. Tamtejsza policja stanowa przesłała nam e-mailem zdjęcia tych dzieciaków. Niestety to nie one. Przykro mi, bo chciałem zrobić pani spóźniony prezent na święta.

Lily aż kusiło, by powiedzieć Kellogowi, co Shooks odkrył w stodole Sibleya - że to Jeff porwał jej dzieci i prawdopodobnie zabrał je gdzieś na południe - jednak zrezygnowała. Uznała, że Kellog i Rylance nie byłiby zachwyceni, gdyby się dowiedzieli, że w ich dochodzenie wtrąca się jakiś amator. Zwłaszcza jeśli tym amatorem jest jakiś pół-Indianin, w dodatku potrafiący mówić głosami innych ludzi.

Wybrała się z Sierżantem na spacer. Ulice pokryte były warstwą śniegu, panowała niezmacona cisza. Bezlistne gałęzie rosnących wzdłuż ulicy dębów obsiadły setki wron, jakby dusze wszystkich zmarłych w Minneapolis dzieci zgromadziły się na czuwaniu.

Lily wierzyła, że Tasha i Sammy żyją. Zastanawiała się, w jaki sposób inne matki potrafią znieść świadomość, iż ich dzieci zginęły. Przypuszczała, że pustka i poczucie straty muszą je doprowadzać do szaleństwa.

Gdy przemierzała pusty park, rozdzwoniła się jej komórka.

- Pani Blake, John Shooks z tej strony. Mój znajomy powiedział, że możemy się z nim spotkać jutro w południe.

- Czy przekazał mu pan, że jestem gotowa zapłacić każdą sumę?

- Szczerze mówiąc, nie poruszaliśmy tego tematu.

- Jak to? Rozumie pan przecież, że muszę odzyskać dzieci. Dostanie wszystko, czego zażąda...

- Pani Blake, zadzwonię w tej sprawie jutro - oznajmił Shooks i rozłączył się.

Lily rzuciła okiem na wyświetlacz. Shooks miał zastrzeżony numer.

Stała w środku pustego parku, otoczona śniegiem i ciszą, po raz pierwszy w życiu czując się tak, jakby była jedyną żywą istotą na Ziemi.

## **ROZDZIAŁ 5**

Gdy nazajutrz rano siedziała w jadalni nad kubkiem kawy i ulotką o osiedlu Shingle Creek, ktoś zadzwonił do drzwi.

W drzwiach stał Bennie, w czapce z baraniej skóry, co najmniej o dwa numery za małej.

- Wchodź! - zawołała Lily.

- Jechałem do Tangletown i pomyślałem, że wpadnę po drodze...

- Chcesz kawy?

Bennie otupał obuwie na wycieraczce i odparł:

- Nie, nie... mam tylko chwilę. Muszę pokazać ludziom posiadłość w Starling.

- No, no. Jeżeli sprzedasz tę rudę po cenie zbytu, ta będziesz lepszy ode mnie.

Bennie zdjął pikowaną kurtkę, a czapkę zatknął na kolumience poręczy schodów.

- Widziałas się wczoraj z Shooksem? - zapytał.

- Owszem, i nawet robimy postępy. Mamy się dziś przed południem spotkać z jego znajomym.

- Bardzo dobrze - skwitował Bennie, po czym dodał: - To znaczy, mam nadzieję, że będzie dobrze.

- Co to znaczy „mam nadzieję”? Mówiłeś, że ten facet jest drugim Sherlockiem Holmesem.

- Lii, sam nie wiem... Chociaż może to nieważne... Wczoraj widziałem się z Myronem. Powiedziałem mu, że John Shooks wziął twoją sprawę, na co Myron odparł, że to dobrze i że na pewno odnajdzie dzieci. Mimo to nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Zapytałem go, czy coś jest nie tak, ale zaprzeczył. Potem spytałem, ile Shooks od niego wziął, chciałem, żebyś miała pojęcie, ile może cię to kosztować. A Myron odparł, że nie zapłacił pieniędzmi.»

- Jak to nie pieniędzmi?

- Tak odpowiedział, ale drążyłem dalej i zapytałem: „Jeśli nie pieniędzmi, to czym?”. Myron mi na to, że swoim sumieniem.

Lily aż przysiadła na stole.

- Sumieniem? Nie powiedział ci nic więcej?

Bennie wyciągnął wielką, zieloną chustkę i wysmarkał się w nią.

- Oświadczyłem, że nie rozumiem i że ma mi powiedzieć, czy umowa z Shooksem niczym ci nie grozi. W końcu nie chcę, Lii, żeby coś poszło nie tak. Myron stwierdził, że jeżeli robi się interesy z Johnem Shooksem, trzeba mu zapłacić tyle, ile zażąda, choćby nie wiem co. Dlatego powinnaś się porządnie zastanowić, zanim zgodzisz się na jego pomoc.

Lily nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Nie mogła sobie wyobrazić niczego, czego nie byłaby w stanie dać Shooksowi. Chciała odzyskać Sammy'ego i Tashę za każdą cenę - nawet jeżeli Shooks zażądałby miliona dolarów, była pewna, że je zdobędzie.

Była doświadczonym handlowcem. Dobrze wiedziała, jak robi się interesy i negocjuje umowy. Zanim wynajęła Shooksa, przemyślała dokładnie całą sprawę, analizując ją pod każdym kątem, zarówno prawnym, jak i finansowym. Była prawie pewna, że Shooks nie da rady wyciąć jej żadnego numeru - jak na przykład przetrzymywanie dzieci do czasu uregulowania rachunku. Nie sądziła jednak, by był zdolny do czegoś takiego.

- Być może robię z igły widły - odezwał się Bennie. - Myron miewa swoje humory, wiesz, raz mam z nim ubaw po pachy, a po chwili dołuje, aż przykro. Myślałem, że cieszy się z tego, co Shooks dla niego zrobił. W końcu dlatego przyprowadziłem go do ciebie. Ale wolałem cię uprzedzić, tak na wszelki wypadek.

- To bardzo miłe z twojej strony - rzekła Lily. - Wydaje mi się, że Myron czuje się winny, iż odebrał dzieci Velmie i zmniejszył alimenty. Po pewnym czasie do ludzi dociera,

przynajmniej do niektórych, jak bardzo byli wobec siebie paskudni podczas rozvodu. Wiem, że ja tego żałowałam. Ale teraz, po tym, co Jeff mi wywinął, już *nic* żałuję.

- Może masz rację. I oby dzieciaki wróciły jak najszybciej. - Bennie rzucił okiem na zegarek. - Muszę lecieć. Umówiłem się z klientami na wpół do dwunastej.

Jednak nie od razu sięgnął po czapkę i kurtkę, więc Lily zrozumiała, iż ma coś jeszcze do powiedzenia.

- O co chodzi? - zapytała. Bennie uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Lii, ty chyba czytasz w myślach. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, zwłaszcza że bardzo cię lubię. Przejrzałem twoje dane ze sprzedaży z ostatnich dwóch miesięcy. Zdajesz chyba sobie sprawę, że wiele ci brakuje do osiągnięcia założonego celu, a nie robisz zbyt wiele, żeby wykonać plan.

- Bennie, sam wiesz, że ostatnie miesiące były trudne. Jest zastój na rynku.

- Tak, wiem... ale chodzi mi również o to, że niektórzy klienci wolą rozmawiać z kimś innym. Większość miejscowych wie, co ci się przydarzyło, że porwano twoje dzieci i usiłowano spalić cię żywcem. Musisz zrozumieć, że nie wszyscy czują się dobrze w twoim towarzystwie.

- Co takiego?

- Lii, to nie znaczy, że ci ludzie są bez serca, wręcz przeciwnie. Wiedzą, przez co przesłaś. Ale zrozum, oni chcą rozmawiać z agentem od nieruchomości wyłącznie o projekcie kuchni, garderoby czy o cenie. A tymczasem boją się, że poruszą bolesny temat, wspominając o zagrożeniu pożarem czy bezpieczeństwie własnych dzieci.

- Aha. Rozumiem.

- I jeszcze jedno... Chodzi o twoje włosy. To, że masz ogoloną głowę i przewiązujesz ją chustą. Wielu naszych klientów sądzi, że jesteś po chemioterapii. Szczerze mówiąc, to też nie wpływa dobrze na ich samopoczucie.

- Och! Myślę, że mam raka? No tak, może być im głupio.

- Lii, wiem, że to brzmi nieco okrutnie, ale jeżeli ludzie myślą, że ich agent ma raka, to nie są specjalnie nastroszeni do zakupu...

- Bennie, ogoliłam głowę na znak, iż jestem kobietą wojownikiem. To wyraz mojej determinacji, woli walki o powrót dzieci.

- Wiem o tym - bronił się Bennie. - Wszyscy w Concord wiedzą, co to znaczy. Ale z drugiej strony nie stać nas na odstraszenie klientów.

- To o co ci chodzi? Mam zapuścić włosy?

- Nie, ale myślę, że powinnaś wziąć sobie wolne na jakiś czas. Jeżeli nadal chcesz prowadzić kampanię reklamową My stery Lake, to proszę bardzo. Uważam po prostu, że powinnaś zostać w domu, skupić się na szukaniu dzieciaków i poukładaniu sobie życia. Dopiero potem możemy rozmawiać dalej o twojej pracy.

- Rozmawiać dalej - powtórzyła Lily, kiwając głową. - Skoro tak to widzisz...

- Dobrze wiesz, co do ciebie czuję. Mówię o tym, co czuję prywatnie, pomijając twoje przeżycia.

W odpowiedzi Lily zdjęła czapkę Benniego z kolumienki i wręczyła mu ją.

- Do zobaczenia, Bennie. Dzięki, że wpadłeś. No i...j powodzenia ze Starling.

\*\*\*

Gdy zegar kończył wybijać jedenastą, pod drzwiami domu Lily pojawił się John Shooks. Na podjeździe stał ukośnie zaparkowany wielki czarny buick electra z 1987 roku. Miał włączony silnik, a spaliny tworzyły wielką białą chmurę w zimnym powietrzu.

- Jest pani gotowa? - spytał Shooks. - Przed nam godzina jazdy, może nieco mniej.

- Gdzie jedziemy?

Lily wyszła z domu i zamknęła drzwi.

- Do Doliny Czarnych Kruków. To jakieś sześć mil na południe od rzeki Minnesota. Tam spotkamy się z moim znajomym, George'em Żelaznym Piechur.

- To on ma znaleźć Taszę i Sammy'ego?

- Tak. Będzie wiedział, jak to zrobić.

Otworzył przed nią drzwi samochodu. Zaskrzypiały w zawiasach. Czarne skórzane siedzenia electry były wytarte,; a w kabinie unosił się dziwny ostry zapach, przypominający rosyjskie papierosy. Gdy tylko zjechali na jezdnię, zaczęło padać, z początku słabo, ale kiedy dotarli do Bloomington, śnieg padał już gęsto, wielkimi płatkami.

- Rozumiem, że pański znajomy zgodził się mi pomóc? - zapytała Lily.

- Powiedzmy, że zgodził się z panią porozmawiać.

- Nigdy nie byłam w indiańskim rezerwacie. Shooks przetarł przednią szybę rękawem płaszcza.

- No i nie będzie pani. Nie dziś. George Żelazny Piechur nie jest co prawda pustelnikiem, ale woli żyć na swój sposób, w dziczy. Twierdzi, że potrzebuje ciszy, by słyszeć otaczające go duchy.

- Aha...

Przez chwilę jechali w milczeniu. Szosa przed samochodem była oślepiająco biała od śniegu. Lily zdawało się, że widzi na niej jakieś postacie, tańczące w śniegu niczym duchy.



- Panie Shooks... jak pan został detektywem? - zapytała w końcu.

Pociągnął nosem i odparł:

- Chyba z musu. Pracowałem jako reporter dla „Minneapolis Star Tribune”, ale zawsze wolałem zbieranie materiałów od pisania.

Przez chwilę milczał, uśmiechając się do swoich myśli.

- Problem w tym, że lubiłem te dziennikarskie śledztwa aż za bardzo. W końcu pewnego razu dokopałem się do różnych historii o miejskich prominentach i nieletnich dziewczynach, a wtedy oświadczone mi grzecznie, iż moje usługi nie są już potrzebne. Trzeba umieć dostosować się do reguł tej gry, jeśli żyje pani w takim wielkim mieście jak Minneapolis, pani Blake. Czytelnicy chcą być pewni, że dokonali dobrego wyboru, że zamieszkali w zamożnym, szczęśliwym i spokojnym miejscu.

- Ma pan w sobie indiańską krew. To ciekawe...

- Doprawdy? Ha, jestem w jednej ósmej Indianinem. To tak, jakby tylko moja lewa noga była z Siuksów, a reszta kanadyjsko-niemiecka. Mnie to raczej denerwuje, niż ciekawi.

- Ale umie pan robić coś z głosami.

- A, to... Jasne. Umiem też przepowiedzieć kilka godzin wcześniej, kiedy wiatr zmieni kierunek. Cały problem w tym, że moi krewni ze strony Siuksów oczekują, iż będę pogardzał białymi tak jak oni, natomiast biali krewni mają mnie za człowieka tylko w siedmiu ósmych.

Jechali na zachód, wzdłuż południowego brzegu rzeki Minnesota, której Lily nie widziała - śnieg padał taki gęsto, że mogła dostrzec tylko sosny na poboczach, uginające się pod śnieżnymi czapami. Po jakichś dwudziestu minutach Shooks niespodziewanie skręcił z drogi numer 101 i ruszył wąskim, wyboistym traktem, biegnącym wzdłuż gęstniejącego lasu. Wyglądał, jakby rano oczyścił go pług śnieżny, ale teraz świeży śnieg zaczynał już wypełniać koleiny.

- Jeszcze kawałek - powiedział Shooks. Buick ze skrzypieniem podskakiwał na wybojach.

- Nie martwię się o to, czy dotrzemy, tylko czy wrócił my - odparła Lily.

- Nic się nam nie stanie. Są gorsze rzeczy od spędzenia nocy u George'a Żelaznego Piechura. To człowiek o ogromnej wiedzy, zwłaszcza jeśli chodzi o kulturę Indian. Wie wszystko, wie, w jaki sposób bobry przygotowały Ziemię dla ludzi...

- Bobry? Myślałam, że to Bóg stworzył świat.

- To taka legenda plemienia Mdewakanton, ale George traktuje te sprawy bardzo poważnie. Zaangażował się mocno w sprawy Indian. Słyszała pani o kasynie w Thunder Falls? To w większości dzieło George'a. Proszę mi wierzyć,-; w mgnieniu oka odmieniło

rezerwat nie do poznania. Dzięki pieniądзом z kasyna Mdewakantoni mają prąd, kanalizację i ośrodki zdrowia. Zbudowali też sobie kryty basen. Mają nawet klinikę ortodontyczną.

Lily spojrzała przez szybę. Przed nimi, po lewej, las zaczął się wznosić. Nagle zauważyła coś. Nie była pewna czy to nie złudzenie optyczne, ale wydawało jej się, że dostrzegła dziesięć, może jedenaście szarych sylwetek, biegnących między drzewami.

- Czy to wilki? - zapytała Shooksa. Detektyw spojrzął w kierunku, który wskazywała.

- Niczego nie widzę.

- Na pewno widziałam wilki.

- Hm... Może to były bezpańskie psy. W tym rejonie jest ich pełno, szukają resztek żywności.

- Były zbyt duże jak na psy.

- A może czarownice - mruknął Shooks.

- Czarownice?

- Wielu Indian wierzyło niegdyś, że wilki są czarownicami przyjmującymi zwierzęcą postać. W języku Lakota słowo „wilk” znaczy też „wiedźma”.

Buick nagle zaczął począł ślizgać się bokiem, więc Shooks skręcił mocno w lewo, a potem w prawo, próbując wyprowadzić wóz na prostą.

- Lepiej, żeby to były tylko wilki. W całej Ameryce Północnej nigdy nie słyszano, aby wilk zagryzł człowieka. Za to Indianie znają pełno opowieści o czarownicach, które potrafiły spalić czyjąś chatę z odległości kilkudziesięciu kilometrów albo obdzierały niemowlęta ze skóry...

Lily milczała. Nie miała ochoty rozmawiać o pożarach ani o okaleczaniu dzieci. Wciąż budziła się nocami, łapiąc rozpaczliwie powietrze i czując, że jej skóra i włosy płoną. Nie chciała nawet sobie wyobrażać, co można zrobić bezbronnym dzieciom - zwłaszcza dzieciom, które porwano w środku nocy i które nie wiedziały, jak wrócić do domu.

- Dobrze się pani czuje? - spytał Shooks.

\*\*\*

W końcu dojechali na szczyt wzniesienia i ujrzeni poniżej okolony werandą parterowy dom. Wśród padającego śniegu snuł się posepnie dym wydobywający się z ceglaneanego komina. Przy domu stała pomalowana na ceglasty kolor stajnia z zaparkowanymi wokół niej trzema pick-upami oraz całkiem nowym niebieskim subaru foresterem.

Shooks objechał stojący przed domem samochód i nacisnął klakson. Niemal natychmiast otworzyły się drzwi domu i stanął w nich wysoki mężczyzna, ubrany w kraciatą czerwoną koszulę i dżinsy. W kilku susach pokonał schody i otworzył drzwi po stronie Lily.

- Witam w Dolinie Czarnych Kruków - oświadczył, wyciągając dłoń. - Jestem George.

- Miło mi cię poznać - powiedziała Lily, spoglądając na Indianina i mrużąc oczy przed płatkami śniegu. - Lily.

Dopiero gdy wysiadła z samochodu, zdała sobie sprawę, jak wysoki jest George - musiał mieć co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów. Był także niezwykle przystojny - miał krótkie włosy, szerokie czoło i mocną szczękę. W jego oczach dostrzegła łobuzerski, świadczący o pewności siebie błysk. Lily zawsze lubiła coś takiego u przystojnych mężczyzn, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

Na masywnej szyi Indianin nosił kilka krótkich srebrnych naszyjników oraz jakąś ozdobę z koralików, kości i piór przypominającą łapacz snów.

- Zapraszam do środka - powiedział, podtrzymując Lily za łokieć, kiedy wchodziła po oblodzonych schodach. - Nie wybraliście sobie dobrego dnia na odwiedzin. Mówię o pogodzie. Według prognoz ma padać całą noc i przez większość następnego dnia.

- Wszystko przez tych Kanadyjców - mruknął Shooks. - To od nich przyszło.

- Nie bądź dla nich zbyt surowy. - George Żelazny Piechur uśmiechnął się. - Zawdzięczamy im nie tylko tę zakichaną pogodę. Przyjeżdżają tu przegrywać i zostawiają u nas swoje pieniądze.

Wprowadził Lily do salonu. Pomieszczenie było obszerne, choć niskie, i porządnie ogrzane. W wielkim kominku huczał ogień. Ściany udekorowano wielobarwnymi indiańskimi pledami oraz zdjęciami słynnych wodzów plemienia Mdewakanton i obozów Siuksów. Meble były stare, w stylu Sears-Roebuck z początku XX wieku, a na każdym siedzisku leżała wielka wyszywana poducha.

Przy kominku klęczała dziewczyna. Miała wysokie kości policzkowe i błyszczące, ciemne, sięgające do pośladków warkocze z wplecionymi koralikami. Ubrana była w ciemnoczerwony golf i obcisłe dzinsy. Mimo iż klęczała, widać było, że jest wysoka i ma długie nogi.

- Hazawin - powiedział George do dziewczyny, a ona odwróciła się ku niemu. Byłaby niemal doskonale piękna, gdyby nie lekko asymetryczne i zbyt ostre rysy. Najbardziej jednak uderzały jej oczy, zamglone, purpurowe. I zupełnie ślepe.

- Hazawin, to jest Lily. Johna Shooksa już poznałaś. Dziewczyna uśmiechnęła się do Lily.

- Miło cię poznać, Lily. Przykro mi z powodu okoliczności, w jakich się spotykamy.

- Mówiłem jej, po co przyjechałaś - wyjaśnił George. - Hazawin nam pomoże. Jej więź ze światem duchów jest niezwykle silna.

- Światem... duchów? - zdziwiła się Lily. Shooks wtrącił pośpiesznie:

- Nie powiedziałem jej wszystkiego, George. Nie wspomniałem o duchach. Uznałem, że ty to lepiej zrobisz.

- Zwrócił się do Lily: - Ta gadka o jedności z naturą i innych podobnych rzeczach to nie moja działka. W końcu jestem Mdewakantonem tylko w jednej ósmej. Umiem przekazywać głosy i przepowiadać pogodę, ale na duchach znam się tak sobie.

- Proszę, usiądźcie - powiedziała Hazawin. - Przyniosę wam herbaty. Może być ziołowa?

- Ha! jeśli macie Wild Turkey, to nie odmówię - odparł Shooks. - Bez lodu. I bez parasolki.

Hazawin wstała i wyszła z pokoju, swobodnie poruszając się między meblami. Nawet nie dotknęła żadnego z nich. Lily pomyślała, że może powinna pójść do kuchni i pomóc dziewczynie, lecz w tej samej chwili podszedł do niej George i pomógł jej zdjąć płaszcz.

- Proszę, rozgość się. Lily przysiadła na skraju jednej z kanap naprzeciw kominka. Czowała się niezręcznie i niemal żałowała, że tu przyjechała, ale nie mogła prosić teraz Shooksa, by odwiózł ją do Minneapolis.

Indianin usiadł naprzeciwko Lily. Dopiero teraz zauważyła, że oprócz naszyjników i piór nosi srebrne bransolety. Jedna z nich była łańcuszkiem złożonym z dwudziestu czy może trzydziestu ogniw w kształcie niedźwiedzi, trzymających w pyskach ogon poprzednika.

George długim pogrzebaczem poruszył polano w kominku. Ogień skoczył wyżej, załśnił w jego oczach.

- John powiedział mi, co ci się przydarzyło - zaczął. - Niewiele jest gorszych doświadczeń w naszym życiu niż; zdrada ze strony kogoś, komu ufaliśmy, kogoś, kto nas kochał.

- To prawda... - przyznała Lily. Nigdy przedtem nie była mściwa. Łatwo ją było co prawda rozdrażnić, szybko traciła cierpliwość, ale jej napady złości były krótkie i potem zawsze była skłonna pójść na kompromis. Tym razem jednak chciała, żeby Jeff cierpiał, cierpiał przynajmniej tak bardzo jak ona. Kiedy myślała o tym, co jej zrobił, czuła do niego taką nienawiść, że aż zasychało jej w ustach.

- Rozumiem, że FBI jeszcze nie wie, gdzie znajdują się twoje dzieci? - upewnił się George.

Lily przytaknęła.

- Dziś mija sześćdziesiąt dziewięć dni, a oni nawet nie wiedzą, czy dzieci są na kontynencie.

George spojrział na Shooksa.

- Sądziś, że ojciec zabrał dzieci na południe? Do Meksyku?

- Tak przypuszczam.

Indianin rozparł się na kanapie i wpatrywał w Lily tak długo, aż odwróciła spojrzenie.

W końcu powiedział:

- Istnieje pewien sposób na odnalezienie twoich dzieci.

Prawdopodobnie nie uwierzysz w to, co ci powiem, ale powinnaś mi zaufać.

Lily patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym odparła:

- W porządku. Ufam ci.

- To dobrze. Najpierw jednak musimy zawrzeć umowę.

- Chcesz, żebym najpierw dała ci pieniądze?

- Tu nie chodzi o pieniądze, nie tym razem. Ale dla nas jest to rzecz o wielkiej wartości.

- Jaka rzecz?

George podszedł do ciemnego dębowego sekretarzyka w przeciwległym końcu salonu.

Otworzył go, wyjął złożoną mapę i wrócił z nią do kominka.

- Spójrz. - Rozłożył mapę na kanapie. - Wiesz, gdzie to jest?

Lily w skupieniu przyglądała się mapie. Przedstawiała jezioro i otaczające je lasy. Miała wrażenie, że już je gdzieś widziała, ale nie była pewna gdzie. Po chwili George obrócił mapę o sto osiemdziesiąt stopni.

- A teraz? Widzisz, co to jest?

- Ach, tak! To jezioro My stery.

- Z tego, co wiem, twoja firma sprzedaje część tamtejszych gruntów.

- Owszem, to prawda. Stanie tam osiedle, które może przynieść ogromne zyski. Reklamujemy je pod hasłem „niezwykłe osiedle dla aktywnych profesjonalistów”. Prościej mówiąc, ma to być luksusowa enklawa lekarzy, prawników i biznesmenów. Będzie tam przystań dla jachtów i pole golfowe według projektu Toma Fazio.

- Ten teren jest świętą ziemią ludu Mdewakanton - oświadczył George.

- Nie wiedziałam...

- Nie dziwi mnie to. Nie oczekiwałem, że będziesz wiedziała. Biali ludzie nie dostrzegają śladów zostawianych przez duchy. To nad Mystery Małemu Krukowi objawił się Haokah, który ostrzegł go, iż jego ziemia zostanie mu wyszarpięta spod nóg niczym mata. Tak też się stało dzięki traktatowi z tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku, na mocy

którego Mały Kruk oddał północną Minnesotę białym. Mdewakantoni musieli opuścić należące do nich wzgórze i jezioro.

- Rozumiem... - odparła Lily, ale po chwili dodała: - A właściwie to nie rozumiem.

- Czy wiesz, kim jest Haokah? - zapytał George. - Jest bogiem gromu oraz łowów. Płacze, kiedy jest szczęśliwy, a śmieje się, kiedy jest smutny.

Wskazał na mapie kawałek lądu w kształcie haka, który wrzynał się w jezioro na północno-zachodnim brzegu.

- W tym miejscu Haokah objawił się Małemu Krukowi. Ich postacie odbijały się w wodzie, co wyglądało, jakby jednocześnie mieszkali w świecie duchów i ludzi.

Zamilkł na chwilę, najwyraźniej spodziewając się, że Lily go o coś zapyta, ale nie miała pojęcia, jakie pytanie zadać.

- Chcę mieć tę ziemię - odezwał się w końcu.

- Chwileczkę... Chcesz ją mieć? Właśnie ten kawałek ziemi? To znaczy, że mam ci ją kupić, abys znalazł moje dzieci?

- To cena za moje usługi. Lily w zakłopotaniu wydeła usta.

- No... nie wiem. Nie mam przy sobie planu osiedla, ale o ile pamięć mnie nie zawodzi, to dokładnie w tym miejscu ma powstać przystań.

- Wiem o tym. Widziałem plan zabudowy.

- George, ta nieruchomość... Nie umiem ci powiedzieć,; ile jest warta, ale...

Przerwał jej gestem dłoni.

- Ta ziemia nie ma dla mnie wyłącznie materialnej wartości. Dla Mdewakantonów jest po prostu bezcenna.

Lily wpatrywała się w mapę, w skupieniu marszcząc brwi. Gdyby tak przesunąć przystań o sto metrów na wschód, a pomost postawić na betonowych filarach... Cóż, koszty znacznie wzrosłyby, ale może znów nie aż tak bardzo. Ćwierć miliona? Jej dom wart był przynajmniej czterysta pięćdziesiąt tysięcy i zawsze mogła ponownie zaciągnąć kredyt hipoteczny. A gdyby jeszcze Bennie jej pomógł, tak jak obiecał, to...

- Dobrze - powiedziała. Czowała, jak płoną jej policzki. Zgodziła się oddać posiadłość, która nawet do niej nie należała. - Skoro możesz sprowadzić moje dzieci, całe i zdrowe...

- Przysięgasz przekazać mi tę ziemię? Czy zdajesz sobie sprawę z konsekwencji niedotrzymania tej obietnicy?

- Przysięgam, George. Przysięgam, że gdy tylko Tasha i Sammy znajdą się bezpiecznie w swoim domu, ta ziemia stanie się twoją własnością.

- Znakomicie - odparł George i złożył mapę. - To będzie wielki dzień dla ludu Mdewakantonów.

- Bardzo się z tego cieszę - powiedziała Lily. - Ale jak właściwie zamierzasz odnaleźć moje dzieci?

## ROZDZIAŁ 6

Hazawin wniosła tacę z ręcznie malowanymi kubkami, w których parowała ziołowa herbata. Lily nie potrafiła rozpoznać naparu po zapachu, który obudził w niej niejasne wspomnienia. Jakiś pokój. Czyjś ogród. Czyjaś twarz, zwracająca się ku niej z uśmiechem.

- Z czego jest ten napar? - zapytała.

- Z werbeny oraz kilku innych ziół. Pozwoli ci obronić się przed każdym, kto zechce cię skrzywdzić.

- Magiczne lekarstwo - mruknął John Shooks. - Może nie takie jak Wild Turkey, ale jest całkiem, całkiem.

George stał przy oknie. Śnieg wciąż padał. Samochód Shooksa niemal już zasypało. Indianin odwrócił się do Lily.

- Czy słyszałaś kiedyś o Wendigo?

- O Wendigo? No pewnie. Widziałam film o nim. To jakiś leśny duch, zgadza się?

- To demon, który zamieszkuje w północnych lasach - wtrąciła Hazawin. - Nazywają go różnie: Weteego, Witiko. Dzięki opowiadaniu Algernona Blackwooda oraz filmowi, który oglądałaś, większość białych zna go pod imieniem Wendigo.

- Niektórzy myślą, że to Blackwood wymyślił Wendigo - powiedział George. - Ale Siuksowie wiedzą o nim od wieków. Jego imię oznacza „zjadacz ciała”, a dokładniej „kanibal”.

- Kanibal? - powtórzyła zdziwiona Lily.

Tak. Siuksowie wierzą, że jeżeli ktoś spróbuje ludzkiego mięsa, to z czasem zamieni się w Wendigo... samotnego, wiecznie głodnego drapieżnika, ukrywającego się w lasach i żywiącego myśliwymi, którzy nieopatrznie wejdą mu w drogę.

Shooks nalał sobie bez pytania kolejną szklaneczkę whisky i wypił ją jednym haustem.

- Wodzowie Siuksów ponoć wymyślili Wendigo, by zniechęcić swój lud do kanibalizmu w czasie zimy, gdy brakowało żywności - mruknął.

- Historię tę ubarwiano z biegiem lat - dodał George. - Według wielu Indian Wendigo spada z nieba i szponami łapie nieszczęśnika za ramiona, po czym zmusza go, by biegł tak szybko, aż zapalą mu się stopy. Tak też jest w opowiadaniu Algernona Blackwooda. Tam Wendigo łapie francusko-kanadyjskiego przewodnika i...

- „Aaa! Aaa! Mam nogi w ogniu! Płoną mi nogi!” - zacytował Shooks i spojrzał na Lily. Nie wiedziała, o co mu chodzi. Czyżby ostrzegał ją przed czymś? A może nabijał się z George’a i Hazawin?

- Niektórzy przyrodnicy sądzą, że Wendigo istnieje naprawdę i jest zwierzęciem z kręgu zainteresowań kryptozoologii, jak na przykład Wielka Stopa lub yeti - dodał George.

W pokoju zapadła cisza. Jedno z polan w kominku rozpadło się, siejąc deszczem iskier.

- A właściwie dlaczego mi o tym mówisz? - zapytała George’a Lily.

- Trudno ci będzie uwierzyć w to, co powiem. Wendigo jest siłą natury. Nie jest to yeti, nie jest kudłatą bestią z wielkim ozorem i wielkimi pazurami. Co prawda ma swój zapach, ale to wcale nie zapach lwa, jak twierdzi Blackwood; Wendigo pachnie jak trafiony przez piorun, rozgrzany metal. Nazywają go też duchem łowów. Jest kwintesencją więzi; Indian z otaczającym światem. Więż ta jest już bardzo słabą ale wciąż istnieje.

- Usiłujesz mi wmówić, że Wendigo istnieje? - zapytała Lily.

- Oczywiście, że istnieje.

- Widziałeś go? Czy ktokolwiek go widział?

- Lily, nikt nie widział wiatru, ale jest on na tyle rzeczywisty, że może powalać największe drzewa.

- Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz odnaleźć moje dzieci przy pomocy Wendigo?

- George już to robił, sześć czy siedem razy - wtrąciła Hazawin.

- Nie, nie wierzę w to. - Lily odstawiła swój kubek i wstała. - Przepraszam cię, George, przepraszam cię, Haza win. Myślę, że zmarnowaliśmy sobie nawzajem czas, i tyle John, możesz odwiedzić mnie do domu?

- Lily, George już to robił - powtórzyła Hazawin spokojnie. - Za każdym razem dzieci trafiały bezpiecznie do swoich domów.

- Przypomnij sobie Myrona Burgenheima - powiedział John Shooks. - Przecież odzyskał swoje dzieci, prawda?

Lily zawahała się.

- No... tak.



- Co masz zatem do stracenia? Jeżeli Wendigo nie potrafi odnaleźć Tashy i Sammy'ego, czy coś się stanie? A jeżeli jednak potrafi tego dokonać...

- No dobrze, ale... Mówisz o demonie. To jest... absurdalne.

- Wendigo nie jest takim demonem, jak te w religii chrześcijańskiej czy islamie - oświadczył George. - Nie przypomina Belzebuba czy Iblis. Jest personifikacją indiańskiej woli przetrwania. Reprezentuje naszą wolę przeżycia. Gdy Wendigo zacznie kogoś ścigać, zawsze go odnajduje i nigdy nie gubi. Nigdy. Nieważne, jak szybko i daleko uciekasz. Wendigo będzie zawsze krok za tobą i dopadnie cię, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila. Nawet gdy poczujesz go za sobą, bardzo blisko, niemal na swoim karku i odwrócisz się nagle, wciąż będzie za twoimi plecami. Możesz wyczuć jego obecność w swoim pokoju, ale nigdy go nie zobaczysz. Jest tak cienki, że kiedy stanie bokiem, robi się niewidzialny.

- Czy on... naprawdę potrafi odnaleźć Tashę i Sammy'ego?

- Jeżeli nie odnajdzie ich do końca tygodnia, będziesz mogła z czystym sumieniem powiedzieć, że to wszystko jest jedną wielką bzdurą. Ale będę bardzo zdziwiony, jeżeli tak się stanie.

Lily popatrzyła kolejno na George'a, potem na Hazawin i na końcu na Johna Shooksa. Padający za oknem śnieg i buzujący ogniem kominek - wszystko to nadawało całej sytuacji charakter snu.

Przypomniał jej się podobny śnieżny dzień, gdy jako siedmiolatka odwiedziła dom dziadków. Stała w gruszkowym sadzie, wsłuchując się w kompletną ciszę, i nagle usłyszała, jak ktoś brnie przez śnieg.

W sadzie, zupełnie' znikąd, pojawił się nagi mężczyzna z wiązką gałązek w dłoni. Jego broda wyglądała jak kłęb powojnika. Miał rumiane policzki i wielki brzuch.

- Halo! - zawołał do niej. - Mała śnieżna wróżka! - Po czym, już bez słowa, poczłapał przez śnieg między grusze i zniknął. Lily nie powiedziała dziadkom o tym spotkaniu, bo się bała, iż rozgniewają się na nią lub powiedzą, że zmyśla. Wiele lat później ten mężczyzna zmarł i wtedy się dowiedziała, że był to szwedzki sadownik, Bertil Arnesson. Mieszkał w pobliżu jej dziadków i w zimie miał zwyczaj spacerowania nago po śniegu i smagania się brzozowymi witkami po wyjściu z sauny.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli zabierzemy cię na spotkanie z Wendigo - oznajmił George.

- Mówiłeś, że on jest niewidzialny.

- Przeważnie tak. Ale gdy przybędzie, z pewnością poczujesz jego obecność.

Lily nadal się wahała. Nie mogła jednak przestać myśleć o tym, kiedy ostatnio widziała Taszę, zagrzebaną pod kołdrą, i Sammy'ego, śpiącego z otwartymi ustami. Nie potrafiła zapomnieć o stracie, która tak bardzo bolała.

A jeśli po prostu oszalała? Być może rzeczywiście to wszystko jej się tylko śni?

W sumie nie bardzo ją to obchodziło. Nie, dopóki istniała możliwość odnalezienia dzieci.

- Dobrze - oświadczyła. - Gdzie mamy się z nim spotkać? Czy to daleko?

- Wendigo jest wszędzie i nigdzie - wyjaśniła Hazawin. - Wystarczy wyjść na zewnątrz, do lasu, wezwać go. Wtedy przybędzie.

John Shooks strzelił sobie kolejną whisky.

- Dla kurażu - powiedział. - W końcu jestem indiańskim wojownikiem tylko w jednej ósmej, nieprawdaż?

\*\*\*

Wyszli wszyscy na werandę. Było niezwykle cicho, tak cicho, że Lily słyszała spadające płatki śniegu, które brzmiały jak cichutki szept wielu ludzi. George wskazał palcem na kępę brzoź po prawej.

- Pójdziemy tędy. Wendigo lubi gęstszy las.

Wziął Hazawin za rękę i razem ruszyli w górę, ku drzewom. Śnieg skrzypiał pod ich nogami. George miał na sobie gruby płaszcz z czarnego niedźwiedziego futra i taką samą czapkę.

Hazawin była odziana w płaszcz z owczej skóry, sięgający aż do ziemi i ozdobiony haftem i koralikami, oraz nauszni - również z owczej skóry. Na plecach niosła długi, skórzany worek, przystrojony piórami i frędzlami.

Shooks wyciągnął dłoń, by pomóc Lily zejść po schodach z ganku, lecz podziękowała mu.

- Poradzę sobie.

Ruszyła za George'em i Hazawin w górę zbocza. Shooks trzymał się nieco z tyłu, jakby myślał, że ją uraził.

- Pewnie sądzi pani, że to kompletne wariactwo - mruknął.

- Owszem.

- Nie chciałem mówić zbyt wiele, aż do przyjazdu tutaj. No wie pani, o Wendigo i tak dalej. Mogłoby to panią zniechęcić.

- Nie szkodzi, panie Shooks. Doskonale pana rozumiem.

- Powtórzę za George'em. Wendigo nie jest demonem, takim jak ten w *Egzorcystyce*, ani niczym w tym stylu. Jest bardziej siłą...

- Zdaję sobie z tego sprawę. I staram się pozbyć uprzedzeń.

Śnieg padał tak mocno, że idący przed nimi George i Hazawin niemal zniknęli im z oczu w zadymce. Shooks mówił dalej:

- Korzystałem już z pomocy innych indiańskich duchów, zwłaszcza Kruka. Doskonale spisuje się przy szukaniu zaginionej własności. Kojot zaś... ten z kolei ma nosa do wyłapywania cudzołożników. Wywęszy zdradę małżeńską jak zepsutego kurczaka.

Lily nie odpowiadała, starając się dogonić George'a i Hazawin.

Po jakichś dziesięciu minutach dotarli do brzoź. Ciężko dyszeli, a mróz zdążył pokasać im policzki, gdy zaczęli przedzierać się pomiędzy drzewami. Nad ich głowami szeleściły w gałęziach ptaki. Lily słyszała, jak po zaśnieżonej ściółce czmychają króliki.

W końcu wyszli na niewielką polanę. Na jej środku spoczywał głaz z piaskowca rozmiarów sporego stołu. George poprowadził Hazawin prosto do niego i rękawem oczyścił wierzch ze śniegu. Dziewczyna zdjęła z ramienia torbę i wyciągnęła z niej dwie ludzkie kości udowe, pomalowane ma czerwono i żółto i przewiązane pasmami włosów. Oprócz kości wydobyla także zwierciadelko z wypolerowanej miedzi oraz naszyjnik wykonany z trzech oddzielnych sznurów, na które nanizano koraliki z drewna i kości.

Położyła lusterko na kamieniu, po czym wyjęła z kieszeni mały nożyk i nacięła sobie opuszkę kciuka. Na lusterko kapnęła krew - pięć, może sześć kropli. George przewiązał kciuk Hazawin kawałkiem bawełny.

- Wendigo zawsze wymaga ofiary z krwi - wyjaśnił. - Choćby jedynie w symbolicznej ilości.

Hazawin uniosła obie kości i głośno stuknęła nimi o siebie.

- Wendigo, wzywam cię do tego miejsca! - powiedziała cicho, po czym powtórzyła nieco głośniejszym głosem: - Wendigo, duchu lasów, wzywam cię do tego miejsca!

Zacząła uderzać kośćmi coraz szybciej, w skomplikowanym rytmie, który przywodził na myśl dźwięki wydawane przez pędzący po zmarzniętej równinie koński szkielet.

- Wendigo! Wendigo! Duchu lasu! Łowiący ludzi! Wzywam cię do tego miejsca!

Lily spojrzała zaniepokojona na Shooksa. Nie wiedziała co ją bardziej niepokoi - możliwość, iż Wendigo naprawdę się pojawi, czy to, że George i Hazawin mogą by stuknięci.

Shooks odpowiedział jej spokojnym spojrzeniem, z miną, która mówiła: „Nie martw się”.

Hazawin uderzała kośćmi nieco wolniej, lecz nadal w tym samym rytmie.

- Wendigo! Czuję cię blisko mnie! Wendigo! Słyszę twój oddech!

Oddech? - zdziwiła się Lily i zaczęła nasłuchiwać. Nie usłyszała żadnego oddechu, lecz do jej uszu dotarło coś innego.

Był to delikatny syk czy może szum, podobny do dźwięku, jaki wydaje telewizor po zakończeniu emisji. Syk zbliżał się, dochodził gdzieś z prawej strony Lily.

- Wendigo, wysłuchaj mnie! - wołała Hazawin. - Musisz dopaść białego człowieka i przyprowadzić zakładników do ich chaty! Nagroda będzie wielka! W zamian za zwrot zakładników Mdewekantoni dostaną ziemię, na której Haowake objawił się Małemu Krukowi!

Syk dobiegał teraz jakby z tyłu. Lily nie wytrzymała i odwróciła się, lecz niczego nie zobaczyła. Niczego oprócz cienkich pni brzoź i obsypanych śniegiem kłębowisk cierni.

Hazawin uniosła kości i stukała nimi coraz szybciej.

- Wendigo! Wendigo, wysłuchaj mnie! Przez długą chwilę panowała cisza i ciemności.

Po jaką cholere ja to robię? Przecież to jakieś pierdoły, pomyślała Lily.

I nagle pomiędzy drzewami ujrzała nikły srebrzysty błysk. Miał kształt ludzkiej sylwetki, wysokiej i wychudzonej... jakby kogoś bardzo, bardzo szczupłego.

- Wendigo! - krzyczała Hazawin. - Wendigo! Światło między drzewami znów rozbłysło. Tym razem Lily była przekonana, że ujrzała w nim twarz, choć trudno jej było określić, czy miała rysy zwierzęcia, czy człowieka. Raz przypominała twarz człowieka o ciemnych, jakby rozmazanych oczach i otwartych ustach, a po chwili pisk jelenia lub wilka.

- Wendigo! - wołała Hazawin śpiewnym głosem. - Wendigo!

Uderzała teraz kośćmi w szaleńczym tempie.

Lily poczuła, że ogarnia ją strach. Miała wrażenie, że właśnie zapoczątkowała łańcuch strasznych wydarzeń, których nie można już zatrzymać. Spojrzała na Hazawin i zobaczyła światło za jej ramieniem. Usta zjawy były rozwarte we' wściekłym, lecz bezgłośnym wrzasku.

Lily odwróciła się do Shooksa. Światło pojawiło się także za nim. Było jednocześnie wszędzie. Lily rozglądała się wokół, a światło było już tylko kilka metrów od niej, niewyraźne, jakby widziane zza zaparowanej szyby.

Straciła równowagę i upadła w śnieg. Podniosła się z trudem, lecz znów upadła, tym razem na kolana.

- Wendigo... wysłuchaj mnie... Wendigo...

Lily skuliła się, zakrywając oczy. Cokolwiek George i Halzawin wywołali z lasu, musi sobie kiedyś pójść, pomyślała.! Ale gdy klęczała skulona, słyszała, że syk zbliża się do niejI coraz bardziej. Nie odważyła się spojrzeć za siebie, jednak czuła obecność Wendigo, wiedziała, że znajduje się nie dalej niż dwa metry od niej.

Poczuła także coś więcej. To była ciemność, dotkliwy chłód i zapach nieprzebytych lasów. To był również głód; i desperacka chęć przetrwania. To było człowieczeństwo? zredukowane do najbardziej prymitywnych instynktów. A może było to jedynie zwierzę, które potrafi chodzić na dwóch nogach i myśleć?

„Wgryzę się w twój kark, rozerwę zębami twoje miękkie wnętrzości, wydrę mięso z twoich ud...”.

- Wendigo! - krzyknęła przeraźliwie Hazawin. - Wendigo!

Nie licząc dzisiejszego dnia, Lily przeżyła do tej pory tak wielki strach jedynie dwa razy w życiu: wtedy, gdy dwaj ludzie z FLAME wtargnęli do jej domu i porwali dzieci, oraz kilka lat wcześniej, gdy jeden z jej chłopaków podwiózł ją do domu swoim mustangiem z siedemdziesiątego czwartego roku i koniecznie chciał się z nią kochać. Kiedy odmówiła ze śmiechem, przyłożył jej do szyi nóż do wykładzin, grożąc, że w takim razie poderżnie jej gardło.

- WENNN-DIIIII-GOOOO!

Jakby w odpowiedzi na krzyk Hazawin w lesie rozległ się najstraszliwszy wrzask, jaki Lily słyszała w życiu. Wrzask narastał, szarpiąc jej nerwy, i nagle ucichł. Poczuła, jak przewala się nad nią ogromna fala, ciężka i zimna niczym fala lodowatej wody, a potem usłyszała trzask przypominający zamykanie wielkich drzwi.

\*\*\*

Las pograżył się w ciszy. Lily powoli odjęła ręce od oczu i uniosła głowę. George i Hazawin klęczeli obok siebie jakieś trzy metry od niej. Shooks siedział pod brzozą, wytrząsając śnieg z włosów.

- Cholera - powtarzał. - Cholera! Lily wstała i rozejrzała się wokół.

- Co to było? Wendigo?

- To był właśnie on - potwierdziła Hazawin i pociągnęła nosem: - Czuję jego zapach. Pachnie jak rozgrzane żelazo.

Lily wciągnęła powietrze, ale poczuła tylko zapach drzew.

- I co teraz będzie? - zapytała.

- Wendigo zobaczył cię. Teraz już wie, kim jesteś. Wie, czego pragniesz i co możesz dać mu w zamian.

Zapadła długa cisza, wypełniona padającym śniegiem.

- I robi to? - zapytała w końcu Lily. Starła się mówić spokojnie, choć wewnątrz nadal cała się trzęsła. - Będzie szukał Tashy i Sammy'ego?

- Pewnie tak.

- To znaczy tak czy nie?

- Z Wendigo nigdy nic nie wiadomo do końca, dopóki nie przybędzie na miejsce, z którego zniknęły twoje dzieci, i nie złapie ich tropu. Dopiero wtedy będzie wiadomo, żel zacznie ich szukać.

- To coś przyjdzie do mojego domu? George podszedł do Lily i ujął jej dłonie.

- Nie denerwuj się. Przyznaję, że Wendigo jest przerażający, ale to indiański duch. Jest jednym z nas. Gdy już zgodzi się kogoś wyśledzić, nie złamie danego słowa. Biały człowiek wiele razy oszukał nas swoimi tak zwanymi, umowami. Straciliśmy przez to nasze ziemie i nie możemy żyć jak nasi przodkowie. Jeśli dotrzymasz zawartej ze mną umowy, Wendigo cię nie zawiedzie. Ani on, ani ja; i Hazawin.

- George... Na Boga... To coś mnie śmiertelnie przeraziło.

- Nie dziwię się. Myślisz, że ja się go nie boję? To jeden z najstraszliwszych indiańskich duchów. Właśnie dlatego wysyłamy go na poszukiwanie ludzi, bo jest nieustępliwy.; Nie można go powstrzymać.

Stali jeszcze przez chwilę w lesie, rozglądając się wokół, jakby spodziewali się, że Wendigo znów się pojawi.

- Pieprzyć to. Muszę się napić - rzucił nagle Shooks, podniósł się na nogi i zaczął brnąć przez śnieg w stronę domu.

Hazawin ruszyła za nim z opuszczoną głową - słuchem śledziła jego kroki. Na końcu szli Lily i George.

- Wiem, że dla ciebie to zupełnie inny świat - zaczął Indianin, gdy schodzili po zboczu. - I wiem, że trudno ci to wszystko zrozumieć...

- Powiedz mi tylko jedną rzecz - przerwała mu Lily. - I To jakiś przekręt? Bo jeżeli tak, lepiej powiedz mi to od razu. Pójdę sobie i nikomu nic nie powiem.

- Ty naprawdę uważasz, że chcę cię wykiwać?

- W końcu chodzi ci o ziemię przy jeziorze, prawda?

- Oczywiście, że tak. Ale nie musisz mi jej oddawać.; dopóki twoje dzieci nie wrócą do domu całe i zdrowe. Tak się przecież umawialiśmy.

- No dobrze. Ale jeśli po tym wszystkim okaże się, że zagrałeś na moich uczuciach, przysięgam na Boga, wtedy dopiero dowiesz się, co to jest prawdziwy strach.

George położył dłoń na ramieniu Lily i uśmiechnął się do niej.

- Masz charakter, a to lubię.

## ROZDZIAŁ 7

Kiedy wieczorem ubijała jajka na omlet z serem i pomidorami, ktoś zadzwonił do drzwi. Wytarła dłonie w kuchenny ręcznik i zerknęła przez judasza - na zewnątrz stali agenci Rylance i Kellog. Mieli śnieg na ramionach oraz zaczerwienione z zimna nosy. Wpuściła ich do środka.

- Co się stało? Agent Rylance uniósł dłoń w skórzanej rękawiczce w uspokajającym geście.

- Wszystko w porządku, pani Blake. Nie mamy żadnych wieści o Tashy i Sammym, ale tym razem może trafiliśmy na ślad porywaczy.

Lily wprowadziła agentów do pokoju dziennego.

- Chyba panowie zmarzli. Może wypijecie coś ciepłego?

- Nie, dziękujemy - odparł Rylance. - Nie chcemy zajmować pani czasu.

- Proszę usiąść przy ogniu - zaproponowała Lily. Rylance rozpiął płaszcz i usiadł.

- Niecałą godzinę temu otrzymaliśmy kolejne doniesienie o tych świrusach z FLAME.

W Winona napadli na kobietę, będącą w separacji z mężem, i porwali jej syna.

- To okropne! Czy bardzo ją skrzywdzili?

- No... właśnie z tego powodu pofatygowaliśmy się do pani osobiście - odezwał się Kellog. - Kobieta doznała poparzeń trzeciego stopnia i zmarła w drodze do szpitala. Nie chcieliśmy, by dowiedziała się pani o tym z telewizji.

- O Boże! - Lily była wstrząśnięta. - Jak można być takim sadystą?

- Wiem, że ciężko to zrozumieć. Ale ludzie niestety robią sobie takie rzeczy przez cały czas, codziennie.

- Ta kobieta miała dwadzieścia dziewięć lat - powiedział Rylance. - A jej syn tylko cztery.

- Czy sprawcami byli ci sami ludzie, którzy chcieli mnie zabić?

Rylance przytaknął.

- Sąsiad denatki widział, jak wychodzą z jej mieszkania. Jeden z nich miał na głowie czapkę, którą pani opisała, tę z rogami. Widzieli też ich samochód. Czarną terenową toyotę.

- Znajdziemy ich, pani Blake - zapewnił Lily Kellog. - A wtedy namierzemy pani byłego męża.

Przez chwilę miała ochotę opowiedzieć agentom o tym, co się stało w Dolinie Czarnych Kruków. O śpiewach, o stukaniu kośćmi i niewyraźnym, migoczącym świetle między drzewami. Jednak całe to wydarzenie wyglądało tak nierealnie, było tak niesamowite, że zdecydowała się je przemilczeć. Nie chciała, aby sądzili, iż jest do tego stopnia naiwna, by próbować odzyskać dzieci w ten sposób. Jakim cudem indiański duch miałby odnaleźć jej dzieci, skoro FBI nie potrafiło tego zrobić? Jakiś Wendigo? Nie, pomyśleliby pewnie, że to jakieś szachrajstwo, sprytne oszustwo zmontowane przy użyciu stroboskopów i odpowiedniego nagłośnienia.

- No cóż, będziemy informowali panią na bieżąco o postępach w śledztwie - oznajmił Rylance. - Póki co, działamy jak zwykle. Jeżeli dowie się pani czegoś...

- Wiem, jasne, natychmiast dam wam znać - odparła Lily.

\*\*\*

Kiedy wieczorem wykladała Sierżantowi kanę, w Wiadomościach na kanale 41 rozpoczęto relację o napaści FLAME w Winona.

Prezenter Jerry Duncan mówił:

-...Szlafrok pani Whitney był cały mokry. Kobieta przywiązano do kuchennego krzesła, oblano benzyną i podpalono. Zmarła od odniesionych poparzeń w karetce, w drodze do szpitala.

Czteroletni Danny, syn pani Whitney, został porwany z własnego łóżka, a jego obecny los nie jest znany. Policja poszukuje Morrisa Whitneya, który ostatnio zamieszkiwał w Goodview. Pan Whitney procesował się z byłą żoną o opiekę nad dziećmi oraz alimenty.

Lily weszła do kuchni w chwili, gdy w Wiadomościach pokazywano zdjęcie ze ślubu państwa Whitney. Oboje byli roześmiani. Wyglądali jak zwykle, szczęśliwe małżeństwo.

Jerry Duncan mówił dalej:

- Niecałą godzinę temu redakcja Wiadomości otrzymała internetowy przekaz od mężczyzny, który podaje się za przedstawiciela męskiej bojówki o nazwie FLAME, czyli Ligi Ojców Zwalczających Złe Matki. FLAME odpowiada za napaści na matki, które po rozwodzie uzyskały prawo do; opieki nad dziećmi. Napaści te mają miejsce już od kilku miesięcy, a ich okrucieństwo wzrasta. W trzech przypadkach członkowie FLAME uprowadzili dzieci ofiar i najprawdopodobniej przekazali je ich ojcom. Jak na razie organy ścigania nie odnalazły ani dzieci, ani ich ojców.

Reprezentant FLAME, który przedstawił się jako Victor Quinn, oświadczył, iż organizacja odpowiada za spalenie żywcem pani Whitney, i dodał, że taki sam los czeka inne



rozwidzione matki, jeżeli nie wykażą się rozsądkiem w kwestii opieki nad dziećmi, prawa do widzeń i alimentów.

Na ekranie pojawiła się postać mężczyzny w rogatej czarnej czapce na głowie. Stał na tle pomarańczowej ściany, na której literami w kształcie płomieni namalowano słowo FLAME.

Mężczyzna powiedział suchym, bezbarwnym głosem z wyraźnym akcentem z Minnesoty:

- Dzisiaj straciliśmy kolejną wiedźmę.

Lily zadrżała. Tyle razy widziała tego człowieka w koszmarach sennych, nigdy jednak nie sądziła, że ujrzy go znowu i usłyszy jego głos. Teraz znów tu był, przed nią. Była tak roztrzęsiona, że musiała przysiąc na krzesło.

- Czary nie są już przestępstwem karanym śmiercią - ciągnął mężczyzna. - Kiedyś tak było. Niektórzy uważają, iż powinno tak być nadal. Co prawda kobiety nie paktują dziś z diabłem ani nie uprawiają magii, ale często uciekają się do podstępów i oszustw, by niszczyć przyzwoitych, ciężko pracujących mężczyzn oraz pozbawiać ich praw ojcowskich. Trudno nam nie nazwać tego uprawianiem czarów.

Mój Boże, pomyślała Lily. Zdawała sobie sprawę, iż daleko jej było do świętej, gdy rozstawała się z Jeffem. Niekiedy bywała niewybaczalnie złośliwa i niedelikatna. Nie ułatwiała Jeffowi kontaktów z Tashą i Sammym. Ale żadna kobieta nie zasłużyła na spalenie żywcem, choćby była najbardziej wredna.

Zadzwoił telefon. Lily tak się trzęsła, że o mało nie upuściła słuchawki.

- Pani Blake? Mówi agent Kellog. Ogląda pani może Wiadomości?

- Właśnie siedzę przed telewizorem.

- Widzi pani tego Victora Quinna? Czy to on włamał się do pani domu i porwał dzieci?

- Tak, to on. Wszędzie poznałabym jego głos.

- Czy dobrze się pani czuje? Mam nadzieję, że to nie był dla pani zbyt wielki wstrząs.

- Szczerze mówiąc, drzę jak osika.

- Mam przyjechać do pani?

- Nie, nie musi pan. Poradzę sobie, to minie.

- No dobrze, pani Blake. Zadzwonię do pani jutro. Dziękuję za rozpoznanie tego osobnika. Bardzo nam pani pomogła.

- Po prostu go znajdźcie - powiedziała Lily. - Znajdźcie jego i moje dzieci.

\*\*\*

Tego wieczoru wcześniej położyła się spać. Na dworze przestało padać, ale dach uginał się od śniegu, a cały dom skrzypiał jak okręt na morzu. Wzięła do ręki „Minnesota Monthly” i próbowała dokończyć krzyżówkę z kalamburami, którą zaczęła rozwiązywać jeszcze wczoraj, jednak wszystkie hasła wydawały jej się pozbawione sensu. „Szczotki z owadami pomagają wiedźmom wznosić się w powietrze”. Co to do cholery miało znaczyć?

Zaniknęła oczy i opadła na poduszkę. Oddychała coraz głębiej, jej palce rozluźniły się, wypuszczony z nich długopis potoczył się na podłogę.

Śniło jej się, że idzie przez brzozowy las. Nie była w nim sama. Wokół siebie słyszała kroki i szepty, lecz nikogo nie widziała. Zdawała sobie sprawę, że zablądziła. Nie wiedziała, dokąd idzie, nie wiedziała też, jak wydostać się z lasu, nim zapadnie zmrok.

Między drzewami, po obu stronach, przemykały jasne kształty. Pomyślała, że to wilki. A może nie wilki? Może to wiedźmy?

O Boże, boję się. Boże, boję się. Gałęzie drapały Lily po twarzy i chwyciły za włosy, jakby brzozy chciały ją powstrzymać.

Serce biło jej coraz szybciej. Zaczęła biec. Nagle wydało jej się, że widzi przed sobą niewyraźną migoczącą sylwetkę, przypominającą postać z czarno-białego filmu.

Zbliżając się, Lily zobaczyła, że migocząca postać porusza się na dwóch nogach, jest dziwnie zgarbiona i ma nierówny chód, jak zwierzę, które ktoś zmusił do chodzenia na tylnych kończynach.

Nagle zrozumiała, co widzi. Stanęła jak wryta, coś zacisnęło się na jej piersi tak, że prawie nie mogła oddychać.

To był Wendigo. Wirował w kółko w powolnym, spazmatycznym tańcu. Kiedy zwracał się twarzą do niej, widziała jajak przez mgłę. Gdy stawał bokiem, zupełnie zniknął, rozplywał się.

Lily cofnęła się i próbowała uciec, lecz ciernie i brzozy chwyciły ją za ubranie coraz mocniej. Usiłowała wydostać się z gęstwiny, szarpiąc się i wrywając, lecz im bardziej się szamotała, tym bardziej grzęzła.

- Aaaaaa! - krzyknęła z rozpacz. - Aaaaaaaaaa!

Otworzyła oczy.

Lampka nocna wciąż się paliła, czasopismo leżało przed nią na kołdrze. Coś się jednak nie zgadzało. Drzwi od sypialni były otwarte, a pamiętała przecież, że je zamknęła. Zawsze je zamykała.

Wygramoliła się z łóżka i wsunęła stopy w pantofle. Wyjrzała z pokoju na podest schodów, lecz nikogo tam nie było. Nie spodziewała się zresztą zastać tam nikogo. Po

porwaniu dzieci zamontowała zamki antywłamaniowe na każdym oknie i w każdych drzwiach. Kupiła również lepszy alarm, więc ktokolwiek włamałby się do środka, włączyłby syreny, reflektory i jednocześnie zaalarmował policję.

Czuła jednak, że ktoś tam jest. Czuła, że ktoś dostał się do domu, wszedł po schodach i patrzył, jak śpi.

Wciągnęła nosem powietrze. Czuła jakiś metaliczny zapach, przypominający woń rozgrzanego pogrzebacza. Znów wciągnęła powietrze. Nie... - pomyślała. Wydaje mi się tylko. W tym momencie usłyszała głosy, dobiegające z pokoju dziennego. Zamarła, wsłuchując się w nie. Najpierw rozległ się męski głos, a potem drugi, damski.

Wycofała się do sypialni i już miała zadzwonić na policję, gdy znów doszedł ją głos kobiety:

*- Mam biżuterię. Błagam! Mam przecież dzieci!*

Lily poczuła, jak po jej grzbiecie przebiegło całe stado stonóg. Głos z dołu należał do niej samej. Męski głos oświadczył:

*- Bóg nas tu przysłał, pani Blake. Przysłał nas Bóg, abyśmy mogli dokonać zemsty w Jego imieniu.*

Ten głos również rozpoznała. To był głos człowieka, który wystąpił tego wieczoru w Wiadomościach pod pseudonimem Victor Quinn.

Słyszała siebie i mężczyzn, którzy uprowadzili jej dzieci.

Zakradła się z powrotem jak najciszej na podest i spojrzała w dół, przez łukowate przejście, do pokoju dziennego. Dobiegał z niego niespokojny blask, który migotał i drżał niczym światło z rzutnika. Krzesła w korytarzu, skąpiane w tym świetle, zdawały się tańczyć.

O Boże, to Wendigo - pomyślała. Jest tutaj. Wendigo jest w moim domu.

Znów podniosła słuchawkę, lecz zawahała się. I co niby miała powiedzieć policji? „W moim domu są włamywacze...; Indiański duch, dwóch mężczyzn, których tak naprawdę tu nie ma, oraz ja sama”?

Przekradła się na szczyt schodów. Za bardzo się bała, by zejść na dół, ale chciała chociaż słyszeć. Głosy zmieniały się nieustannie, słyszała też ten sam syk, który towarzyszył pierwszemu pojawieniu się Wendigo w brzoźowym iesie.

*- Jesteśmy tu właśnie z powodu dzieci.*

*- Co?!*

*- Wygrała pani sprawę o opiekę nad nimi, prawda?*

*- To Jeff was przysłał? O to chodzi?*

Na kilka chwil zapadła cisza, po czym nagle pojawili się obaj mężczyźni z FLAME, ciągnąc ją za sobą. Obraz całej trójki był nieostry, zniekształcony, jak w zakodowanym kanale telewizji satelitarnej - mimo to był na tyle rzeczywisty, że na jego widok Lily doznała wstrząsu. Cofnęła się aż pod drzwi pokoju Tashy, wbrew logice przekonana, iż napastnicy mogą spojrzeć w górę i zobaczyć ją, świadka napaści na siebie samą.

Gdy napastnicy wlekli swoją ofiarę w stronę kuchni, ujrzała w przejściu do pokoju dziennego słabutki błysk srebrzystego światła, podążający za mirażami. W tym samym momencie zegar w korytarzu wygrał drugą trzydzieści. Wtedy zrozumiała, co robi Wendigo. Dokładnie o drugiej trzydzieści nad ranem ludzie z FLAME włamali się do jej domu i usiłowali ją spalić. Wendigo odtwarzał wydarzenia tamtej nocy.

Siedziała w drzwiach do sypialni, niewidoczna z korytarza; mimo to srebrzyste światło zawahało się na początku schodów. Przez ułamek sekundy widziała twarz Wendigo - zniekształconą jak na obrazie oglądanym pod bardzo ostrym kątem. Nagle światło zniknęło. Lily słyszała już tylko głosy dobiegające z kuchni. Przemawiał mężczyzna z rogami:

*- A czy wyglądam na takiego, co krzywdzi dzieci? Niech mi pani wierzy, jest pewna różnica między boską zemstą i okrucieństwem.*

Potem był głos jej samej:

*- Tylko spróbuj skrzywdzić moje dzieci, a przysięgam na Boga, że wrócę, by cię straszyć dzień i noc, aż do końca twojego parszywego życia!*

Lily powróciła na szczyt schodów, choć nie miała ochoty widzieć, jak napastnicy ją podpalają. Słuchała swoich próśb i gróźb, a potem wykładu Quinna na temat wiedźm i czarów, aż wreszcie ujrzała jego współnika, przemierzającego korytarz z bańką benzyny w ręce. Nagle zadzwonił telefon. Lily podskoczyła, przestraszona, i popędziła do swojego pokoju. Zamknęła drzwi i odebrała.

- Pani Blake? Mówi John Shooks. Chyba pani nie obudziłem?

- On jest tutaj! Wendigo jest w moim domu!

- Na pewno?

- Widziałam go! Był w pokoju, a teraz jest w kuchni!

- Proszę mnie posłuchać. Nie ma się pani czego obawiać. Nie robi pani krzywdy. Długo już tam jest?

- Nie mam pojęcia. On odtwarza wszystko, co się stało tamtej nocy, gdy porwano dzieci. To niesamowite! Zupełnie jak trójwymiarowy film.

- Cóż, w końcu Wendigo jest potężnym demonem. Ja potrafię tylko odtworzyć mowę duchów. Wendigo może znacznie więcej, on widzi, co się stało, i może to znowu przywołać.

- Właśnie widziałam siebie! Jestem tam z tymi facetami!

- Wiem. Wendigo jest jak doskonały tropiciel, któremu wystarczy spojrzeć na złamaną gałąź, a powie, kto na nią wszedł, ile ważył i w którą stronę poszedł. Oraz co jadł na śniadanie.

- Ale jak wszedł do domu? Drzwi są zamknięte, nawet alarm się nie włączył!

- Wślizgnął się.

- Słucham...?

- Wślizgnął się, jak kartka papieru. Wendigo ma wzrost i szerokość, ale nie ma grubości. W naszym świecie pojawia się tylko jako istota dwuwymiarowa. Reszta jego istoty nie opuszcza świata duchów. Widać go, jak stoi przodem albo tyłem, ale gdy stoi bokiem, jest niewidzialny.

- Jest pan pewien, że jestem bezpieczna?

- Oczywiście! Wendigo pracuje dla pani. Jest tam, bo po prostu musi się dowiedzieć, co się stało w pani domu tamtej nocy, i złapać trop.

- A co dalej?

- Pójdzie tym tropem, pani Blake. I będzie nim podążał, aż znajdzie pani dzieci.

Lily usłyszała niespodziewanie kroki na korytarzu, a po nich przytłumiony płacz dzieci.

O nie! - pomyślała. Tasha, Sammy!

Upuściła słuchawkę i otworzyła drzwi sypialni na oścież. Ujrzała ciemne, półprzezroczyste postacie ludzi z FLAME. Jeden z nich niósł na ramieniu Taszę, drugi Sammy'ego. Dzieci były zakneblowane. Kopały i walczyły, lecz były za słabe.

- Stójcie! - wrzasnęła za nimi Lily. - Nie możecie ich zabrać! Stać!

W chwili gdy krzyknęła, zjawy zniknęły ze schodów. Oparła się o poręcz i po raz pierwszy od miesiąca zanosła rozdierającym szlochem.

- Nie możecie ich zabrać... - szeptała w rozpacz. - Stójcie...

U podnóża schodów ujrzała krótki rozbłysk światła oraz niewyraźne cienie przypominające patrzącą na nią twarz. Po chwili i to zniknęło.

- Halo? - z upuszczonej słuchawki dochodził ledwie słyszalny głos Shooksa. - Halo, pani Blake, jest tam pani?

\*\*\*

Postacie zniknęły, Tęcz Lily nie zmartwiła się tym.

Wiem przecież, gdzie pojedą, pomyślała. Skoro Wendigo odtwarza ich porwanie, to ci ludzie zabiorą Tashę i Sammy'ego do stodoły, by oddać je ojcu. Boże, może nawet zobaczą Jeffa. To niesamowite.

Wróciła do sypialni i podniosła słuchawkę. Shooks nadal był na linii.

- Pani Blake, jest tam pani jeszcze? Pani Blake?

- Nie mogę teraz rozmawiać, panie Shooks. Jadę za nimi.

- Co takiego?

- Jadę na farmę Sibleya. Chcę zobaczyć, co tam się stało.

- Pani Blake, odradzam. Wendigo nie skrzywdzi pani umyślnie, ale ma pani do czynienia z potężną siłą.

- Nie jestem Indianką, panie Shooks.

- Nie trzeba być Indianinem, by czuć się samotnym i przerażonym w środku lasu. Była pani kiedykolwiek w lesie, setki kilometrów od cywilizacji? Las ma swoje ogromne, mroczne serce, niech mi pani wierzy. Nie będzie pani chciała wejść czemuś takiemu w drogę.

- Dzięki za ostrzeżenie, ale jadę tam.

Rozłączyła się i rzuciła telefon na łóżko. Z szafy wyjęła gruby czarny sweter, dzinsy i grube kremowe skarpetki. Ubrała się szybko, popędziła do holu i włożyła płaszcz i buty.

Na ulicy było mroźno i cicho. O wpół do trzeciej nad ranem większość mieszkańców West Calhoun spała smacznie, śniąc o golfie, seksie z rudą sąsiadką lub kupnie akcji. Lily otworzyła garaż i wsiadła do swojego jasnoczerwonego buicka rainera. Gdy uruchamiała silnik, przez podjazd przebiegły dwa szare kudłate psy i zatrzymały się na jej widok. Ich oczy' błyszczały żółtawo w świetle reflektorów.

Ruszyła na wschód, a potem na południe, do Nokomis. Drogi posypano solą, lecz na zakrętach zdarzały się śliskie fałdy lodu, więc zmuszona była jechać irytująco powoli.

Przejechała przez Sibley's End, ciemne i ciche jak każde osiedle o tej godzinie, i zaparkowała jak najbliżej pola Królika Brer, tuż przy krzakach. Noc była niezwykle zimna. Wiał północno-zachodni wiatr, z szumem wpadając do uszu. Nad drzewami Lily widziała czerwone i białe światła, słyszała też warkot silników lotniczych, które mechanicy utrzymywali na chodzie, chroniąc w ten sposób przed zamarznięciem.

Przyświecając sobie latarką, przebrnęła przez pole, kierując się ku kanciastej, niezgrabnej sylwetce stodoły Sibleya. Jej dach pokrywała gruba warstwa śniegu, a ściany sprawiały wrażenie jeszcze bardziej pochylonych niż zwykle. Nawet sople wydawały się zwisać z okapów pod kątem.

Lily znajdowała się jakieś dwadzieścia metrów od stodoły, gdy nagle ujrzała migotliwe białe światło w jednym z jej okien. Wyłączyła latarkę i przystanęła, nasłuchując. Ale słyszała tylko łopot wiatru w uszach.

To jakieś wariactwo, pomyślała. Nikogo tu nie ma. Nie ma Wendigo ani Sammy'ego i Tashy. Zgłupiałaś do reszty, kobieto, i nawet o tym nie wiesz.

Podeszła do budynku i zajrzała do środka przez trójkątną szparę z boku mniejszych drzwi we wrotach. Z dziury wydostawał się chłodny podmuch, który załzawił jej oko. Stodoła wyglądała na opuszczoną. Sama słoma, jakieś skrzynie i zepsuty generator.

Daj sobie spokój. To nedorzecznosc. Jedź do domu, a rano porozmawiasz z Shooksem, mówiła sobie w myślach. Odwróciła się od stodoły i kiedy zrobiła jakieś trzy kroki, usłyszała syk.

Przypominał szum radiodbiornika, opowiadał o samotności i brzmiał, jakby kogoś przywoływał, ale nikt nie odpowiadał.

Lily zawróciła i znów przycisnęła oko do szczeliny. Tym razem na pewno widziała czyjąś postać, stojącą po drugiej stronie stodoły, w cieniu stryżku. Kształt był nieostry, nikły, lecz bardzo wysoki, jak jeleń stojący na zadnich nogach, choć niewątpliwie miał ludzką twarz. A może nie była to twarz, tylko uzda wisząca na ścianie stodoły, może postać była kawałkiem brezentu na żłobie?

Syk rozbrzmiewał nadal, kształt poruszał się, unosił przednie kończyny w mechaniczny, nieskładny sposób, nie jak człowiek czy jeleń, lecz modliszka.

Niespodziewanie w pole widzenia Lily wszedł mężczyzna w brązowej skórzanej kurtce. Był to Jeff. Wiedziała, że to tylko zjawy, jego optyczne echo, lecz nie mogła powstrzymać się przed głośnym „Ty sukinsynu!”, rzuconym w gniewie.

- Dzięki, panowie. Spisaliście się na medal.

Lily zobaczyła barczystego mężczyznę, odzianego na czarno. Nie miał już rogów, więc ujrzała, iż ma kwadratową, krótko ostrzyżoną głowę. Gdy się odezwał, natychmiast go rozpoznała.

- Powinniśmy sobie wzajemnie pomagać. Nie musisz dziękować. Jeżeli sami nie zadbamy o siebie, nikt o nas nie zadba.

Jeff spojrział w bok i powiedział:

- Dzieciaki, jedziemy na wakacje. To będą wasze najlepsze wakacje.

- Przecież muszę chodzić do szkoły! - odparła Tasha gdzieś spoza pola widzenia Lily.

- Zwolnili was ze szkoły. Rozmawiałem z dyrektorką i powiedziała, że lepiej będzie, jeżeli pojedziecie na wakacje z waszym tatusem.

- Gdzie jedziemy? - spytał Sammy.

Lily zobaczyła Tashę. Jej kasztanowe włosy były splątane, a buzia blada i zmęczona. Stała owinięta w gruby niebieski koc, lecz mimo to wyglądała na zmarzniętą. Na widok córki ścisnęło jej się serce.

- Mama będzie się martwiła - oświadczyła Tasha. - Powinniście odwiedzić nas do domu.

Mężczyzna w czerni obszedł Tashę, szczerząc do niej zęby. Brakowało mu dwóch siekaczy, a z jego głowy zwisały długie, tłuste, zaczesane do tyłu czarne włosy.

- O mamusię się nie martw - powiedział. - Nie miała nic przeciwko temu.

- Stul pysk, Tony - upomniał go Victor Quinn. Jeff zniknął z pola widzenia. Usłyszała, jak zwraca się do Sammy'ego:

- Będziemy sobie pływali w morzu, pojeździmy konno. Będziemy robili wszystko, na co będziesz miał ochotę.

- Zimno mi - odparł Sammy. - Nie chcę jechać na wakacje. Chcę wracać do łóżka.

- Przykro mi, mały - odezwał się Quinn. - Tego się nie da zrobić. Chcesz czy nie, jedziesz na wakacje.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, Jeff krzyknął:

- Hej! Wracaj tu!

I wtedy Lily zobaczyła Sammy'ego. Pędził do drzwi. Cofnęła się zaniepokojona. Ujrzała jego twarz - szeroko otwarte oczy i zaciśnięte usta, wyrażające zdecydowaną chęć ucieczki. Jeff złapał go za przód pizamy, zakreślił nim i podniósł z ziemi.

Tego już Lily nie mogła znieść. Szaipnęła drzwi i otworzyła je z wysiłkiem.

- Puść go, sukinsynu! - wrzasnęła do Jeffa. - Puść go!! Uderzyła w nią fala zimna, jak wtedy w brzozowym lesie.

Miała wrażenie, że coś ją unosi w powietrze. Rozległ się ogłuszający łoskot i zobaczyła, że jest sama w stodole. Jeff, Sammy i Tasha zniknęli. Nie było też Victora Quinna ani jego szczerbatego kolegi, Tony'ego.

Zdawało jej się, że widzi w rogu stodoły rozciągnięty cień. Ale po chwili i on zniknął. W tym samym momencie rozległ się potężny trzask i zapadł się spory kawał dachu, opadając do środka lawiną śniegu i gontów. Zaraz potem zapadł się kolejny fragment prawie wyładował Lily na głowie.

Stodoła jęknęła niemal jak człowiek i przechyliła się gwałtownie na jedną stronę. Dwa centralne słupy upadły na bok, odbijając się o siebie na ziemi. Stryszek na siano runął w dół, a centymetry od barku Lily przeleciał zardzewiały wielokrążek. Odwróciła się i szczupakiem



wyskoczyła przez drzwi na zewnątrz, waląc ramieniem o ziemię. Natychmiast odtoczyła się jak najdalej.

Hałas, jaki towarzyszył zapadaniu się stodoły, był nie do opisania. Przypominał raczej odgłosy rzezi niż dźwięk walącego się budynku. Gwoździe wychodziły z drewna z piskiem, krokwie odrywały się z trzaskiem przypominającym krzyk, a w tle z łoskotem sypały się gonty - jakby setki ludzi uciekało w panice.

Gdy Lily się podniosła, rozklekotana stodoła była już rumowiskiem. Ani jeden jej fragment nie stał prosto.

Przed czym to Shooks ją przestrzegał?

„Nie będzie pani chciała wejść czemuś takiemu w drogę”.

Powoli wróciła do swojego SUV-a, podtrzymując obolałe ramię. Idąc, spojrzała za siebie jeszcze parę razy, lecz nie ujrzała już migoczących świateł ani niczego, co mogłoby pochodzić z lasu o ogromnym, mrocznym sercu.

\*\*\*

Spotkała się z Benniem w „Bakery on Grand”, która leżała dwie przecznice od jego mieszkania. Było parę minut po południu i lokal świecił pustkami. Usiedli przy stoliku w rogu. Kelner podał im ciepłe, chrupiące bagietki i dwa kieliszki czerwonego lillac. Bennie natychmiast rozłamał bagietkę, posmarował ją grubo masłem i zaczął sobie napychać usta.

- Mają tu cholernie dobre pieczywo. Nie wiem, po co zamawiam cokolwiek innego.

- Bennie... chcę cię o coś zapytać.

- Wal.

Lily nie bardzo wiedziała, jak sformułować swoją prośbę. Wyron, brat Benniego, z pewnością nie powiedział mu nic o Wendigo i teraz już rozumiała dlaczego. Co mu więc miała Dowiedzieć? „Wiesz, przywołałam sobie indiańskiego leśnego iucha, by odnalazł moje dzieci. A za jego pomoc muszę zapłacić bardzo drogą nieruchomością”.

Za Benniem wisiało lustro w ramie z surowego drewna. Lily zobaczyła w nim swoje odbicie: blada twarz, podkrążone z niewyspania oczy, głowa przewiązana jedwabną lawendową chustą i purpurowy golf. Ubranie jeszcze bardziej podkreślało jej i tak już anemiczny wygląd.

- Widok tego gościa w telewizji naprawdę mną wstrząsnął - oświadczyła.

- Ha, nie wątpię. Dziś rano wydrukowali jego zdjęcie na pierwszej stronie „Tribune”.

- Agenci FBI są przekonani, że go złapią.

- Cholera, mam taką nadzieję! Chciałbym, żeby dostał zastrzyk. Nie jestem zwolennikiem kary śmierci, ale za to, co zrobił...

Lily upiła łyk wina i powiedziała:

- Wczoraj widziałam się z Johnem Shooksem.

- I jak poszło?

- Było dość ciekawie. Przedstawił mnie indiańskiemu tropicielowi.

- Serio? Prawdziwemu indiańskiemu tropicielowi?

- Tak. Ten człowiek jest Siuksem i jest podobno najlepszy w swoim fachu. Ponoć potrafi znaleźć każdego człowieka, choćby nie wiem jak się ukrył. Uważa, że odnajdzie Taszę i Sammy'ego w ciągu trzech dni. Właściwie to już ich szuka.

- Lii, to świetnie! Wiesz, że wszyscy się za ciebie modlimy, prawda?

Uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję ci. Jesteście bardzo kochani.

Bennie już miał wepchnąć sobie do ust kolejną porcję bagietki, lecz powstrzymał go wyraz jej twarzy.

- O co chodzi? - zapytał. - Chyba wszystko w porządku?

- Chodzi o cenę za jego usługi - wyjaśniła Lily. - Ten tropiciel... cóż, zażądał mnóstwa pieniędzy, a ja zgodziłam się zapłacić.

- No dobrze... a ile dokładnie?

- Tego nie wiem. Ty mi musisz to powiedzieć.

- Jak to ja? Nie rozumiem.

- Przypominasz sobie ten projekt osiedla nad jeziorem Mystery? I ten kawałek ziemi, na którym ma zostać wybudowana przystań?

- No pewnie. A co?

Po skrzypiącej drewnianej podłodze podszedł do nich kelner i zapytał, czy chcą już zamawiać.

- Tak - odparł Bennie. - Dla mnie poproszę zupę fasolowo-orzechową i pieczoną kaczkę. Lii, co bierzesz?

- Tylko sadzone jajka po francusku.

- Lepiej weź kaczkę - poradził jej Bennie. - Nadziewają ją tu pomarańczami i rozmarynem i pieką, aż zrobi się prawie całkiem czarna.

- Spróbuję od ciebie, dobrze?

- Jasne - odparł Bennie i wziął Lily za rękę. - Co moje, to i twoje, Lii. Dobrze o tym wiesz. No więc, o co chodzi z tą ziemią nad Mystery?

- Ten łowca chce ją w zamian za odnalezienie Tashy i Sammy'ego.

- Chce ziemi? - Bennie wpatrywał się w Lily, jakby przemówiła po chińsku. - A na cholere mu ona?

- Tego nie wiem. To podobno święta ziemia Siuksów, a konkretnie plemienia Mdewekanton. Jednemu z ich wodzów objawił się tam jakiś bóg.

- O Jezu - jęknął Bennie. - Chyba nie zapomniałaś, że mamy w tym miejscu zbudować malowniczą przystań w nowoangielskim stylu dla bardzo luksusowych łódek?

- Oczywiście, że nie. Ale tropiciel poprosił mnie właśnie o to.

- Na litość boską, a czemu nie o pieniądze? Nie chce pieniędzy?

- Nie interesują go. Chce tylko tej ziemi.

- Lii... nie wiem... Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Chcę tak samo jak i ty, żeby Tasha i Sammy wrócili do domu... Ale o tym nie może być mowy. Poza tym ta ziemia nie należy do Nieruchomości „Concord”, tylko do Kraussman Resort Developments, Incorporated. A Philip Kraussman w życiu nie odda swojej przystani jakiemuś... Siuksowi. Lily ścisnęła jego dłoń.

- Słuchaj, myślałam już o tym. Zmiany byłyby niewielkie. Mogliby zbudować przystań jakieś pięćdziesiąt metrów na wschód. Musieliby jedynie wbić betonowe pale i może nieco pogłębić dno.

- Lii, kochanie, nawet jeżeli byłoby cię stać na kupno tej ziemi i pokrycie dodatkowych kosztów budowy przystani, to i tak Philip Kraussman nie wyraziłby na to zgody, i tyle. Nie chcę, żebyś pomyślała, że jestem jakimś bigotem, ale to osiedle będzie jednym z najlepszych w Minnesocie, jeżeli nie na całym północnym zachodzie. Ludzie, którzy kupią tam domy... eee... raczej nie będą chcieli mieć Indian za sąsiadów. Wiesz, o co chodzi. Alkoholizm, śmieci, zdezelowane przyczepy...

- Mdewekantoni nie będą tam mieszkali. Oni po prostu chcą tę ziemię z powrotem, bo uważają ją za świętą. Ona należy do nich.

Bennie pokręcił głową.

- Słuchaj, wiem, że umowy, jakie spisaliśmy z Indianami, mogą wydawać się nieuczciwe... No dobra: rzeczywiście były nieuczciwe. To był rozbój w biały dzień. Ale wtedy inaczej się na to patrzyło. Każdy Walczył o swoje. A poza tym, gdyby nie te traktaty, nie byłoby dziś Twin Cities, tylko indiańska wioska.

- Bennie, ale ja mu to obiecałam. Zawarłam z nim umowę.

- Bardzo mi przykro, Lii. Nie możesz handlować czymś, do czego nie masz żadnych praw. Pojedź do tego tropiciela i powiedz mu, że musi przyjąć inną zapłatę. Mój znajomy, Lewis, ma salon cadillaca w Roseville i pewnie zgodzi się tanio sprzedać jakiegoś escalade'a.

- Nie mogę się z nim skontaktować. On już szuka Tashy i Sammy'ego i nie wiem, gdzie teraz jest. Poza tym postawił sprawę jasno: nie chce niczego innego.

Bernie rozparł się na krześle.

- Widzę, że idziesz na całego, żeby tylko odnaleźć swoje dzieci, co?

- Bennie, ja byłam zdesperowana. Nie miałam wyjścia. Ja wciąż jestem zdesperowana...

Bennie milczał przez chwilę.

- Dobra - odezwał się w końcu. - Zrobimy tak: zaproszę Philipa Kraussmana na lunch i spróbuję się do niego powdzięczyć, by zgodził się pójść na jakiś kompromis. Może go przekonam, że oddanie ziemi Siuksom poprawi mu wizerunek. Możliwe, że zażyczy sobie jakiejś gwarancji, iż żaden Indianin nie będzie tam mieszkał. Nie sądzę jednak, by miał coś przeciwko postawieniu tam kamienia pamiątkowego, tablicy, totemu czy czego tam.

- Jesteś boski - oświadczyła Lily. Wstała, pochyliła się nad stołem i pocałowała Benniego w czoło.

- Ej, nie ciesz się na zapas. Nie wiemy, ile Philip Kraussman zaśpiewa za tę działkę. Poza tym nie sądzę, żeby przesunięcie przystani było takie proste, jak sądzisz.

- Wierzę w ciebie - odparła Lily. - Mówię poważnie. Wierzę w ciebie. Jestem pewna, że dasz radę. Nawet nie wiesz, jak bardzo będę ci wdzięczna.

Kelner przyniósł wreszcie Benniemu zupę. Na dworze niebo zrobiło się ciemne, niemal czarne. Zerwał się silny wiatr i śnieg na chodnikach wirował w świetle, przypominając ogniste koła iskier ze sztucznych ogni.

## **ROZDZIAŁ 8**

Od ponad dwóch dni Lily nie miała żadnych wieści od George'a Żelaznego Piechura. Dzwoniła co parę godzin do Shooksa, lecz za każdym razem włączała się poczta głosowa: „Tu John Shooks. Zostaw wiadomość albo daj mi spokój”.

Niespodziewanie zadzwonił do niej Robert i zapytał, czy zechce pójść z nim na kolację. Lily zgodziła się - czuła się wykończona psychicznie i chciała odpocząć, lecz po godzinie zmieniła zdanie. W końcu o czym, na Boga, miałyby z nim rozmawiać? O duchu Mdewekantonów, który tropił jej dzieci? Zjawiska nadprzyrodzone ograniczały się dla Roberta co najwyżej do „cudownego” podmuchu wiatru, który zniósł mu piłeczkę golfową na gładki teren. Oddzwoniła do niego i przepaszając, odmówiła.

- Trochę jestem zawiedziony - oświadczył Robert. - A tak chciałem się z tobą spotkać.  
Nadrobić zaległości.

- Bardzo cię przepraszam, Robercie, ale ja już nie jestem tą samą kobietą.

- Zarezerwowałem stolik w Goodfellow's... może jednak zmienisz zdanie?

- Wspaniale, uwielbiam tam chodzić. Ale lepiej zabierz tam kogoś, kto nie obrzydzi ci schabu po tajsku. Weź kogoś, kto potrafi poprawić ci humor.

- W porządku... skoro nie chcesz, nie będę nalegał. Rozumiem. Zadzwoń któregoś dnia. Trzymaj się. Tęsknię.

- Ja również - odparła Lily. - Ty też się trzymaj. Kłamię. Wcale za nim nie tęsknię, pomyślała. Zadzwoiła do Agnes. Okazało się, że pomaga sąsiadom w organizowaniu przyjęcia urodzinowego, Lily słyszała w tle wrzaski dzieciaków. Potem przekreśliła do Nieruchomości „Concord”, do Fiony, ale koleżanka wyjechała na prezentację odrestaurowanej posiadłości w Loring Park.

Postanowiła pojechać na zakupy i wpaść na kawę i ciastko do „Cafe Latte”. Gdy zapięła kurtkę i wkładała zrobioną na drutach czapkę, zadzwonił telefon.

Ze słuchawki odezwał się odległy głos:

- Lily? Lily, to ja, Jeff.

W pierwszej chwili nie wierzyła własnym uszom.

- Jeff? Jeff!? Gdzie jesteś, do cholery?

Nadal widziała tego Jeffa ze stodoły Sibleya, tego porywającego z ziemi Sammy'ego i zamiatającego nim w powietrzu.

- Co do cholery zrobiłeś z dziećmi?

- Tasha i Sammy mają się dobrze. Są zdrowi i świetnie się bawią.

Lily aż zaparło dech w piersi.

- Ty gnoju! Ty gnoju!! Ty parszywy gnoju! Masz jeszcze dzisiaj przywieźć mi dzieci z powrotem, bo jak nie, to przysięgam, że ukatrupię cię własnymi rękami!

- Lily, właśnie dowiedziałem się, co robią ci ludzie z FLAME. Nie wiedziałem... Po prostu nie wiedziałem...

- Jak to nie wiedziałeś, ty sukinsynu? Ty sadystyczny dupku! Oni mnie podpalili! Oni chcieli spalić mnie żywcem, ty kutasie! Omal nie zginęłam!

- Lily, proszę, wysłuchaj mnie. Nawet nie wiesz, jak mi przykro. Nie miałem pojęcia, co zamierzają. Gdybym to wiedział...

- Jak mogłeś nie wiedzieć? Jak mogłeś być tak głupi i okrutny? Jak mogłeś zabrać mi dzieci w ten sposób? Nienawidzę cię! Nienawidzę!

Była tak wściekła, że przeszła przez korytarz i walnęła z rozmachu pięścią w oprawione zdjęcie Jeffa, raz, drugi i trzeci, aż szkło popękało do cna, a jej palce pokryła krew.

- Lily, chcę ci wszystko wytłumaczyć - nalegał Jeff. - Chciałbym cię przeprosić...

- Przeprosić?! - wrzasnęła do słuchawki. - W żaden sposób nie jesteś w stanie mnie przeprosić! To niemożliwe, przywieź Tashę i Sammy'ego, i to już.

- Ci faceci... Powiedzieli, że są z grupy wsparcia ojców. Zaproponowali mi pomoc po ostatniej rozprawie w sądzie, tej o prawo do odwiedzin. Nie mówili, że będą kogokolwiek podpalali!

- Jeff, nie zamierzam tego słuchać. Masz mi tylko powiedzieć, że przywozisz dzieci. Albo powiedz od razu, gdzie jesteś, to zadzwonię do FBI, żeby je zabrało.

- Lily, kochanie, posłuchaj mnie! Chciałem tylko dzieci, nic więcej! Chciałem widzieć, jak dorastają! Są tak samo moje, jak i twoje!

- Więc stwierdziłeś, że najlepiej będzie, jak je porwiesz, a ich matkę spalisz, tak?

- Przysięgam na życie naszych dzieci, nie wiedziałem, że chcą cię spalić! Dopiero się o tym dowiedziałem. Widziałem w Wiadomościach tę kobietę, którą zabili w Winona. Zadzwoiłem do Larry'ego z Trzy M i powiedział mi, że ciebie też chcieli zabić. Dopiero wtedy się o tym dowiedziałem, przysięgam!

Lily usiadła na schodach.

- Nie wierzę ci, Jeff. Nie uwierzyłam w twoje słowa przedtem i za cholere nie uwierzę ci teraz. Tylko mi nie mów, że nie sprawdziłeś na stronie FBI danych o porwaniach dzieci przez rodziców. Napisano tam o Tashy i Sammym oraz o tobie. Jakbyś nie wiedział, to napisano tam również, że jesteś ścigany za planowanie zabójstwa.

- Słuchaj, nie mam tu komputera ani dostępu do sieci. Poza tym jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby zaglądać na stronę FBI. Chciałem wyjechać jak najdalej, zostawić wszystko za sobą i zacząć od nowa.

Lily nagle poczuła, że jest bardzo zmęczona. Krwawiła z kłykci - ssała je, by krew nie spływała jej do rękawa.

- Jeff, masz przywieźć dzieci do domu. Potem podyskutujemy na temat tego, co wiesz.

- Nie przywiozę ich, Lily. Są ze mną, czują się tu dobrze, są spokojne i tak ma zostać. Chciałem, żebyś wiedziała, iż nigdy nie miałem zamiaru cię skrzywdzić. Przepraszam za to, co zrobili tamci faceci, i bardzo się cieszę, że nic ci się nie stało.

- Nic?! Uważasz, że nic się nie stało, że nic mi nie jest?! Jeff, ja tu odchodzę od zmysłów! Jasne, poparzenia się zagoiły. Mam TYLKO parę szpetnych blizn na twarzy! A od czasu gdy zabrałeś mi Tashę i Sammy'ego, nie mogę jeść, nie mogę spać, nie mogę nawet

chodzić do pracy, bo podobno swoim wyglądem wpędzam klientów w depresję! Ty głupi, samolubny, tchórzliwy kutasie!

- Lily! Nie wiedziałem!

Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić.

- Gdzie jesteś, Jeff?

- Przykro mi, ale nie powiem. Nie próbujcie namierzać tego telefonu. Dzwonię z komórki na kartę.

- Jeff, daję ci ostatnią szansę. Przywieź Tashę i Sammy'ego do domu. Wynajęłam kogoś, kto cię szuka. I znajdzie cię, choćbyś nie wiem gdzie się zaszyl.

Niemal wiedziała, jak kręci głową i uśmiecha się.

- Nikt nas nie znajdzie. Ani FBI, ani ty. Nikt i nigdy - oświadczył, po czym rozłączył się.

Lily wpatrywała się przez chwilę w słuchawkę, lecz w końcu odłożyła ją do ładowarki na drugim końcu korytarza. Czuła się kompletnie wypompowana, nie miała nawet siły pójść do kuchni, by przemyć pokaleczoną dłoń. Ze ściany naprzeciwko, zza zakrwawionego, potrzaskanego w szaleńcze wzory szkła uśmiechał się Jeff.

Ty sukinsynu, pomyślała. Podniosła słuchawkę i wybrała numer podany jej przez agenta Rylance'a.

\*\*\*

Po szóstej wpadł Bennie.

- Chcesz się napić? - zapytała go, unosząc w jego kierunku kieliszek. - Właśnie otworzyłam następną butelkę shiraza.

- Następną? - powtórzył ze zdziwieniem Bennie, odwieszając jednocześnie czapkę na kolumnienkę balustrady.

- Dziś po południu dzwonił Jeff.

Bennie spojrzał na potłuczone zdjęcie na ścianie.

- Niech zgadnę: wcale nie ma zamiaru oddać ci dzieci.

- Aleś ty bystry, Bennie. Strasznie bystry. Na pewno nie chcesz kielicha?

- Nie, dzięki. Drogi są zdradliwie śliskie. Poza tym wypilem już trochę na lunchu z Philipem Kraussmanem.

- Widziałeś się z Kraussmanem? O Boże, chodź tu, usiądź. Nie wiedziałam, że zobaczysz się z nim tak szybko.

Bennie poszedł za Lily do pokoju dziennego i usiadł przy kominku, wyciągając dłonie w stronę ognia i głośno je zacierając.

- Miałem się z nim i tak spotkać, niezależnie od twojej prośby, aby obgadać gęstość zabudowy i załatwienie potrzebnych pozwoleń, a przy okazji zapytałem go o tę ziemię.

- I co? - Lily usiadła w fotelu naprzeciwko Benniego, podwijając pod siebie nogi.

- Powiedziałem mu, że robimy wywiad na temat historii tych terenów, żeby nadać naszemu folderowi reklamowemu nieco „głębi kulturowej”. Powiedziałem, iż wiem, że Siuksowie uważają ten kawałek ziemi za święty i że dzięki temu możemy podbudować sobie wizerunek.

- Naprawdę? Słuchaj, tu chodzi o to, że nad jeziorem pojawił się mdewekantoński bóg gromu i obwieścił swojemu ludowi, iż biały człowiek odbierze im ziemię. Co się oczywiście stało. Rozumiesz?

- Rozumiem. I to właśnie powiedziałem Kraussmanowi: że gdyby jego firma zwróciła tę ziemię Indianom, oczywiście z nagłośnieniem tego w mediach, okazałby się wielkodusznym człowiekiem, a nie pazernym oszustem, którym zresztą jest. Kraussman buduje strzeżone osiedle dla obrzydliwie bogatych młodych ludzi, ale współczuje pierwotnym mieszkańcom tych terenów, którzy żyli tam i polowali i dla których jezioro ma do dziś ogromne znaczenie religijne. Tak by to wyglądało.

Lily popatrzyła na niego znad kieliszka.

- Ty to masz prawdziwy dar wciskania kitu. I co na to Kraussman?

- Hm, cóż... Szczerze mówiąc, podszedł do tematu bardzo ostrożnie. Sama wiesz, że jest podejrzliwy i niczego nie robi spontanicznie. Zawsze szuka ukrytego haczyka. Zaproponowałem mu przekazanie ziemi Indianom pod warunkiem, że ten teren będzie jedynie pomnikiem i nie będą mogli się tam osiedlać. Mówiąc inaczej: totemy tak, tipi i przyczepy zdecydowanie nie.

- Wykrztuś wreszcie, co powiedział?

- Nie uwierzysz, ale się zgodził, więc gdy ten twój indiański tropiciel odszuka Tashę i Sammy’ego i sprowadzi ich do domu, dostanie to, co mu obiecałaś.

- Bennie! To cudownie! - wykrzyknęła Lily. - A czy mówił, ile chce za tę ziemię?

- Nic. Zamierza przekazać ją Indianom jako darowiznę. Prawdopodobnie jego firma dostanie dzięki temu większą ulgę podatkową. Kraussman może najwyżej zażądać od ciebie pokrycia kosztów spisania umowy, nic więcej.

Lily odstawiła kieliszek na stolik, podniosła się z fotela i wzięła Benniego za rękę.

- Hej! - zawołał, patrząc na plaster na jej palcu. - Skaleczyłaś się.

- To nic takiego. Zupełnie nic, a już zwłaszcza teraz.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc.



- Bennie, jesteś cudowny! Po telefonie Jeffa już myślałam, że to najgorszy dzień mojego życia, ale ty wszystko zmieniłeś. To jest prawie najlepszy dzień w moim życiu.

- Zaraz, jak to: prawie?

- Bo najlepszy będzie wtedy, gdy Tasha i Sammy wrócą do domu.

- No jasne. Idiota ze mnie. Ale wiesz, kiedy wrócę, chcę uczestniczyć w świętowaniu. Pocałowała go w usta. Smakowały brandy.

- Na pewno nie chcesz się napić? - zapytała. - Napij się wina, trzeba to oblać. Naprawdę nie wiem, jak to zrobiłeś. Wiesz, Kraussman to chyba najwredniejszy gość w Minneapolis, ale ty dałeś mu radę, przekonałeś go.

- Cóż, po dwudziestu sześciu latach pracy w nieruchomościach jestem w stanie przekonać każdego i do wszystkiego.

Lily usiadła na podłokietniku fotela Benniego i pogłaskała po głowie.

- Jesteś wspaniałą. Tak bardzo się martwiłam... Telefon od Jeffa popsuł mi humor, choć przynajmniej wiem, że dzieciaki są całe i zdrowe. Wiem też, że mój tropiciel już ich szuka i że mogę mu zapłacić, gdy przywiezie je do domu. Dziękuję ci.

Znów go pocałowała i tym razem Bennie również odpowiedział jej pocałunkiem.

- Lii, jesteś fantastyczną kobietą. Zawsze tak uważałem.

Wyprostowała się i mrugając, przez chwilę wpatrywała się w jego oczy, skryte za okularami.

- Masz rację - oświadczyła w końcu. - Jestem fantastyczna. I bardzo pijana.

\*\*\*

Następnego dnia chodziła po domu w białym grubym szlafroku, mimo że była już dziesiąta. W głowie łupało ją tak bardzo, jakby zjechała po schodach z trzech pięter i waliła nią po drodze o każdy stopień. Zaparzyła sobie kubek mocnej mokki z wielką łyżką miodu - i wtedy odezwał się dzwonek u drzwi.

Na progu stali agenci Rylance i Kellog, obaj w okularach przeciwsłonecznych. Odbity od śniegu blask słońca był tak silny, że Lily musiała osłonić oczy.

- Przepraszamy za najście, pani Blake, ale mamy nowe informacje.

- Nic się nie stało. Sama sobie zrobiłam krzywdę - stuknęła się palcem w czoło. - Po telefonie od Jeffa wypiliśmy... eee... trochę wina na uspokojenie. Właściwie to całe morze wina.

Poprowadziła agentów do kuchni. Dawną wysepkę na środku pomieszczenia zastąpił wielki sosnowy stół.

- Napiją się panowie kawy?

- Bardzo chętnie. Jesteśmy na nogach od wpół do piątej.

- Jeżeli jesteście panowie głodni, zrobię wam śniadanie. Chociaż chyba porzygam się od zapachu smażonego bekonu.

- Nie, nie trzeba - odparł Kellog. - Zjemy coś na« mieście.

- Czy wiecie, skąd Jeff dzwonił? - zapytała Lily.

- Niestety nie. Nie namierzyliśmy go. Dzwonił z komórki na kartę, tak jak pani powiedział.

- Jednak coś drgnęło - stwierdził Rylance. - Nie wiemy na sto procent, o co chodzi, ale uważamy, że być może mamy I nowy ślad.

Przerwał, jakby nie chciał rozwijać tego tematu. Spojrzał na Kelloga, lecz Lily naciskała:

- O co chodzi?

- No dobrze, już mówię. Czwarty komisariat dostał telefoniczne zgłoszenie od mieszkanki dzielnicy Willard-Hay. Kobieta ta skarżyła się na dziwny syk dochodzący z bloku obok, myślała, że może doszło do wycieku gazu z instalacji. Potem usłyszała jeszcze straszliwe łomoty i trzaski oraz czyjeś krzyki. Kiedy policja przyjechała na miejsce, okazało się, że ktoś kompletnie zdemolował mieszkanie na ostatnim piętrze. Znaleźli w nim także fragmenty ludzkiego ciała.

Lily usiadła z kubkiem w dłoniach, słuchając w milczeniu. Miała przeczucie, że agent Rylance powie jej zaraz coś okropnego.

- Nie zidentyfikowaliśmy jeszcze zwłok. Niewiele zresztą zostało. Znaleźliśmy za to dokumenty, notatki, płyty DVD i inne materiały, które ponad wszelką wątpliwość wskazują, iż właśnie to mieszkanie było kwaterą FLAME.

- Znaleźliśmy tam pomarańczową ścianę, której użyli jako tło w transmisji internetowej do kanału czterdziestego pierwszego - dodał Kellog. - Wie pani, tę z nazwą organizacji.

Rylance dotknął ramienia Lily.

- Przeglądamy teraz dokumenty i notatki z mieszkania denata. Być może są w nich jakieś informacje, które nas doprowadzą do pani dzieci.

- No to ktoś nareszcie odgryzł się tym gnojom - mruknęła Lily. - Wiecie może, czyja to sprawka?

- Jeszcze nie. Sądzymy, że mógł to być każdy, kto stwierdził, że FLAME posunęła się za daleko. Może jakaś grupa feministek albo fanatyk religijny. Może przyjaciel jednej ze spalonych rozwódek.

- Ale kilka szczegółów zbija nas z tropu. Napastnicy byli bardzo silni fizycznie. Rzec by można, nieludzko silni. Mężczyzna, którego znaleziono w mieszkaniu... No cóż, została po nim noga, połowa miednicy oraz masa wnętrzności. Bóg jeden wie, gdzie się podziła reszta ciała. Szukamy jej nadal.

- Drzwi do mieszkania były zamknięte, więc sprawca demolki musiał ukraść klucze lub po prostu miał. Sądzymy, że to mógł być nawet ktoś z tej organizacji. Może jednemu z członków otworzyły się oczy, stwierdził, że ma dość tego, co robią, i postanowił powstrzymać resztę.

- Zupełnie nie wiem, co powiedzieć - mruknęła Lily. - Może „Bogu dzięki”?

- My też - przyznał Kellog. - Ale może dowiemy się czegoś jeszcze przed wieczorem. Mamy do zbadania wiele śladów, dobrze, że pomagają nam policja z Czwartego.

Rylance upił łyk kawy.

- Na razie jednak... jeżeli ktoś by się z panią skontaktował, to...

- To co?

- Możliwe, że ktoś do pani zadzwoni i przyzna się do ataku na FLAME. To się zdarza, zwłaszcza gdy ktoś zabiera się do likwidowania różnych nieprzyjemnych typów, takich jak skorumpowani politycy lub zbyt pazerni gospodarze nieruchomości. W takich przypadkach zabójca zazwyczaj dzwoni do ofiar, oczekując słów uznania czy wdzięczności. Sama pani rozumie: nie ma sensu być bohaterem, jeżeli nikt tego nie doceni.

- Taaak, rozumiem... Chcecie panowie jeszcze kawy? Mam też ciastka.

- Nie, dziękujemy. Niech pani na siebie uważa, dobrze?

- Na kaca najlepsze są kanapki z keczupem - poradził Lily agent Kellog, kiedy się żegnali. - Z dużą ilością suszonych pestek chilli.

\*\*\*

Gdy tylko agenci wyszli, Lily złapała za słuchawkę i zadzwoniła do Shooksa. Tym razem detektyw odebrał.

- Panie Shooks! Słyszał pan, co się stało?

- O czym miałem słyszeć? Całą noc przesiedziałem w samochodzie, obserwując pewien dom w Powderhorn Park. Na próżno. Nie zauważyłem ani jednego cudzołożnika.

- Chodzi o FLAME. Mieli siedzibę w Willard-Hay. Ktoś ją zdemolował i zabił tam jakiegoś mężczyznę.

- Nooo... to chyba dobre wieści? - zapytał ostrożnie Shooks.

- Ten, kto tam był, rozdarł tego faceta na strzępy. Została po nim noga i trochę wnętrzności. Agent FBI powiedział mi, że sprawca musiał być nieludzko silny. Nieludzko!

- Naprawdę?

- Drzwi do mieszkania były zamknięte. FBI uważa, że morderca mógł mieć klucz.

- To bardzo sensowne domniemanie.

- Powiedziałam „mógł mieć”. A jeżeli go nie miał? Jeżeli wśliznął się do środka jak kartka papieru?

- No tak... - mruknął Shooks.

- Co to znaczy: no tak?

- Że chyba ma pani rację. Tylko jedna osoba mogła odnaleźć dziuplę tych facetów. Tylko jedna osoba mogła wejść do mieszkania, nie otwierając drzwi, i rozedrzeć tego gościa na kawałki, po czym zabrać dwie trzecie jego ciała na spacer po mieście.

- Wendigo! - rzuciła Lily.

- Właśnie - przyznał Shooks. Lily zapało dech w piersi.

- Na litość boską! Nie wiedziałam, że ktoś przy tym może zginąć!

- Pani Blake, Wendigo jest nie tylko tropicielem, jest także łowcą. Jak każdy łowca i tropiciel, zabija to, co wytopi. A potem zjada łup. Czy George Żelazny Piechur pani tego nie wyjaśnił? „Wendigo” po indiańsku znaczy „kanibal”. Przecież mówił pani o tym.

- O Boże... - jęknęła Lily. - Chyba go nie zrozumiałam.

- A pani myślała, że co Wendigo będzie miał z tej misji?

- Ziemię, ten kawałek ziemi nad jeziorem Mystery. Myślałam, że właśnie to jest ceną za jego usługi.

- Tej ziemi chce George Żelazny Piechur. To jakby jego prowizja za skontaktowanie pani z Wendigo. Sam Wendigo nie chce ziemi, choćby nie wiem jak świętej. Wendigo chce ludzkiego mięsa.

- Ale dlaczego zabił tego człowieka z FLAME?

- Wendigo podąża za tropem, mówiłem to już pani. Ruszył tropem z pani domu do stodoły Sibleya, a stamtąd najwyraźniej podążył do mieszkania tego człowieka w Willard-Hay. A kiedy natrafił na kogoś odpowiedzialnego za; porwanie pani dzieci, po prostu go zabrał. Wendigo pracuje dla pani, pani Blake. Niech mi tylko pani teraz nie mówi, że nie chciała pani śmierci tych szubrawców. W końcu oni chcieli panią spalić.

- Ale to coś nie może latać i rozdzierać ludzi na kawałki! Nie w moim imieniu!

- Ależ tak! Może i robi to. Jeżeli pani sądziła inaczej przykro mi z tego powodu.

- A co będzie, gdy Wendigo znajdzie Tashę i Sammy'ego? Chyba ich nie skrzywdzi?

- Pewnie, że nie. Przecież poprzysiągł, że sprowadzi dzieci całe i zdrowe.

- No a co robi z Jeffem? Lily niemal widziała, jak po drugiej stronie linii Shooks wzrusza ramionami.

- No cóż... pani były mąż to już zupełnie inna bajka.

- To znaczy co? Wendigo go zabije? Nie może! Ni wolno mu!

- Zaskakuje mnie pani. Myślałam, że pani go nienawidzi

- Bo tak jest! Nienawidzę go! Ale on jest ojcem moich dzieci! I choćby nie wiem co zrobił, choćby nie wiem jak był bezduszny i okrutny, jest przecież człowiekiem!

- Hmm... Zatem chyba mamy problem.

- Ja tu nie widzę żadnego problemu, panie Shooks. Musi pan skontaktować się z George'em i odwołać Wendigo, nim będzie za późno.

- Tego raczej nie da się zrobić, pani Blake. Nie można powstrzymać Wendigo, gdy jest na łowach. Niech pani pamięta, że umowa działa w obie strony. Poprosiła pani Wendigo, by odszukał pani dzieci za każdą cenę. A tą ceną jest ludzkie życie.

- Niech pan się nie bawi słowami, panie Shooks! Wcale nie o to mi chodziło. Gdybym wiedziała, że Wendigo będzie zabijał ludzi, nigdy w życiu nie poprosiłabym go o pomoc! Niech pan zadzwoni do George'a Żelaznego Piechura i każe mu go powstrzymać!

- Dobrze, pani Blake, mogę spróbować. Ale nie sądzę, by to coś dało.

- Chce pan, żebym zadzwoniła do FBI i powiedziała, co zrobiliście?

- A co niby pani im powie? Że wezwaliśmy mdewekantońskiego ducha leśnego i wyprawiliśmy go w świat? Bardzo jestem ciekaw, jaki przepis federalny tego zabrania.

## **ROZDZIAŁ 9**

Lily pojechała do Nieruchomości „Concord” zobaczyć się z Benniem. Firma zajmowała jedno duże pomieszczenie na Hennepin Avenue South. Cała podłoga była pokryta śliwkową wykładziną, na której stały palmy w doniczkach, na ścianach wisały zdjęcia Lake Harriet i Lowiy Hill, a z głośników płynęła kojąca muzyka.

Kiedy Lily wchodziła, Fiona pomachała jej na powitanie.

Była czterdziestokilkuletnią blondynką o gładko zaczesanych do tyłu włosach, w uszach nosiła wielkie kolczyki. To ona nauczyła Lily prawie wszystkiego o handlu nieruchomościami: nigdy nie daj sobie powiedzieć: „Zadzwoń jutro”. Nie pozwól klientowi nawet na „Muszę to przemyśleć”.

Ze swojego biura wyszedł Bennie, dźwigając naręcze broszur. Gdy tylko ujrzał Lily, odłożył papiery i pocałował ją.

- Lii, miło cię widzieć! Jak idą poszukiwania? Może już coś wiesz?

- Tak jakby. Słuchaj, chciałabym, żebyś pomógł mi zjedną rzecz. Czy możesz mi powiedzieć, jak skontaktować się z Myronem?

- Z Myronem? Ale po co?

- Pamiętasz, co mi mówiłeś o Johnie Shooksie? Chciałabym porozmawiać na ten temat z twoim bratem.

- Shooks chyba nie przysparza ci problemów, co? Bo jeśli tak, będzie miał ze mną do czynienia.

- To nie tak... Po prostu chcę z nim porozmawiać.

- Lii, jeżeli coś się dzieje... Wzięła Benniego za rękę.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Jestem ci bardzo wdzięczna. I raz jeszcze dziękuję za załatwienie sprawy Kraussmana.

- Eee... to była pestka. Naprawdę.

\*\*\*

Myron był kierownikiem „Cold Comfort”, sklepu z odzieżą zimową na Cedar Avenue. Gdy Lily weszła do środka, siedział akurat na zapleczu i liczył kartony z dziecięcymi butami marki Bugabootoo. Był szczuplejszy od Benniego i zaczynał łysieć, lecz bez wątplenia był jego bratem.

- Lily! A to ci niespodzianka! Uśmiechnęła się.

- Bennie powiedział mi, gdzie cię znaleźć. Rany, to prawdziwa jaskinia Aladyna!

- E tam, po prostu wyprzedajemy zapasy. Mamy świetne damskie kurtki, jeżeli chcesz. Kaptury ze sztucznym futrem. Dam ci sporą zniżkę.

- Nie, dziękuję. Wiesz, chciałam porozmawiać z tobą o Johnie Shooksie.

Myron zdjął z nosa szkła w grubych oprawkach i spojrzał na nią z poważną miną. Zezował jednym okiem, dlatego Lily nie była pewna, czy patrzy na nią, czy gdzieś w bok.

- John Shooks? Cóż, odnalazł moje dzieci, gdy nikt inny nie potrafił tego zrobić. Twoje też znajdzie, uwierz mi.

- Odnalazł je sam czy z czyjąś pomocą?

- Pytasz z jakiegoś konkretnego powodu?

- Owszem. Po prostu zaczynam się zastanawiać, w co się wplątałam.

- Więc to było tak... Velma zabierała mi córki kilka razy, lecz Shooks odnajdywał je sam. Za pierwszym razem znalazł dziewczynki u jej przyjaciela Gussiego. Za drugim razem w motelu Best Western University. I nie pytaj mnie, skąd wiedział, gdzie są.

Lily nie pytała. Wiedziała przecież, skąd Shooks wiedział o miejscu pobytu córek Myrona. Odtworzył rozmowy unoszące się w miejscach, w których przebywała Velma, słyszał, jak mówiła dzieciom, dokąd jadą.

- A za trzecim razem?

- Wolałbym o tym nie mówić, jeśli pozwolisz.

- Myron, ja muszę to wiedzieć. Obawiam się, że stanie się coś bardzo złego. Szczerze mówiąc, boję się, że komuś może stać się krzywda albo nawet umrze.

Myron zadrżał.

- Nie wiem... Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Nie mam pojęcia, co się stało w moim przypadku.

- Czy Shooks zabrał cię do George'a Żelaznego Piechura i niewidomej Indianki Hazawin?

- Za trzecim razem nie mogłem znaleźć Velmy. Powiedział, że nie zostawiła za sobą żadnych śladów, którymi mógłby podążyć - odparł Myron wymijająco.

- Ale znał kogoś, kto mógł?

- Tak.

- Kogoś lub coś?

Myron przytaknął z nieszczęśliwą miną.

- Nie wierzyłem w to, ale nie wiedziałem, co począć. Wolałem nie wzywać policji, bo Velma i tak już miała sądowy zakaz zbliżania się do dzieci i nie chciałem jej sprawiać więcej kłopotów.

- A George Żelazny Piechur powiedział, że wysłał za nią Wendigo?

- Tak.

- I czego zażądał w zamian?

- Właściwie niczego. Chciał taki stary indiański pled, który wieszaliśmy w oknie wystawowym. Chyba nie był wiele wart.

- Więc pojechałeś do Doliny Czarnych Kruków i poznałeś George'a i Hazawin? A oni zabrali cię do lasu, gdzie zobaczyłeś Wendigo?

- Lily, naprawdę nie wiem, co zobaczyłem. Widziałem jakieś migoczące światło, i tyle.

- I co dalej?

- Trzy dni później zadzwoniła do mnie moja córka Ellie. Powiedziała, że jest razem z siostrą w Seattle. Tam zabrała je Velma, do domu, który wynajęła koło Richmond Beach. Jej rodzice mieszkają w Seattle, więc chyba właśnie tam pojechała.

Lily milczała, czekając na ciąg dalszy opowieści. Myron zrobił się nagle bardzo nerwowy. Wciąż błędził oczami po zapleczu, jakby się obawiał, że ktoś może się tu pojawić... zupełnie znikąd.

- Ellie powiedziała mi, że matka zabrała je na spacer po plaży. I wtedy Velma zniknęła. Ellie nie wiedziała, jak to się stało, i ani ona, ani Ruthie nie zauważyły niczego niezwykłego. Mówiły, że były na plaży tylko we trzy. Szukały matki na wybrzeżu godzinami, wołały, ale bez skutku. Wróciły same do domu, kiedy zaczęło się ściemniać. Nie chciały dzwonić na policję, bo wiedziały, że ich matka będzie miała kłopoty. - Po chwili milczenia dodał: - Wsiadłem w pierwszy samolot do Seattle i przywiozłem je do domu.

- I nie zgłosiłeś tego na policji?

- Velma była nieźrównoważona psychicznie, odkąd sięgam pamięcią. Zresztą dlatego odebrano jej prawa do Ellie i Ruth. Skąd, do cholery, mam wiedzieć, co się z nią stało? Może wlała do morza i utonęła. Może po prostu postanowiła odejść. Dlaczego miałbym jeszcze bardziej komplikować sobie życie, szukając jej?

- I już nigdy o niej nie słyszałeś?

- Nie. Jakby wyparowała. Po dwóch miesiącach przestałem nawet posyłać jej alimenty.

- Nie zareagowała? Myron pokręcił głową.

- Jak myślisz, co się z nią stało? - spytała Lily.

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

- Czy George Żelazny Piechur wyjaśnił ci, co znaczy imię „Wendigo”?

- Słuchaj, nie mam pojęcia, jak i od kogo mam się dowiedzieć, co się stało z Velma - oświadczył Myron. - I chyba nikt tego nie wie. Jeżeli porwał ją Wendigo, nic na to nie poradzę. Ale nawet gdybym był tego pewien, kto by mi uwierzył?

- Ja bym uwierzyła.

- No tak - zgodził się Myron. - Tyle że z kolei tobie nikt by nie uwierzył. - Przerwał i założył okulary. - Sądzę, że w sumie wszystko to wyszło mi na dobre. Mam dzieci, nie płacę alimentów. Owszem, gnębi mnie myśl, że Velmie mogło się przytrafić coś niedobrego. Będzie mi to ciążyło do końca życia, ale cóż, właśnie w ten sposób płacę za odzyskanie córek.

\*\*\*

Lily znów próbowała się dodzwonić do Shooksa, lecz powitał ją jedynie irytujący komunikat poczty głosowej. Zostawiła mu wiadomość:

„Panie Shooks, jadę do Doliny Czarnych Kruków, aby porozmawiać z George’em Żelaznym Piechurem. Proszę oddzwonić do mnie jak najszybciej”.



Gdy wsiadała do samochodu, zegarek wskazywał zaledwie kwadrans po dwunastej, lecz niebo było tak ciemne, że równie dobrze mogło być kwadrans po północy. Nad szosą zaczęły wirować grube płatki śniegu. Przechodnie szukali schronienia przed nadchodzącą śnieżycą. Zwykle Lily starała się nie wyjeżdżać w taką pogodę, ale nie miała pojęcia, ile jeszcze czasu może zająć odnalezienie przez Wendigo miejsca, do którego Jeff zabrał dzieci. Być może było już za późno.

Jechała tak szybko, jak tylko się dało, ścinając zakręty i przejeżdżając puste skrzyżowania na czerwonym świetle. W ciągu dwudziestu pięciu minut dotarła do zjazdu w Dolinę Czarnych Kruków. Śnieg padał tak gęsto, że niemal go przegapiła. Dała ostro po hamulcach, ale rainer ślizgał się jeszcze przez niemal trzydzieści metrów, zanim stanął. Wrzuciła wsteczny, spod przednich kół trysnął śnieg.

Droga do domu George'a Żelaznego Piechura była zasypana głębokim śniegiem i ledwo dawało się nią jechać. Lily sześć czy siedem razy zsuwała się do rowu albo z łomotem i trzaskiem zawieszenia wpadała na skarpe ciągnącą się wzdłuż drogi.

Las po lewej stronie wyglądał jeszcze groźniej niż wtedy, gdy jechała tędy po raz pierwszy, z Shooksem. Zaczynała powoli żałować, że zdecydowała się na tę podróż. Może powinna postąpić tak jak Myron - po prostu zostawić sprawy swojemu biegowi i nikomu nic nie mówić? Przecież i tak nikt by się nie dowiedział, że Jeff nie żyje ani kto go zabił. Zasługiwał chyba na karę za to, że nasłał ludzi z FLAME, by ją żywcem spalili?

Mimo to jechała dalej. Nie mogła zachowywać się jak Jeff albo Myron. Nie była taka jak oni. Rodzice wpoili jej szacunek dla życia każdego człowieka, nieważne kim był. Pamiętała, jak ojciec raz zapłacił za zakupy pewnej staruszki, która zgubiła torebkę. Co więcej, odwiózł ją jeszcze do domu. „Wiesz, ile mnie to kosztowało? - zapytał potem Lily. Osiem dolarów i piętnaście minut”.

Lily cały czas obserwowała drogę spod przymrużonych powiek. Wycieraczki były wściekle, ledwo nadążając z usuwaniem padającego śniegu. Wciąż nie widziała domu George'a Żelaznego Piechura i zaczęła się zastanawiać, czy aby dobrze skręciła. Pamiętała, że las po lewej powinien się wznosić, a nadal rósł na płaskiej przestrzeni, za to drzewa wydawały się gęstsze niż przedtem.

Rainer podskoczył na serii wybojów tak, że Lily chrupnęło w krzyżu. Walczyła z kierownicą, starając się utrzymać na drodze. Kiedy wreszcie wyprowadziła wóz na prostą, odniosła wrażenie, że kilkadziesiąt metrów przed maską coś mignęło. To było coś dużego, szarego, o płynnych ruchach. Może wilk? Przetarła rękawiczką boczną szybę. Przez ułamek

sekundy znów to dostrzegła, lecz gdy zniknęło między drzewami, wydawało się biec na tylnych kończynach.

Poczuła się bardzo niepewnie. To miejsce nie było normalne. Nie obawiała się wilków, a już zwłaszcza nie po tym, gdy Shooks jej powiedział, iż wilki nie atakują ludzi. Ale czy istniały wilki biegające na dwóch nogach jak ludzie?

Jechała dalej, co kilka sekund zerkając niespokojnie na drzewa po bokach. Las zaczął się wznosić i wreszcie się upewniła, że jedzie dobrą drogą. Śnieżycą zelżała, przełączyła więc wycieraczki na mniejszą częstotliwość. Po chwili minęła szczyt wzgórza i ujrzała w dole dom George'a Żelaznego Piechura. Z komina leniwie sączył się dym, a przed domem stał wóz Indianina.

Gdy zjeżdżała powoli ze zbocza, dostrzegła, jak w lesie, po lewej, eksploduje tuman śniegu. Na tle bieli zobaczyła coś czarnego, pędzącego przez las. Przypominało niedźwiedzia, lecz biegło tak szybko, że zniknęło za domem, nim Lily zdołała mu się porządnie przyjrzeć.

Zaparkowała przed domem i wygramoliła się z samochodu. Tym razem nikt nie wyszedł ją powitać. Nic dziwnego, pomyślała, nie wiedzieli, że przyjadę. Wspięła się po schodach na ganek, wypatrując tego dziwnego zwierza. Wilki może i nie atakują ludzi, ale niedźwiedzie nie przejawiają pod tym względem żadnych skrupułów.

Na drzwiach chaty wisiała zaśniedziała mosiężna kołatka w kształcie pyska warczącego wilka. Lily chwyciła za nią, ale kiedy chciała zapukać, drzwi się otworzyły. Stała w nich Hazawin owinięta w ciemnoczerwony koc, a jej włosy, przedtem splecione w warkocze, spływały na ramiona lśnącymi kaskadami. Jej zamglone czerwone oczy wpatrywały się w nicość.

- Kto tam? - zapytała.

- To ja. Lily Blake. Przepraszam. Powinnam była najpierw uprzedzić telefonicznie.

- Nie przejmuj się, Lily - odparła Indianka. - Zawsze cieszymy się z odwiedzin. Wejdz, proszę.

Zamknęła za nią drzwi.

- Czy chcesz coś ciepłego do picia?

Lily rozejrzała się po pokoju dziennym. Panowały w nim ponury mrok i chłód. LAMPY na stołach były pogaszone, bo Hazawin i tak się bez nich obydwała, kłody w kominku prawie się wypaliły i ciągnął z niego ziąb, który wzbijał popiół w palenisku, tworząc w powietrzu wirujące maskary. Lily miała wrażenie, że nie było tu nikogo od wielu godzin.

- George jest w domu?

- Będzie za chwilę. Cały dzień rozmawiał przez telefon. Chodzi o kasyno. Na pewno nie chcesz niczego do picia?

- Chcę... może być ta herbata z werbeny?

- Oczywiście.

Hazawin poszła do kuchni, a Lily usiadła przy palenisku i wyciągnęła dłonie nad gasnącym żarem. Już za pierwszym razem czuła się tu dość nieswojo, lecz teraz czuła również niepokój, choć nie potrafiła określić, co go wywoływało. Ten dom wydawał jej się nierzeczywisty - w środku lasu, po którym biegały wilki. Zupełnie jak domek babci Czerwonego Kapturka. Albo wytwór snu, z którego nie można się obudzić.

- Czy kontaktował się z wami John Shooks? - zawołała w stronę kuchni.

- John? Nie.

- Prosiłam go, by do was zadzwonił.

W tej samej chwili od strony sypialni pojawił się George Żelazny Piechur. Miał mokre włosy, jakby przed chwilą brał prysznic. Zapinał czerwono-czarną flanelową koszulę.

- Lily! Dobrze, że wpadłaś. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. Miał zimne usta. Otaczała go aura chłodu, jakby właśnie wszedł z dworu.

- Przepraszam, że wpadłam bez uprzedzenia - powiedziała Lily. - Myślałam, że Shooks dzwonił do ciebie.

- Pewnie próbował, ale cały dzień wisiałem na telefonie. Oj, ogień gaśnie! Dorzucę trochę drewna.

Ukląkł przed kominkiem na macie w romby i zaczął przegarniać popiół. Lily dostrzegła na jego dłoniach małe zadrapania, jakby od cierni.

- Słyszałeś, co się stało? - zapytała. - Ktoś wtargnął do siedziby FLAME i zabił jednego z nich. Rozerwał go na strzępy.

- Owszem, słyszałem o tym.

- Policja nie wie, kto to zrobił. No i drzwi były zamknięte.

- Pewnie jeden z nich. Oni wszyscy są szajbnięci. Lily wahała się przez chwilę, po czym oświadczyła:

- George, nie jestem głupia.

- A czy powiedziałem, że jesteś?

- Ty też nie jesteś głupi. Wiesz, po co tu przyjechałam. George milczał przez chwilę, po czym spojrzał na nią.

- Chcesz, żebym odwołał Wendigo?

- Nie wiedziałam, że zacznie mordować ludzi. George, na litość boską... Ci faceci z FLAME chcieli mnie spalić, ale to nie daje nam prawa do ich zabijania, nie bez procesu, nie w sposób niezgodny z prawem. A Jeff? Mój były mąż? Nie chcę, by coś mu się stało. Nieważne, co mi zrobił. Jest ojcem Tashy i Sammy'ego.

George ostrożnie umieścił polano w ogniu, po czym położył na nim drugie.

- Lily, nie potrafię odwołać Wendigo. To nie pies myśliwski. Gdy już się zgodzi kogoś wytropić, będzie podążał za nim, dopóki go nie znajdzie.

- Czy Hazawin nie może... jakoś go powstrzymać?

- Hazawin umie wywołać Wendigo z lasu, lecz kiedy już go wezwie, nie ma nad nim kontroli. Lily, zawarłaś umowę. Umowę ze inną i z Wendigo i nie możesz się już wycofać.

- Powiedz mi więc coś... Co ty tak naprawdę będziesz z tego miał?

- Nie wiem, o co ci chodzi. Chciałem pomóc ci odnaleźć dzieci, i tyle.

- Chciałeś tej ziemi nad jeziorem Mystery. Ona jest warta przynajmniej ćwierć miliona dolarów. A gdy pomagałeś Myronowi Burgenheimowi, zażądałeś od niego tylko pledu z jego sklepu.

Popatrzył na nią z powagą.

- To nie jest zwykły pled, Lily. Tym kocem owinięto kiedyś Oye-Kar-Mani-Wima, który był największym tropicielem i zdobywcą skalpów Chippewa. Dla Mdewekantonów jest równie ważny jak tamta ziemia.

Zgniół gazetę w kulkę i wepchnął ją pod polana.

- Całe życie poświęciłem próbom przywrócenia naszemu ludowi godności i niezależności, którą odebrał mu biały człowiek. Dlatego tak' bardzo chciałem wybudować to kasyno - dzięki temu moi bracia mogą być niezależni finansowo. Ale nie chodzi tu tylko o teraźniejszość i przyszłość, Lily. Przeszłość też jest ważna. Usiłuję zgromadzić wszystkie święte artefakty i odzyskać jak najwięcej świętych miejsc, by odbudować naszą tożsamość.

- Musisz powstrzymać Wendigo - oświadczyła Lily. - Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Dopilnuję, żebyś dostał tę ziemię nad jeziorem Mystery.

Weszła Hazawin z herbatą dla Lily i usiadła obok niej przy palenisku. Odwróciła się do niej i powiedziała:

- Przykro mi, Lily. Chciałabym móc go powstrzymać... Niestety nawet najpotężniejszy czarownik nie potrafiłby tego dokonać.

George podpałił zgniecioną gazetę, wystrzelił ogień. Hazawin klękła przy nim - tak samo jak poprzednim razem. Lily sączyła herbatę, ale miała dziwny posmak siana, więc wypila tylko pół kubka. Kusiło ją, by zapytać George'a o wilki, które widziała w lesie,

pomyślała jednak, że lepiej to przemilczeć. Miała irracjonalne wrażenie, iż tu, w tym pokoju, też siedzi wśród wilków. Nawet jeśli przybrały na chwilę ludzki kształt.

Siedziała jeszcze u George'a niecałe dwadzieścia minut. Indianin opowiedział jej trochę więcej o historii Mdewekantonów i o utracie przez nich ziemi.

- Słowo *mdewekanton* mówi o tym, kim jesteśmy i skąd pochodzimy - dodał na koniec. - *Mde* oznacza Jezioro”, *wakan* „świętą tajemnicę”, a *otonwe* to „wioska”.

Lily spojrzała przez okno.

- O, znowu pada. Lepiej już pojedę.

George odprowadził Lily do samochodu. Otworzył przed nią drzwiczki, lecz zanim zdążyła wsiąść, ujął jej dłonie.;

- Chyba nie uważasz, że wprowadziliśmy cię w błąd? - zapytał.

- Mogłeś mi wtedy powiedzieć, że Wendigo będzie rozszarpał ludzi.

- Posłuchaj... Czy sądzisz, że gdyby ci ludzie cię zabili, Jeff płakałby po tobie?

Lily potrząsnęła głową.

- Chyba nie. A raczej na pewno nie. Ale to nadal nie jest powód, by go zabijać.

- Lily, czasem ludzie sami kopią sobie grób.

- Chyba tak. No cóż...

Wsunęła się za kierownicę i odpaliła silnik. George cofnął się i wtedy Lily ujrzała w jego twarzy coś, co sprawiło, że przeszedł ją dreszcz.

Na chwilę jego szczeka jakby się zwężyła, uśmiech odsłonił zęby, a oczy błysnęło żółto. Ale kiedy pokiwał jej na pożegnanie, wszystko wróciło do normy.

Obserwowała go w lusterku, gdy wjeżdżała na wzgórze. Nie zmienił się w wilka ani nie stanął na czworakach.

Straszysz tylko samą siebie. Wyobraźnia odbiera ci rozsądek, powiedziała sobie. Wiedziała już jednak, że Wendigo wciąż szuka Jeffa z dziećmi i nie ma żadnego sposobu, aby go odwołać.

\*\*\*

Wieczorem przyjechał Bennie intensywnie pachnący wodą „Aramis”. Przytargał ze sobą wielki, owinięty w celofan bukiet lili.

- Pomyślałem, że może chciałabyś z kimś spędzić czas.

- Bennie, jesteś kochany, ale... czuję się całkiem dobrze. Nic mi nie jest. Chciałam się dziś wcześniej położyć.

- Jadłaś kolację? - zapytał, ściągając czapkę. - Powinnaś coś zjeść. Może wyskoczylibyśmy do „Cafe Dwadzieścia Osiem” na tortellini z raczkami?

- Przykro mi, ale dziś raczej nie.

Bennie przestąpił z nogi na nogę niczym mały chłopiec, który chce do toalety, lecz wstydzi się zapytać, czy może.

- No dobrze - mruknął. - Choć uważam, że powinnaś bardziej dbać o siebie.

- Spokojnie. Zjem jakąś kanapkę przed snem. Aha, i dziękuję za kwiaty. Są wspaniałe.

Bennie wziął czapkę, odchrząknął i pociągnął nosem.

- Muszę cię o coś spytać - oświadczył.

- Tak?

- Wiem, że zadaję to pytanie nieco za wcześnie, bo jeszcze nie ma dzieci. Ale na pewno będą.

- Bennie, modłę się o to.

- Ja też, Lii, ja też. Modłę się o to z całego serca. Chciałbym jednak wiedzieć... czy w twoim sercu znajdzie się odrobina miejsca dla mnie? No wiesz... czy możemy być kimś więcej niż tylko przyjaciółmi?

Lily nie mogła uwierzyć własnym uszom. Udało jej się uniknąć spalenia żywcem, od trzech miesięcy szukała dzieci, a on tak po prostu zapytał, czy mogliby zostać kochankami.

Zamierzała powiedzieć mu, żeby wybił to sobie z głowy. A potem zażądać, by wyszedł z jej domu, i oznajmić, że nie powróci już do pracy w „Concord”, nawet gdyby była jedyną agencją nieruchomości na świecie, lecz natychmiast przypomniała sobie o jeziorze Mystery. Jeżeli nie dostanie tej ziemi nad Mystery, nie zapłaci George’owi za pomoc Wendigo. Indianin postawił sprawę jasno: tej umowy nie można zerwać.

Uśmiechnęła się do Benniego krzywo.

- Może lepiej z tym poczekajmy, dobrze? Trudno mi cokolwiek planować, dopóki nie odzyskam Tashy i Sammy’ego.

- Chcę tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo mi na tobie zależy - odparł. - Jeżeli czegoś będziesz chciała, czegokolwiek i kiedykolwiek, to wiesz, gdzie mnie szukać.

- Owszem, wiem, Bennie. To bardzo miłe z twojej strony. Niezdarnie pocałował ją w policzek.

- Odezwę się do ciebie jutro, dobrze?

- Tak. Dobranoc, Bennie. Jedź ostrożnie. Zamknęła za nim drzwi, i przez długą chwilę stała oparta o nie plecami. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że traci wiarę w cały świat i wszystkich ludzi.

\*\*\*

Tej nocy znów śnił jej się koszmar. Była zima. Chodziła po opuszczonym domu. Wędrowała od pokoju do pokoju, ale wszystkie były zakurzone i puste. Znalazła tylko przewrócone krzesło kuchenne i wielkiego konia na biegunach bez głowy, z wyliniałym ogonem.

Gdzieś na górze stukała okiennica, łup, cisza i znów łup. Lily przystanąła i nasłuchiwała, lecz słyszała tylko trzaskanie okiennicy i zawroźnienie wiatru. Burza idzie, pomyślała. Lepiej zamknę okna. Gdy doszła do podnóża schodów, nie wiadomo czemu zatrzymała się nagle.

Na ścianie, przy której stała, wisiało zdjęcie Jeffa. Szkło w ramie było stłuczone, a z lewego nozdrza Jeffa płynęła krew.

- O Boże... - jęknęła Lily.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć zdjęcia, lecz w tej samej chwili jej były mąż odwrócił się i zobaczyła, że ma zmiażdżoną z boku głowę. Widziała mózg, popękane fragmenty czaszki i zlepiającą włosy krew.

- Jeff! - zawołała. Jej głos był niski i przytłumiony, jak z taśmy odtwarzanej w zwolnionym tempie i zabrzmiało to jak dżuuuuuuuuuuuuuffffffff!

Usłyszała miękki stukot pazurów - lub czegoś, co wzięła za pazury - na deskach podłogi na piętrze. Słyszała też sapanie, jakby psa albo wilka.

Łupnęła okiennica i po chwili ciszy łupnięcie się powtórzyło.

Na Lily padł cień - z góry, po schodach, schodziła jakaś postać. Ni to ludzka, ni zwierzęca, ni to wilk, ni jeleń. Schodziła powoli, niezdarnie poruszając sztywnymi kończynami i opierając się o ścianę.

Lily była zbyt przerażona, żeby krzyczeć, nie mogła nawet zaczerpnąć tchu. Odwróciła się od stwora i wtedy z hukiem zatrasnęły się wszystkie drzwi.

W tym momencie zadzwonił telefon.

## **ROZDZIAŁ 10**

- Pani Blake? Mówi agent specjalny Kellog.

- O, witam. Co słychać? Przepraszam, spałam.

- Nie szkodzi, to ja przepraszam, że panią obudziłem. Ale właściwie chyba nie powinienem pani przepraszać. Znalezliśmy Taszę i Sammy'ego.

Lily natychmiast usiadła prosto na łóżku. Z emocji słowa ledwo przechodziły jej przez ściśnięte gardło:

- Znaleźliście ich? O Boże! Dzięki Ci, Boże! Wszystko z nimi dobrze?
  - Są cali i zdrowi, pani Blake. Przebywają w szpitalu Tampa General na Florydzie.
  - W szpitalu? Dlaczego? Co im się stało?
  - Z tego, co mi wiadomo, fizycznie nic im nie dolega. Tyle że są w ciężkim szoku i chcieliśmy sprawdzić, czy na pewno z nimi wszystko w porządku.
  - Jak to w szoku?
  - Chodzi o pani byłego męża. On nie żyje. Lily włączyła nocną lampkę.
  - W jaki sposób umarł? - zapytała nieswoim głosem.
  - Wie pani co? Za jakiś kwadrans przyjedziemy po panią i polecimy do Tampa, a po drodze wszystko dokładnie opowiem. Pasuje to pani?
  - Proszę mi powiedzieć, jak umarł. Chcę wiedzieć.
  - Ktoś go zaatakował, może nawet kilku sprawców. Odniósł bardzo poważne obrażenia.
  - Wiecie, kto mógł to zrobić?
  - Nie miałem jeszcze okazji porozmawiać na ten temat z policją w Tampa. Wiem jedynie, że nie zatrzymali żadnych podejrzanych.
  - No dobrze - powiedziała Lily. - Ubieram się. Ile czasu leci się do Tampa?
  - Jakies trzy i pół godziny. Powinniśmy być na miejscu koło drugiej nad ranem.
- \*\*\*

Z Minneapolis wylecieli ostatnim lotem linii North Western. Padał gęsty śnieg, a pulsujące światła pozycyjne na końcach skrzydeł sprawiały, że płatki zdawały się wisieć nieruchomo w powietrzu.

Lily siedziała obok Kelloga. Rylance ulokował się po drugiej stronie przejścia i usiłował zasnąć.

- Pani były mąż wynajął dom na plaży na Crystal Island, niedaleko Clearwater, na nazwisko Glennan - poinformował Lily Kellog. - Chyba z nikim się nie kontaktowali.

- Nie rozumiem, dlaczego Tasha nie zadzwoniła do mnie... Mogła chociaż powiedzieć, że nic im nie jest.

- Ofiary porwań, a zwłaszcza dzieci, rozumują nieco inaczej. Pani były mąż najprawdopodobniej przekonał córkę i syna, iż telefon tylko by panią rozgniewał.

- Ale... jak to się właściwie stało? Kto ich znalazł?

- Wczoraj około dziewiętnastej starszy facet, który mieszka w domku obok, usłyszał dziwne hałasy, jakby trzaskanie drzwiami i rzucanie meblami. Potem usłyszał krzyki i z domku wybiegli Tasha i Sammy. Według starszego pana dzieci były śmiertelnie przerażone.



Zadzwoił na policję i podszedł do nich. Zajrzał też do domku. Jego wnętrze wyglądało jak po przejściu tornada. Znalazł tam szczątki pani eks.

- Jak to szczątki?

- Pani Blake, nie zapoznałem się jeszcze z pełnym raportem, ale detektyw, który do mnie zadzwonił, powiedział, że powinna się pani przygotować na „bardzo przykre szczegóły”.

- Niech pan mówi. Kellog rozluźnił krawat.

- Może zaczekamy z tym, aż dolecimy do Tampa i porozmawiam z patologiem?

- Nie, chcę to wiedzieć teraz. Co ten detektyw miał na myśli, mówiąc o „bardzo nieprzyjemnych szczegółach”?

- Pani były mąż padł ofiarą niezwykle brutalnej napaści. Rozszarpano go na kawałki. Staruszek z sąsiedztwa powiedział, że nie widział tak okaleczonego ciała od czasu, kiedy w morzu niedaleko jego domku jakiś nurek dostał się pod śrubę statku wycieczkowego.

Kellog milczał przez chwilę, po czym dokończył:

- Z pani eksmeża zbyt wiele nie zostało. Znalezione tylko rękę i część klatki piersiowej.

Znów przerwał i sięgnął po dłoń Lily.

- Bardzo mi przykro, pani Blake.

\*\*\*

Przez resztę lotu zamienili raptem kilka słów. Lily nie mogła zmusić się do zjedzenia podanego posiłku. Miała wrażenie, że jej żołądek zawiązał się w ciasny, poplątany supeł.

Poznała już dość szczegółów, by mieć pewność, że to Wendigo rozszarpał Jeffa. Wiedziała, że jest odpowiedzialna za jego śmierć. Nienawidziła go za to, co usiłował jej zrobić, lecz nie potrafiła zapomnieć o pierwszych, pełnych szczęścia dniach ich małżeństwa. Bardzo go wtedy kochała. Teraz to ciało, które kiedyś leżało obok niej w łóżku, zostało rozszarpane na kawałki, a jego część gdzieś zabrano.

Nie mogła zapomnieć o pieprzykach, jakie Jeff miał na ramieniu, przypominających swoim układem gwiazdozbiór na nocnym niebie.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Kellog. Potwierdziła skinieniem głowy. Nie zaciągnęła rolety na oknie przy swoim fotelu. Widziała w nim tylko ciemność i swoje odbicie, wędrujące przez mrok niczym duch.

\*\*\*

Gdy agenci wraz z Lily przybyli do szpitala w Tampa, Tasha i Sammy spali. Dzieciom podano kroplówki. Młody lekarz o szpakowatych włosach wyjaśnił Lily, że dostały też łagodne środki uspokajające.

- Były w szoku - powiedział. - Nie wiem, co zobaczyły, ale nie potrafiły o tym mówić.

Lily popatrzyła na swoje dzieci. Bardzo chciała je objąć, przytulić, wiedziała jednak, że teraz potrzebowały snu. Były opalone i wyglądały na dobrze odżywione. Sammy miał rude piegi na grzbiecie nosa, zupełnie takie same, jakie miał latem Jeff.

- Wyjdą z tego? - zapytała lekarza, dotykając włosów Tashy.

- Jest zbyt wcześnie, by o tym mówić - odparł. - Pewnie przez dłuższy czas będą miały napady lęku i koszmary. Sądzę, że potrzebują doświadczonego terapeuty. Mielśmy tu kiedyś siedmiolatka, który widział, jak zastrzelono całą jego rodzinę. Mniej więcej po roku nauczył się wreszcie z tym żyć.

\*\*\*

O siódmej rano Lily siedziała jeszcze między łózkami swoich dzieci. Agent Kellog przyniósł jej kawę i pączka posypanego cukrem pudrem.

- Pewnie pada pani ze zmęczenia - zauważył. Uśmiechnęła się do niego i odparła:

- Muszę tu być, kiedy się obudzą. Nie chcę, by myślały, że je opuszczono.

- Rozmawiałem z detektywem, który prowadzi śledztwo w sprawie napaści na pani męża - oznajmił Kellog. - Twierdzi, że nikt nie widział w pobliżu domku żadnych intruzów. Nie widziano też żadnych obcych samochodów, a w sklepach i na stacjach benzynowych nie zauważono nikogo podejrzanego. - Wskazał ruchem głowy dzieci. - Zdaje się, że to jedyni świadkowie, jakich mamy.

- Nie chcę, by przesłuchiowano moje dzieci, zanim będą na to gotowe - oświadczyła Lily.

- Proszę się nie niepokoić. Z Quantico leci do nas specjalistka od wywiadów z dziećmi. Jest naprawdę dobra, bardzo dobra. Ma za sobą dziesiątki rozmów z dziećmi po traumatycznych przeżyciach.

- Czuję, że to moja wina - powiedziała Lily.

- Dlaczego? Pani nie ponosi tu najmniejszej winy.

- Może niepotrzebnie zachowywałam się jak zazdrosna suka. Może powinnam była pozwalać Jeffowi widywać się z nimi częściej...

- Zaraz. Sama pani mi mówiła, że pani były ciągle stwarzały problemy. Co niby miała pani zrobić?

Mogłam poczekać, aż FBI znajdzie moje dzieci, pomyślała. Trwałoby to może o wiele dłużej, ale przecież Jeff o nie dbał. Przynajmniej by żył, a Tasha i Sammy nie musiałyby oglądać, jak coś rozrywa go na strzępy.

Kiedy agent Kellog zbierał się do wyjścia, Tasha otworzyła oczy.

- Mamo? - wyszeptwała.

Lily podniosła się i podeszła do łóżka córki. Obiecała sobie, że nie będzie płakała, lecz oczy same zaszyły jej łzami, a słowa uwięzły w gardle.

- Mamo, co się stało z twoimi włosami? - zapytała dziewczynka.

\*\*\*

Siedzieli w małej szpitalnej świetlicy, której okna wychodziły na błękitne wody Tampa Bay. Do świetlicy weszła doktor Flaurus. Na zewnątrz świeciło słońce, krzewy juki szumiały poruszone ciepłym wiatrem znad zatoki. Na balustradzie balkonu przysiadła mewa i przyglądała im się jednym okiem bez wyrazu.

Doktor Flaurus podeszła do Lily z wyciągniętą dłonią. Była wysoka, miała kręcone ciemne włosy i ładną twarz o wyrazistych rysach. Nosila żakiet z surowego lnu i szafirową bluzkę.

- Jane Flaurus - przedstawiła się z uśmiechem na uszmiłkowanych wargach.

- Lily Blake. A to Tasha i Sammy. Dzieci, przywitajcie się.

- Hej - wyszeptwała Tasha. Ale Sammy milczał, ukrył twarz w dłoniach i patrzył na doktor Flaurus przez palce.

Lekarka przysunęła sobie krzesło i usiadła na nim, krzyżując nogi. Z torebki wyjęła mały dyktafon i położyła go na stole, obok książki o Star Treku, którą czytał Sammy.

- Jeżeli nie chcecie, żebym nagrywała naszą rozmowę, mogę schować dyktafon. Chciałabym ją jednak potem przesłuchać. Bardzo mi to pomoże.

- Tasha? Sammy? - zapytała Lily dzieci.

- Może być - wyszeptwała Tasha tak cicho, że Lily ledwo ją słyszała. Sammy nie odpowiedział, nadal zasłaniając twarz.

- Pięknie na dworze, prawda? Jest tak ciepło - zagaiła doktor Flaurus.

- W Minneapolis mamy śniegu po pachy - odparła Lily.

- Kocham śnieg - powiedziała lekarka. - A ty, Sammy? Czy lubisz śnieg?

Sammy wciąż milczał, choć Lily zauważyła, że gwałtownie zamrugał zza palców.

Przez jakieś piętnaście minut doktor Flaurus mówiła właściwie o niczym. Pytała Taszę i Sammy'ego o ich ulubione programy telewizyjne, ulubione przedmioty szkolne, ulubione gry. Lily myślała, że w ogóle nie poruszy tematu Jeffa.

- Chciałybyście mieszkać na Florydzie, a nie w Minnesocie? - zapytała w końcu lekarka.

- Już nie - odparła Tasha.

- JUŻ nie - powtórzył Sammy z większym naciskiem.

- A przedtem wam się tu podobało? Tasha kiwnęła głową.

- Codziennie chodziliśmy pływać. Byliśmy w Busch Gardens i widzieliśmy zwierzęta. Robiliśmy sobie pikniki i jeździliśmy na różnych rzeczach.

- Nie mogłem przejechać się Gwazi - poskarżył się Sammy. - Jestem za niski. Tata powiedział, że będę mógł to zrobić dopiero w przyszłym roku.

- Nie przyjedziemy tu w przyszłym roku - powiedziała Tasha. - Nie chcę tu już nigdy wracać.

- A ja chcę przyjechać tu tylko jeszcze raz - oświadczył Sammy. - Tylko na Gwazi.

- Człowiek, który skrzywdził waszego tatę, już tu nie wróci - obiecała im doktor Flaurus.

- To nie był człowiek - stwierdził Sammy.

- Nieprawda - zaprotestowała Tasha.

- To nie był człowiek. To był nikt.

- To był człowiek, głupolu. Jakiś rodzaj człowieka.

- To był nikt. Tam nikogo nie było.

- Przecież był.

- Nieprawda.

- Prawda.

- Tasha - przerwała im doktor Flaurus. - Powiedziałaś „jakiś rodzaj człowieka”. Co miałaś na myśli?

Tasha popatrzyła w dół, a potem w bok, jakby bała się spojrzeć w twarz własnym wspomnieniom. Gdy wreszcie się odezwała, potrząsała palcami, jakby chciała opisać coś migotliwego i niematerialnego.

- On po prostu nagle się tam pojawił.

- To znaczy, że wszedł do domu, nie dzwoniąc do drzwi, nie pukając do nich?

- Po prostu zjawił się w środku. Po prostu ukazał się.

- Ja go nie widziałem - oświadczył Sammy.

- Bo jesteś ślepy.

- Nie jestem. A jeśli jestem, to gdzie mój pies przewodnik?

- Już dobrze - uspokajała ich doktor Flaurus. - Powiedzmy, że po prostu się tam zjawił. Jak wyglądał?

Tasha zaczęła potrząsać palcami obu dłoni.

- Był czarno-biały, podskakiwał i trzął się jak ludzie w bardzo starych filmach z Charlie Chaplinem. Nie widziałam go dobrze, bo cały czas się ruszał.

- Widziałaś jego twarz?

- Ciągłe się zmieniała, jakby miał wiele twarzy.

- Czy możesz opisać jedną z nich?

- Jedna wyglądała tak, jakby krzyczał, bo miał szeroko otwarte usta. Druga wyglądała na bardzo złą, miała zmrużone oczy. Widziałam jeszcze jedną, ale ta wyglądała jak u zwierzęcia, psa albo jelenia, czegoś z bardzo długą głową.

- Ja go nie widziałem - wtrącił Sammy. - Tata też nie.

- Skąd wiesz, że go nie widział?

- Bo akurat wtedy wszedł do domku i powiedział, że idziemy popływać.

Doktor Flaurus ściągnęła brwi.

- Sądzisz, że kiedy wszedł do domku, nie widział tego człowieka?

- Tam nikogo nie było. Tasha zmyśla.

- Był! - krzyknęła dziewczynka. - Jeżeli go tam nie było, to kto zabił tatę? Kto urwał mu ręce i nogi, i głowę?

Sammy zadrzał i nic nie powiedział.

- Myślę, że tata go nie widział - stwierdziła Tasha. - Ale ja tak. Gdy tata wszedł do domku, ten człowiek się odwrócił i złapał go za szyję. Urwał mu głowę. To było tak, jakby urwał głowę lalce, ale tam były różne rurki, nitki i krew. Zamknęłam oczy i chyba krzyczałam, ale nie pamiętam.

Sammy pobladł i cały się trzął. Lily przytuliła go mocno.

- Już dobrze - powiedziała. - To minęło. Nic ci nie grozi. Nikt cię już nie skrzywdzi.

- Nie widziałem tam nikogo - wymamrotał Sammy. - Tacie urwało głowę, ale to było tak, jakby sama odpadła. Nie widziałem tam nikogo.

Lily dotknęła ręki lekarki.

- Na dziś chyba wystarczy, pani doktor.

- Dobrze. Chcę tylko jeszcze zapytać o jedną rzecz. Tasha, czy widziałaś, jak ten człowiek wychodził?

Dziewczynka pokręciła głową.

- Chodzi mi o to, czy wyszedł normalnie przez drzwi.

- Nie. Odwrócił się i zniknął.
- Ot tak sobie? Jak w magicznej sztuczce?
- Właśnie.

\*\*\*

Doktor Flaurus zaprowadziła Lily do małego biura w świetlicy. Agenci Kellog i Rylance już tam byli. Towarzyszył im opalony człowiek o piaskowych włosach, w zielonooliwkowym letnim garniturze. Kellog wyłączył głośnik, przez który słuchali rozmowy w sąsiednim pokoju.

- Pani Blake, to jest detektyw Nick Moynihan z wydziału policji w Tampa.

Lily kiwnęła głową na powitanie.

- Przykro mi z powodu tego, co zaszło - powiedział Moynihan. - Pani dzieci są chyba w głębokim szoku.

- Dziękuję. Czy mogę zabrać je dziś do domu?

- Raczej jutro rano. Lekarze chcą jeszcze przeprowadzić dodatkowe badania i upewnić się, że z dziećmi jest wszystko w porządku.

- Obawiam się, że będziemy musieli je ponownie przesłuchać - stwierdził agent Rylance. - Musimy ustalić, o co chodzi z tym człowiekiem, który pojawił się czy też może się nie pojawił.

- Tu nie ma co ustalać - odparła Lily. - Tasha i Sammy widzieli, jak ktoś rozrywa ich ojca po kawałku. Chyba nie sądzicie, że powiedzą wam coś sensownego?

- Dzieciaki są zwykle doskonałymi świadkami - odezwał się detektyw Moynihan. - Niczego nie zakładają z góry ani nie mają uprzedzeń wobec tego, co widzą. Widzą rzeczy takie, jakimi są.

- Albo jakimi nie są, tak jak w naszym przypadku - dodał Rylance.

- Przykro mi, pani Blake - powiedział Kellog. - Musimy zweryfikować ich zeznania. Nie możemy wysłać listu gończego za postacią z filmu Chaplina, za kimś, kto ma trzy twarze.

Doktor Flaurus ujęła Lily za rękę.

- Obiecuję, że będę bardzo delikatna. Często świadkom, zwłaszcza jeśli są w szoku, wydaje się, że widzieli coś niezwykłego. Podobnie jest, gdy się patrzy na tkaninę z kwiecistym wzorem: wydaje się, że widać na niej twarze. Widziała pani może, jak człowiek przebrany za goryla wchodził na boisko do kosza podczas meczu? Mnóstwo kibiców w ogóle go nie zauważało.

- Pani doktor, my nie szukamy faceta w stroju goryla - przerwał jej Rylance. - Szukamy raczej prawdziwego goryla. W końcu kto ma dość siły, by rozerwać człowieka na

strzępy gołymi rękoma? I dlaczego, na Boga? I czemu zabrał ze sobą większą część ciała Jeffa Blake'a?

- Musimy też ustalić, czy ta sprawa ma jakiś związek z zabójstwem członka FLAME w Minneapolis. Okoliczności były bardzo podobne: obie ofiary zostały rozdarte na kawałki przez niewidzialnego sprawcę, no i obie sprawy mają związek z Tashą i Sammym.

Lily miała wielką ochotę powiedzieć: „Poprosiłam indiańską szamanę, by przywołała Wendigo, leśnego demona, który zabija i zjada każdego, kto mu stanie na drodze”. Wiedziała jednak, że to nie miałyby sensu. Pomyśleliby na pewno, że sama uległa stresowi. A Shooks wyparłby się wszystkiego, tak samo jak George i Hazawin.

- Chciałabym wam pomóc - odparła. - Ja i Jeff zawsze się kłóciliśmy i skakaliśmy sobie do gardeł, ale nigdy nie pragnęłam jego śmierci.

- W porządku, pani Blake - powiedział Kellog, uspokajająco kładąc dłoń na jej ramieniu. - Może pani wrócić do Tashy i Sammy'ego. Doktor Flaurus będzie musiała z nimi znów porozmawiać, ale dopiero jutro rano.

Gdy Lily zamierzała wyjść z biura, do środka wpadła otyła kobieta w okularach i zjadliwie zielonym kombinezonie ochronnym z tyteku. Miała mocno ściągnięte włosy oraz duży pieprzyk na brodzie. Pachniała lateksem i środkami dezynfekującymi.

- Detektywie Moynihan, odkryliśmy więcej szczątków pana Blake'a.

Detektyw popatrzył na Lily.

- Pani Blake, nie powinna pani tego słuchać... Kobieta w kombinezonie poczerwieniała.

- Przykro mi, proszę pani. Nie wiedziałam, że jest pani jego krewną.

- Co znaleźliście? Powiedźcie mi, proszę, chcę wiedzieć. Byłam jego żoną przez jedenaście lat.

- Jest pani tego pewna?

Kiedy Lily kiwnęła głową, Moynihan odwrócił się do zielonego kombinezonu.

- Proszę mówić, ale niech pani nie przesadza ze szczegółami.

Kobieta wydmuchała nos w wymiętą chusteczkę higieniczną.

- Przepraszam, mam uczulenie - wyjaśniła. - Nie skończyliśmy jeszcze, ale ślady krwi świadczą o tym, że pana Blake'a rozczłonkowano przy użyciu wielkiej siły i w bardzo krótkim czasie, prawdopodobnie zaledwie w kilka sekund. Ale na razie nie potrafimy powiedzieć, jak to się stało. Nigdy przedtem nie spotkaliśmy się z czymś takim. Po rozczłonkowaniu ciała pozostawiono w domku tylko lewe ramię i część klatki piersiowej. Resztę wyniesiono przez część jadalną, przez rozsuwane drzwi na tyłach.

Kobieta wyjęła niewielki notes i przekartkowała go szybko.

- Znaleźliśmy ślady krwi, prowadzące z domku na podwórze. Odległość między pojedynczymi kroplami wynosi od trzydziestu do czterdziestu centymetrów, a każda z nich spadła pod bardzo ostrym kątem.

- To co z tego wynika?

- To, że sprawca niósł szczątki pana Blake'a, poruszając się bardzo szybko. Prawdopodobnie biegł. Właściwie to chyba nawet nie biegł, ale wystrzelił z tego domku jak... demon.

- Z trzema czwartymi ludzkich zwłok?

- Panie Moynihan, przekazuję jedynie to, co mówią nam dowody.

Detektyw spojrzał na Lily z nieszczęśliwą miną. Lily odwróciła wzrok. Im więcej słyszała, tym bardziej czuła się winna i była przekonana, iż widać to na jej twarzy. Mogła się pocieszać jedynie tym, że przynajmniej Jeff umarł szybko.

Wciąż jednak pamiętała pieprzyki na jego ramieniu. Wciąż pamiętała jego śmiech.

- Mówiła pani, że eee... znaleźliście więcej szczątków - powiedział Moynihan.

- Zgadza się - odparła kobieta w kombinezonie, znów wycierając nos. - Niestety nie da się tego przedstawić w delikatny sposób. Znaleźliśmy odcinek jelita cienkiego, około sześciu metrów, który zaczepił się o płot okalający podwórze. Prawdopodobnie naciągnął się po zaczepieniu i po prostu oderwał. Wisiał na huśtawce dziecięcej u sąsiadów.

- Jezu Chryste! Jak wysoka jest ta huśtawka?

- Dokładnie dwa metry i dwadzieścia osiem centymetrów. Myśleliśmy najpierw, że sprawca wspiął się na nią, wlokąc za sobą jelito, ale to nie miało sensu. Nie musiał przecież wchodzić na huśtawkę. Mógł uciec niezauważony w dowolnym kierunku. Poza tym na huśtawce nie ma odcisków rąk, nie ma także żadnych śladów butów na okalającym ją piasku, prócz dziecięcych.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Na początku zupełnie nas to zdezorientowało. Jakies siedem domów dalej na północ znaleźliśmy jeszcze kilka strzępów żołądka, część tchawicy i trochę tkanki tłuszczowej.

Detektyw Moynihan znów rzucił okiem na Lily.

- W porządku. Nie musicie się mną przejmować - uspokoiła go, ale czuła, jak powoli ogarnia ją zapowiadająca omdlenie ciemność.

- Znaleźliśmy te szczątki na dachu domu - oznajmiła kobieta. - Zaplątały się w antenę telewizyjną, jakieś dwanaście metrów nad ziemią. No i to wszystko nam wyjaśniło.

- Rozumiem. Czyli że zabójca umie latać...



- Raczej nie umie, ale przyjęliśmy, że upuścił część szczątków na patio, gdy wychodził z domku tylnym drzwiami. Wnętrznosci są bardzo śliskie, trudno je utrzymać w rękach.

- No i co dalej?

- Myślmy, że to sprawka mew albo pelikanów. To ptaki padlinożerne. Gdy zabójca uciekł, musiały zabrać szczątki z patio i odleciały z nimi.

- Mówi pani poważnie?

- Nie widzimy innego wyjaśnienia. Jeden z ptaków porwał jelito cienkie, ale jego koniec zaplątał się w płot i ptak nie mógł go oderwać. Drugi odleciał z tchawicą, fragmentami żołądka i całą resztą, nie mógł jednak pomieścić tego wszystkiego w dziobie, więc część szczątków upuścił na dach. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego. To po prostu ptaki.

- Przepraszam panią, pani Blake - powiedział Moynihan. - Nie powinna była pani tego słuchać.

- Nic się nie stało - odparła Lily. - Umiera się i koniec, prawda? Przecież gdyby Jeffowi się udało, zostałyby ze mnie tylko kupka popiołu.

\*\*\*

Rano doktor Flaurus znów rozmawiała z Tashą i Sammym, lecz powiedzieli jej to samo, co poprzedniego dnia. Stało na tym, że Tasha widziała migoczącego człowieka, a Sammy nie.

Po trwającej czterdzieści pięć minut rozmowie lekarka wzięła Lily na bok.

- One są nadal w głębokim szoku - oznajmiła. - Sądzę, że stworzyły sobie wymyślony scenariusz wydarzeń, by zatrzeć prawdziwe wspomnienia. Do prawdy dojdziemy dopiero po terapii.

- Czy mogę już zabrać je do domu?

- Jeżeli lekarze się zgodzą, to tak. Dzieci potrzebują teraz znajomego otoczenia, poczucia bezpieczeństwa. Nie rozmawiałam co prawda z szefową mojego wydziału w Quantico, ale na pewno będzie chciała, żebym przesłuchała pani dzieci jeszcze kilka razy. Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza. Proszę mi wierzyć, ja też chcę, by doszły do siebie po tym strasznym przeżyciu. Myślę, że jeżeli uda mi się je przekonać, by wreszcie zaczęły mówić prawdę, bardzo im to pomoże.

Lily nic na to nie odpowiedziała. Była przekonana, że dzieci opisały śmierć Jeffa najdokładniej, jak potrafiły. Tasha widziała Wendigo, bo stał do niej przodem. Sammy nie, bo duch stał do niego krawędzią, jak kartka papieru.

## ROZDZIAŁ 11

Uwierzyła, że cały ten koszmar się skończył, dopiero wtedy, gdy przyjechali do domu, gdy zrobiła dzieciom kąpiel z pianą, umyła im włosy i przebrała je w piżamy, które czekały na nie w szufladach tyle czasu.

Po kąpeli dzieci usiadły przy stole w kuchni, a Lily robiła im na kolację ich ulubione danie, jajecznicę po duńsku - ze smażonymi czerwonymi ziemniakami, siekanym boczkiem i czerwoną cebulką. Wpuściła nawet do kuchni Sierżanta, by sprawić dzieciom więcej radości. Pies położył głowę na kolanach Tashy i przewracał oczami z rozkoszy, gdy głaskała go po uszach. W telewizji leciał *Spongebob Squarepants*, ulubiony program Sammy'ego. Jeszcze żaden wieczór nie był dla Lily tak normalny i ciepły.

- Mamo, czy zapuścisz włosy? - zapytał Sammy.

- Tak, zapuszczę - odparła. - I chyba zapuszczę bardzo długie. Miałam takie w liceum. Nośłam wtedy kucyk.

- Ale mnie się podobasz łysa.

- Ogoliłam głowę, bo chciałam, by ludzie widzieli, że nigdy nie przestanę was szukać, choćby nie wiadomo co się działo.

- Tata powiedział, że już nas nie chcesz. Powiedział, że cieszysz się, że zniknęliśmy.

- Wiem. Ale chyba nie było z nim za dobrze, kiedy to mówił.

- Czy gdyby żył, przebaczyłabyś mu? - zapytała Tasha. Lily wbiła do miski cztery jajka i zaczęła je mieszać.

- Dobre pytanie - odparła i pomyślała, że Tasha zadaje bardzo mądre pytania. Cóż, w końcu dorastała.

- Czy tata będzie miał pogrzeb? - zapytał Sammy.

- Tak, kiedy FBI wyda nam ciało.

- Był cały w kawałkach. Będą musieli poskładać go, zanim go pochowają.

- To prawda, ale mają ludzi, którzy to zrobią.

- Czy tatę zeszyją albo zlepią Crazy Glue?

Doktor Flaurus uprzedziła Lily, iż dzieci będą chciały opowiedzieć jej o tym, co się stało w domku na Florydzie. Poradziła jej też, by nie zabraniała im mówić, choćby nawet ich opowieści brzmiały nieprawdopodobnie i odrażająco.

- Myślę, że go zszyją.

Usiedli i zaczęli jeść. Sammy pożarł jajecznicę w takim tempie, jakby nie jadł od tygodnia, ale Tasha tylko grzebała widelcem w talerzu. Lily ujrzała łzy w jej oczach. Uścisnęła dłoń córki.

- Skarbenku, to przejdzie. Pewnego dnia pójdziesz spać i zobaczysz, że już wcale o tym nie myślisz.

- Bawiliśmy się tak dobrze... - wyszlochała Tasha. - Było nam prawie jak w niebie.

- Wiem. Tata chciał, żebyście byli szczęśliwi.

- Ale nie myśleliśmy o tobie. Nawet nie rozmawialiśmy o tobie, mamó. Nie wiem, dlaczego byliśmy tacy podli.

- Nie byliście podli. Po prostu dobrze się bawiliście. Gdybym to ja była na Florydzie i jeździła konno, pływała i chodziła do Busch Gardens, to nie myślałabym o śniegu, szkole czy sprzątaniu.

Tasha otarła łzy.

W ciągu kilku miesięcy nieobecności dziewczynka zaczęła dojrzewać fizycznie. Wyglądała teraz bardziej jak młoda kobieta niż dziecko. Patrząc na nią, Lily widziała kopię samej siebie z dziewczęcych lat, ale z jedną różnicą - jej córka miała oczy po Jeffie, bladobłękitne i nieustannie błędzące, jakby cierpiała na krótkowzroczność.

Resztę wieczoru spędzili przed kominkiem, rozparci na kanapie. Lily dorzuciła polan i ogień zabuzował tak mocno, że zarumienił im twarze. Opowiedziała dzieciom o wszystkim, co robiła od dnia, w którym Jeff je porwał. Opowiedziała o świętach u Agnes i Neda i o niemal codziennych telefonach od agentów Kelloga i Rylance'a.

O wpół do dziesiątej zaprowadziła Sammy'ego do łóżka. Leżąc już, spojrzał na nią smutnym wzrokiem i powiedział:

- Dobranoc, mamó. Cieszę się, że jestem w domu. Lily uśmiechnęła się i pogłaskała go po głowie.

- Ja też się cieszę. Cały dom się cieszy. Czujesz, jak bardzo jest szczęśliwy? Na pewno tęsknił za tobą.

- Nie mogłem przejechać się Gwazi. Jestem za mały. Trzeba mieć metr czterdzieści pięć.

- Nie przejmuj się tym. W przyszłym tygodniu zabiorę cię na skutery śnieżne. Na skuter nie jesteś za mały.

- Super!

Pocałowała Sammy'ego. Pachniał jak świeże kruche ciastko. Objął Lily za szyję i uścisnął mocno.

- Mamo?

- Tak?

- Ten... nikt, który zabił tatę... on tu nie przyjdzie, prawda?

- Oczywiście, że nie. Tu jesteś bezpieczny. Uchyliła drzwi do pokoju Sammy'ego i zostawiła światło na podeście w korytarzu.

- Jeżeli przyśni ci się coś złego albo przestraszysz się czegoś, możesz przyjść do mojego pokoju i mnie obudzić. Nie pogniewam się - powiedziała.

Wróciła do pokoju dziennego na dole. Tasha klęczała przed paleniskiem, wzruszając polana pogrzebaczem. Kominem wylatywał deszcz iskier.

- Czy muszę iść na pogrzeb taty? - zapytała.

- Nie musisz, jeżeli nie chcesz.

- Chciałabym o nim zapomnieć. Chcę zapomnieć o wszystkim, co się wtedy stało.

Lily usiadła na dywaniku przed kominkiem obok Tashy.

- Nie powinnaś o nim zapominać. Był przecież twoim ojcem i kochał cię.

Nie opowiedziała Tashy o ludziach z FLAME i o tym, jak chcieli spalić ją żywcem. Postanowiła nigdy jej o tym nie mówić. Ostatnie wspomnienia związane z Jeffem były dla Tashy wystarczająco traumatyczne. Nie powinna wiedzieć, że chciał zabić jej matkę.

- Nie mam pojęcia, co go zabiło - powiedziała Tasha. - Usiłuję sobie przypomnieć, jak to wyglądało, ale to coś niczego nie przypominało. Nie było człowiekiem ani zwierzęciem. I cały czas syczało.

- Byłaś w szoku. Czasem widzi się wtedy różne dziwne rzeczy.

- To coś miało ramiona jak owad... Tata wszedł do domku i zapytał, czy chcemy popływać, i chyba tego nie widział. Wtedy to coś złapało go za głowę i urwało ją... i był taki okropny odgłos darcia.

Patrzyła na Lily z rozpaczą w oczach. Nie powinna była widzieć, jak Jeff umiera. Było to dla niej zbyt przerażające. Najbardziej jednak niepokoiło ją, iż nie rozumie, co i dlaczego zabiło jej ojca.

Lily objęła córkę i przytuliła ją.

Boże, jestem jej matką i nie mogę jej powiedzieć prawdy - pomyślała.

\*\*\*

Dzieci spały do późna. Piętnaście po dziewiątej, kiedy Lily siedziała w kuchni przy stole, popijając kawę i usiłując skończyć krzyżówkę z kalamburami w „Star Tribune”, usłyszała gwałtowne stukanie w okno.

Wyrzała na zewnątrz, nieco przestraszona - przed domem stał Shooks, w wielkiej futrzanej czapce i lustrzankach. Palcami wskazywał na drzwi. Lily otworzyła je i wpuściła detektywa do domu. Za nim do środka wpadł ostry północno-zachodni wiatr.

- Dzwoniłem, ale bezskutecznie - wyjaśnił. - Ten dzwonek chyba zamarznął.

- Mówili, że będzie dziś minus dwadzieścia - odparła Lily. - Może kubek gorącej kawy?

- Nie piję kawy, robię się po niej nerwowo, ale dziękuję. Zdjął czapkę, jednak okulary zostawił na nosie.

- Chciałam dziś zadzwonić do pana i przekazać dobre wiadomości - oświadczyła Lily.

- I tak już wiem. Niewiele rzeczy umyka Johnowi Shooksowi.

- Więc wie pan też o moim byłym mężu?

- Owszem. - Shooks wytarł nos w rękawiczkę. - Chyba go pani nie żał?

- Tak pan sądzi?

- Po tym, co ten człowiek chciał pani zrobić, to...

- Nie o to chodzi. Nie miałam być sędzią i katem, prawda? Od tego mamy odpowiednie instytucje. Niewątpliwie Jeff był winien, ale był też ojcem moich dzieci.

Shooks milczał, uniósł tylko brwi, które wychynęły znad okularów niczym para gawronów w locie.

- Tak naprawdę to jestem zła. A nawet bardzo zła. Jeff był samolubny, uparty jak osioł i potrafił być okrutny, ale nie zasłużył na taką śmierć.

- Chyba jest już nieco za późno, by się tym przejmować, pani Blake. Co się rozdarło na strzępy, tego się nie pozszywa. Lily podeszła do kuchennej szafki i wyciągnęła z szuflady książeczkę czekową.

- Ile jestem panu winna, panie Shooks?

- Dwieście dwadzieścia pięć odpowiada pani?

- Odpowiada.

Usiadła przy stole i zaczęła wypełniać blankiet. Shooks powiedział:

- Będę potrzebował aktu własności tej ziemi nad jeziorem dla George'a Żelaznego Piechura.

Lily podpisała czek, wydarła go z książeczki i wręczyła Shooksowi.

- Przykro mi, ale George Żelazny Piechur nie dostanie żadnej ziemi. Prosiłam go, by odnalazł moje dzieci, a nie o to, by zabił mojego byłego męża.

- Pani chyba nie mówi poważnie.

- Owszem, mówię jak najbardziej poważnie. Shooks pokręcił głową.

- Z tym może być problem, pani Blake. Widzi pani, według umowy George Żelazny Piechur miał odnaleźć pani dzieci i dołożyć starań, by wróciły całe i zdrowe. W zamian pani miała przekazać mu akt własności ziemi nad jeziorem Mystery. Nie może pani powiedzieć, iż George Żelazny Piechur nie wywiązał się z umowy, i to niezależnie od okoliczności.

- Pani Shooks, gdybym wiedziała, że Wendigo zamieni na podroby dwoje ludzi, nigdy bym się nie zgodziła na taki układ. George Żelazny Piechur wprowadził mnie w błąd, co zresztą powiedziałam mu prosto w twarz.

- Tak, wspominał, że pani go odwiedziła.

- No właśnie. Ale to już koniec. Koniec i kropka. Proszę wziąć pieniądze i mam nadzieję, że nigdy już nie będę musiała korzystać z pańskich usług.

Shooks wziął czek, złożył go na pół i wepchnął do kieszeni płaszcza, lecz nie uczynił ani kroku w kierunku wyjścia.

- Czy życzy pan sobie jeszcze czegoś? - zapytała Lily. Czuli się dziwnie pobudzona tą rozmową, zupełnie jakby przed chwilą rozegrała trudną partię squasha. - Za chwilę zejda na śniadanie Tasha i Sammy. Nie mam ochoty im tłumaczyć, kim pan jest.

- Pani Blake, ja mówię poważnie. Obiecała pani George'owi Żelaznemu Piechurovi tę ziemię, a on nie pozwolił pani wycofać się z umowy.

- I co mi zrobi? Zaciągnie mnie do sądu? Niech tylko spróbuje.

- Pani Blake, George nie musi się z panią procesować. Wystarczy, że ma Hazawin.

- A co ona może mi zrobić?

- Lepiej niech pani zapyta, czego nie może. Ktoś, kto potrafi wezwać Wendigo, potrafi też zmienić resztę pani życia w koszmar.

- Pani Shooks, nie zamierzam oddawać tej ziemi George'owi Żelaznemu Piechurovi - oświadczyła Lily. - Przez niego stałam się współwinna dwóch bestialskich zabójstw, przez niego dwójka dzieci nie ma ojca. Zamordowano go na ich oczach. Urwano mu przy nich głowę. Niech sam pan powie, czy George Żelazny Piechur zasłużył na swoją zapłatę?

- Pani Blake, proszę mnie posłuchać. Mówię poważnie i ostrzegam...

- Doceniam to i dziękuję, pani Shooks. Ale zdania i tak nie zmienię. Jeżeli pań chce, może pan pojechać do George'a Żelaznego Piechura i powiedzieć mu, że z umowy nici. Ja nie zamierzam do niego jeździć. Uważam, że mnie oszukał, a nie muszę dotrzymywać umowy zawartej z kłamcą.

- Mamo! Gdzie jest moja koszulka wikingów?! - krzyknął ze szczytu schodów Sammy.

- Poczekaj chwilę! - odkrzyknęła Lily, po czym odwróciła się do Johna Shooksa. -  
Lepiej będzie, jeśli pan już pójdzie.

Detektyw patrzył na nią przez długą chwilę. Widziała w jego okularach swoje odbicie,  
dwie identyczne kopie samej siebie.

- No dobrze - mruknął w końcu. - Muszę jednak powiedzieć, że wychodzę stąd z  
ciężkim sercem.

- Niech pan się o mnie nie martwi. Doskonale umiem sobie radzić sama.

Shooks włożył czapkę i otworzył drzwi. Do kuchni wpadł wiatr. Gazeta sfrunęła ze  
stołu jak mewa. Albo pelikan.

\*\*\*

Po śniadaniu Lily zawiozła dzieci do Wayzata, by zobaczyły się z Agnes i Nedem.  
Petra i Jamie byli w szkole, ale mały William siedział w domu, więc Tasha i Sammy zabrali  
go na podwórko, by ulepić igloo. Dzieci śmiały się, krzyczały i rzucały w siebie śnieżkami.

- W maju też jeszcze będzie śnieg - oświadczył Ned, patrząc na nie przez okno w  
jadalni.

- Boże, nie - jęknęła Lily.

- Wystarczy spojrzeć na zimowe statystyki. Zieloni ciągle gadają o globalnym  
ociepleniu, ale plotą głupoty. Pewnie chcą wyciągnąć od rządu pieniądze na badania.

- Ned uważa, że nadchodzi kolejna epoka lodowcowa - wtrąciła jego żona.

Usiedli przy stole. Agnes podała kawę i nakrapiane ciasteczka.

- Dzieci mają się dobrze? - zapytał Ned.

- Chyba tak. Przespały całą noc, ale to ze zmęczenia. Martwią mnie jednak następne  
tygodnie.

- Zaprowadzisz je do terapeuty?

- Pewnie będą musiały skorzystać z jego pomocy. Tera mówią o tym wszystkim z  
takim niesamowitym spokojem... Podchodzą do tego tak rzeczowo... Ale widziały, jak umiera  
ich ojciec. To musiało odcisnąć jakieś piętno na ich psychice.

Ned strzepnął okruszki z wąsów.

- A wiadomo może już, kto to zrobił?

- Nie. Tylko Tasha i Sammy to widzieli.

- Wiesz, że nigdy nie przepadałam za Jeffem - powiedziała Agnes. - Zawsze się nad  
sobą rozczulał. Ale nie wyobrażam sobie, dlaczego ktoś chciałby go zabić. I to jeszcze w tak  
okropny sposób. Ktoś, kto go rozerwał na strzępy, musiał go naprawdę strasznie nienawidzić.

- Nikt niczego nie ukradł z tego domku? - zapytał Ned. Lily pokręciła głową.

- Może to miało coś wspólnego z tymi ludźmi z FLAME, z którymi się zadawał? Przecież jednego z nich też rozerwano na kawałki. Może Jeff zagroził, że sygnalizuje ich policji i powie, że to oni spalili te kobiety?

- Nie mam pojęcia - odparła Lily. Ned wziął ciastko i ugryzł je.

- Jest jeszcze tylko jedna osoba, która według mnie mogła mieć powód, by zabić Jeffa.

Ty, Lily.

Lily uśmiechnęła się blado, a Agnes zawołała:

- Ned! To wcale nie było śmieszne. Wcale!

\*\*\*

Kiedy Lily jechała do domu, zaświergotała jej komórka. Dzwonił Bennie.

- Fiona powiedziała mi, że odnalazłaś Tashę i Sammy'ego! To wspaniale!

- Wiesz, nie była to bułka z masłem, ale owszem, są już w domu i nic im nie jest.

- Kto je znalazł? Czyżby naszemu indiańskiemu tropicielowi się poszczęściło?

- To nie takie proste, jak sądzisz. Nie wiem, czy już o tym wiesz, ale Jeff nie żyje.

- Nie żyje? Poważnie? Jak to?

Lily spojrzała na siedzącą obok niej Tashę.

- Wyjaśnię ci to później, teraz prowadzę.

- No to zadzwoń do mnie wieczorem. Mogę wpaść, jeśli chcesz.

- Poczekajmy z tym może kilka dni. Dzieciaki potrzebują nieco czasu, by dojść do siebie.

- Jasne, jak chcesz. Więc to nie sprawka tego twojego indiańskiego tropiciela?

- Mówiłam ci już, że trudno to wytłumaczyć. W każdym razie nie musimy mu oddawać tej ziemi nad jeziorem Mystery.

- Nie? Naprawdę? To nam ułatwi bardzo wiele rzeczy. No dobrze, porozmawiamy o tym wieczorem.

Lily zatrzymała się przy skrzyżowaniu France i Lake. Niebo miało dziwne purpurowe zabarwienie, wyglądało jak ogromny świeży siniak.

- Może zjemy pizzę na kolację? - zapytała Tashę i Sammy'ego.

- Nie, nie, dziękuję. Tata zawsze przynosił nam pizzę do domu - powiedziała Tasha.

- Z anansem - burknął Sammy. - A ja nie cierpię ananasa.

\*\*\*

Piętnaście po pierwszej w nocy Lily zbudził przeraźliwy wrzask. Zaraz potem usłyszała następny. Wskoczyła z łóżka i nim obudziła się do końca, zdążyła przebiec połowę korytarza.



- Sammy! Już dobrze, kochanie, mama idzie do ciebie! Na korytarzu zderzyła się z Tashą, która wybiegła ze swojego pokoju z pobladłą twarzą. Popędziły obie do pokoju Sammy'ego. Chłopczyk stał na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach. Trząsł się cały, pocił i zmoczył się w piżamę.

- Sammy! To ja! Już dobrze, miałeś tylko zły sen! Malec odsłonił twarz i spojrzał na Lily. Wyglądał, jakby miał zaraz oszaleć. Lily objęła go mocno i zaczęła uspokajać.

- Kochanie, miałeś po prostu zły sen. To się nie stało naprawdę.

- To b-b-był n-n-nikt - wymamrotał Sammy, trzęsąc się ze strachu. - Wszedł p-przez drzwi, ale...

- Uspokój się, synku. Wszystko będzie dobrze. Może zmienimy ci piżamkę i położymy nową pościel?

- On wszedł p-przez drzwi i jest tutaj!

- Sammy, nie ma go tu. Przysięgam.

Tasha podeszła do brata i odgarnęła do tyłu jego mokre, potargane włosy.

- Sammy, jego tu nie ma - oświadczyła. - On nie wie, gdzie mieszkamy, i nigdy się tego nie dowie.

Chłopczyk spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma i wrzasnął:

- On tu jest! Wiem to! Przyszedł po nas! On tu jest!! Lily wzięła go w ramiona i posadziła na skraju łóżka. Nie krzyczał już, ale bez przerwy coś mamrotał i jęczał, przewracając oczami.

- Tasha, zadzwoń na pogotowie. On ma atak.

Zanim Tasha zdążyła dojść do drzwi, przewrócił się na bok.

- Sammy! Sammy!! - krzyknęła Lily. - Słyszysz mnie? Sammy!

Odciągnęła jedną powiekę, spod której spojrzało na nią drgające oko. Pochyliła się nad synkiem. Oddychał spokojnie, jego serce biło równo.

Przyłożyła dłoń do' czoła Sammy'ego. Było spocone, ale nie miał gorączki.

- Nie dzwoń po karetkę. Chyba nic mu już nie jest. Po prostu śnił mu się jakiś koszmar. Przynieś mi czystą piżamę z jego szuflady, dobrze? Umyję go, przebiorę i położę u siebie.

- Jesteś pewna, że naprawdę niczego nie widział? - zapytała Tasha.

- Oczywiście, że nie widział. To, co się stało z tatą, miało miejsce na Florydzie, a człowiek, który go zabił, nie będzie was szukał. Poza tym Sammy powiedział, że to nikt... Jak można widzieć „nikogo”?

- Chyba nie można - przyznała Tasha.

Pocałowała matkę w policzek i pomaszerowała do swojego pokoju. Ale gdy Lily obudziła się dwadzieścia po siódmej rano, przy jej boku spał z otwartymi ustami Sammy, a po drugiej stronie łóżka leżała Tasha, tak zakopana pod kołdrą, że widać było tylko kilka kosmyków jej ciemnych włosów.

\*\*\*

Po śniadaniu pojechali we trójkę do centrum handlowego „Mail of America” w Bloomington po nowe kurtki i swetry, które obiecała im kupić jeszcze w październiku, tuż przed ich porwaniem.

Zostawiła Sammy’ego na kolejce górskiej w parku zabaw Camp Snoopy i zabrała Taszę do Bloomington’s. Kupiła jej tam różową spódniczkę ze sztruksu oraz parę srebrnych brzęczących bransoletek.

Później zjedli wszyscy obiad w „Ruby Tuesday’s”. Tasha oświadczyła, że zostaje wegetarianką, i zamówiła zestaw sałatek. Lily nie protestowała. Jednak gdy Sammy zażądał „Najbardziej Kolosalnego Burgera”, powiedziała:

- Chcesz zjeść aż pół kilo wołowiny z dwoma rodzajami sera? Nie ma mowy.

W końcu dał się namówić na filet z kurczaka w cykorii. Dla siebie Lily zamówiła paszteciki z krabów.

W połowie dania, rozglądając się po sali, dostrzegła w drzwiach restauracji George’a Żelaznego Piechura.

Indianin miał na sobie krótki płaszcz z czarnej skóry, a na głowie czarny kapelusz o szerokim rondzie, opleciony rzemieniami. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie ręce i wpatrywał się w Lily z kamienną twarzą. Obok niego przepchnęło się kilka osób, w tym dwie kelnerki, lecz on nawet się nie usunął.

Lily powoli opuściła widelec z kawałkiem pasztecika, który właśnie podnosiła do ust. Tasha popatrzyła na nią i zmarszczyła brwi.

- Mamo? Co się stało?

Lily nie wiedziała, co powinna zrobić. Podejść do George’a czy po prostu go zignorować?

- Mamo? Czy coś się stało?

- Co, kochanie?

- Wcale mnie nie słuchałaś. Właśnie opowiadałam ci o tym, jak byliśmy na Key West.

- Oczywiście, że słuchałam, kochanie. Popłynęliście statkiem i widzieliście delfiny.

Odłożyła widelec i spojrzała wyzywająco na George’a Żelaznego Piechura.

Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, podejdź do mnie.

Indianin stał nieruchomo w drzwiach jeszcze przez dziesięć sekund, po czym odwrócił się i wyszedł z restauracji. Lily zdawało się, że gdzieś w tłumie mignęła Hazawin w swoim długim do ziemi, zdobionym haftami i koralikami płaszczu z owczej skóry, ale nie była tego pewna. Centrum handlowe było dziś bardzo zatłoczone.

- Mamusiu, nic ci nie jest? - zapytał Sammy. - Nie smakują ci paszteciki z krabów?

- Smakują, kotku. Są pyszne. Po prostu przypomniało mi się coś, co zapomniałam zrobić. No, wcinaj. Ten kurczak też wygląda smakowicie.

\*\*\*

Po lunchu wstąpili do Searsa po nowe serwety kuchenne, a kiedy zrobiło się ciemno i bardzo zimno, pojechali do domu. W drodze Sammy zasnął na tylnym siedzeniu. Lily sięgnęła do tyłu i potrząsnęła nim.

- Ej, śpiąca królowo! Pobudka!

Gdy wysiadali z samochodu, Tasha zapytała:- Co tu tak śmierdzi?

Lily pociągnęła nosem i spojrzała w górę. Z komina unosił się gryzący, brązowy dym i opadał, wirując wokół budynku. Śmierdziało palonymi włosami.

O Boże, mam nadzieję, że to nie iskra z kominka skoczyła na kanapę! - pomyślała Lily.

- Zaczekajcie na mnie - powiedziała do Tashy i Sammy'ego. - Pójdę sprawdzić.

Przepchnęła się przez zaśnieżony żywopłot z ligustru pod oknem pokoju dziennego i zajrzała do środka. Na stole paliły się dwie lampy, podłączone do wyłącznika czasowego. Wszędzie było pełno dymu. Nie widziała jednak ognia, ekran kominkowy stał na swoim miejscu. Pomyślała, że może do komina znowu wpadła wrona. Kiedyś, kilka dni po wprowadzeniu się do domu, już się coś takiego zdarzyło. Usunięcie ptaka kosztowało wtedy prawie czterysta dolarów.

Ostrożnie otworzyła drzwi wejściowe. Nie chciała dopuścić do powstania przeciągu, by nie podsycać ognia, gdyby w pokoju się paliło. Wsunęła się przez uchylone drzwi i szybko zamknęła je za sobą.

Odór w korytarzu był tak straszny, że zebrało jej się na wymioty. Był gorszy od zapachu palonych włosów, przypominał raczej smród zwęglonego mięsa. Rozkaszała się i zakryła nos i usta chusteczką. Łzawiły jej oczy. Wbiła kod alarmu na konsoli przy drzwiach, po czym pobiegła korytarzem do pokoju dziennego.

Rozejrzała się wokół. Nic się nie paliło, żaden mebel ani dywanik przed kominkiem, ani zasłony. Ale z samego kominka do wnętrza pokoju wlewał się dym - zobaczyła, że w

palenisku jest o wiele więcej polan niż wtedy, gdy wychodziła z domu. Przed wyjściem zostawiała zawsze jak najmniej drewna, akurat tyle, by ogień nie zagasł do jej powrotu.

Odsunęła ekran kominkowy. Polana były zwęglone tylko od dołu, zupełnie jakby ktoś włożył je do ognia nie więcej niż pół godziny temu. Na drewnie leżało coś czarnego, jarzącego się małymi iskierkami, z przewodu kominowego zwisały festony węzowatych splotów - szarobrazowych i błyszczących od wilgoci.

Lily zmarszczyła brwi i trąciła to coś na polanach pogrzebaczem. Jedno z leżących na kupce polan osunęło się, a wraz z nim dziwna czarna bryła.

Z przerażeniem zobaczyła, że z bezkształtnej masy spoziera na nią bursztynowe oko.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi do domu, a w chwilę potem głos Tashy:

- Mamo! Mamusiu! Co się dzieje? Na dworze jest zimno!

## ROZDZIAŁ 12

- Jak przyjęły to dzieci? - zapytał agent Kellog.

- A jak pan myśli? Dorastały razem z tym psem. Uwielbiały go.

- Wyjaśniła im to pani jakoś?

- W jaki sposób? Ledwo udało mi się im wmówić, że to był wypadek.

Do kuchni weszła policjantka, ściągając lateksowe rękawiczki. Miała ponad trzydzieści lat, kręcone czarne włosy i wylupiaсте oczy. Ubrana była w ciemnobrazową budrysówkę i gruby sweter koloru musztardy, w którym wyglądała, jakby nie miała szyi.

- W życiu nie widziałam czegoś równie obrzydliwego - oznajmiła.

- Technicy już skończyli? - zapytał ją Kellog.

- No... - Kobieta z wahaniem spojrzała na Lily.

- Może powinna pani zobaczyć, co u dzieci - zasugerował Kellog.

- Nic mi nie będzie. Wszystko w porządku. - Lily usiłowała się uśmiechnąć, choć nic nie było w porządku. Czowała się rozbita psychicznie, jak lustro, które ktoś podeptał, i wciąż wewnętrznie dygotała. Nie miała jednak dość siły, by pójść na górę, do dzieci. Tasha niemal wpadła w histerię, a Sammy milczał i wydawało się, że zupełnie zapomniał, jak się mruga. Była teraz z nimi Agnes, próbując ich pocieszyć.

- No dobrze... - powiedziała policjantka. - Wyciągnęliśmy szczątki psa z komina. Biedaczek. Ale brakuje nam jednej łapy i części klatki piersiowej.

Lily zasłoniła usta dłonią. Miała nadzieję, że Sierżant nie cierpiał za bardzo.

- Wiadomo, jak go zabito? - zapytał Kellog.

- Jeszcze nie. Sprawca najwyraźniej nie wpełchnął psa do komina, bo potrzebowałby do tego czegoś w rodzaju szczotki kominiarskiej, no i na dywaniku przed kominkiem nie ma ani śladu sadzy.

- Może ten ktoś chciał wyciągnąć psa przez komin?

- Na linie? Cóż, to brzmi sensowniej, ale na dachu leży prawie dziesięć centymetrów śniegu i nie wygląda na to, by ktoś tam wchodził. Nie ma odcisków butów ani śladów po drabinie.

- Co zatem mamy?

- Szczerze mówiąc, niewiele. Nie mamy podejrzanego ani logicznego motywu, ani żadnych sensownych dowodów rzeczowych. Jeden z naszych ludzi powiedział, że mogła to być wielka małpa, taka jak w *Morderstwie na Rue Morgue*. No wiecie, to takie opowiadanie Edgara Allana Poe, w którym do komina wpełchnięto ciało dziewczyny.

- Ale jak oni tu wleźli? Nie ma śladów włamania. Wszystkie drzwi i okna mają alarm i były zamknięte.

- Agencje Kellog, każdy taki alarm ma kod. Sprawca mógł mieć jakieś powiązania z firmą ochroniarską albo był to ktoś, kto ostatnio odwiedzał ten dom, sprzątac, dekorator wnętrz... Może pani sobie coś kojarzy?

- Nie - szepnęła Lily.

- Cóż, proszę się jeszcze zastanowić, może się pani przypomni. A poza tym, czy mają państwo gdzie się zatrzymać na noc? W razie potrzeby możemy dla pani i dzieci wynająć pokój w motelu.

- Proszę się tym nie kłopotać - odparła Lily. - Przenocujemy u mojej siostry w Wayzata.

- W porządku. Przydzielimy wam policjantów do ochrony. Chcę, żebyście mieli całodobową ochronę, dopóki nie dowiemy się, dlaczego jakiś świr zabił pani psa i jak tego dokonał.

Chciałabym, żebyście potrafili nas ochronić... - pomyślała Lily. Niestety Wendigo można powstrzymać tylko w jeden sposób: dając George'owi Żelaznemu Piechurowi to, czego chce.

\*\*\*

Dotarła z dziećmi do Agnes o wpół do jedenastej wieczorem. Tasha i Sammy uspokoili się już. Sammy'emu kleiły się oczy, więc Lily od razu zaniosiła go do pokoju dzieciennego na piętrze i położyła do łóżka. Gdy zeszła na dół, Tasha siedziała przy kominku z kubkiem gorącego mleka. Rudy, cocker-spaniel Agnes, leżał obok niej.

- Mamo, czy wszystko będzie dobrze? - zapytała Tasha. - Nic złego się nam nie stanie?

- Nie, kochanie. Obiecuję.

Od momentu przyjazdu do domu Agnes Lily trzy razy próbowała dodzwonić się do Benniego i dwa razy do Shooksa. Ani jeden, ani drugi nie odbierał. Gdy szła do kuchni, by porozmawiać z Agnes, jej komórka zaćwierkała. Dzwonił Shooks.

- Pani Blake?

Lily wyszła na korytarz, by Agnes niczego nie słyszała.

- Panie Shooks, czy pan wie, co się stało dziś wieczorem?

- Wiem, że George Żelazny Piechur jest bardzo niezadowolony z pani poczynań.

- Wysłał to coś, żeby zabiło mojego psa.

- Chyba tak, proszę pani. Ale przecież panią ostrzegąłem.

- Niech pan przekazuje George'owi Żelaznemu Piechurowi, że nigdy mu tego nie wybaczę. Dobrze, dostanie tę swoją ziemię. Kiedy zdobędę akt własności, zadzwonię do pana i umówimy się na spotkanie.

Shooks odchrząknął.

- Postępuje pani słusznie. Nie chciałbym, aby miała pani więcej kłopotów.

- Niech pan mi nie grozi, panie Shooks.

- Ależ nie grożę. Gdyby do czegoś doszło, jestem po pani stronie. Niech pani pamięta, że Indianinem jestem tylko w jednej ósmej, a reszta to blada twarz.

Lily rozłączyła się i spróbowała dodzwonić się do Benniego.

\*\*\*

Kilka minut przed północą, gdy już zamierzała się poddać, Bennie w końcu odebrał.

- O, cześć, Lii! Odśluchałem pocztę, ale biegałem w te i wewte i musiałem być w mnóstwie miejsc. Coś się stało?

- Nie mogę ci powiedzieć, o co chodzi, przynajmniej nie w tej chwili. Sprawa jest pilna. Potrzebuję aktu własności tej ziemi nad jeziorem Mystery, i to na jutro rano.

- Aha... - mruknął Bennie.

- Jeśli chcesz, mogę przyjechać do biura.

Bennie nie odpowiedział. Gdzieś w tle Lily słyszała gwar, śmiechy i fortepian. Jej szef najwyraźniej był w jakimś lokalu.

- Bennie? Słyszałeś, co powiedziałam?

- Jasne, Lii, ale sądziłem, że już nie potrzebujesz tej ziemi.

- Sytuacja się zmieniła. Ten tropiciel chce mieć tę nieruchomość i nie da mi spokoju, jeśli jej nie dostanie.

- Lii, przepraszam cię, ale to niemożliwe.

- Chwileczkę... Powiedziałeś mi przecież, że wszystko załatwiłeś i Kraussman z chęcią przekaże Indianom tę ziemię.

- To nie takie proste.

- Jak to? Myślałam, że chce pokazać ludziom, jaki to z niego dobroczyńca.

- Jasne, o to chodziło, ale były z tym kłopoty. W tle jakaś kobieta wrzasnęła:

- Bennie, Bennie! Chodź tu i pokaż, jak udajesz Komisarza Psa!

- Jakie kłopoty? - zapytała Lily.

- Szczerze mówiąc... Lii, kiedy powiedziałaś mi, że wynajęłaś indiańskiego tropiciela...

- Co ty chcesz mi powiedzieć? Że mi nie uwierzyłeś?

- Oczywiście, że ci uwierzyłem. Nie wierzyłem jednak, że ten cały tropiciel potrafi odnaleźć Jeffa.

- Ale on go odnalazł, Bennie! Teraz chce, żebym mu dała to, co obiecałam. Musi dostać tę ziemię, bo w przeciwnym razie... Nie wiem, co robi. Bennie, on zabił mojego psa! Zabił Sierżanta! Rozszarpał go na kawałki i spalił!

- Co? Co zrobił? Lii, musisz zadzwonić z tym na policję! Trzeba go aresztować!

- Już to zrobiłam, ale oni go nigdy nie znajdą. Bennie, posłuchaj mnie, muszę mieć akt własności tej ziemi, i to jak najszybciej. Boję się, że następnym razem przyjdzie po dzieci.

- Lii, idź z tym na policję. Znajdą tego sukinsyna. W końcu ilu jest indiańskich tropicieli w Twin Cities?

- Słuchaj, ja muszę mieć ten akt własności. Tylko w ten sposób będę miała spokój.

- Bennie! - rozdarła się kobieta w tle. - Bennie, chodź tu wreszcie!

- Przepraszam cię bardzo, Lii - powiedział Bennie. - Wiesz przecież, ile dla mnie znaczysz. Bardzo, bardzo cię lubię. Po prostu chciałem ci zaimponować... w końcu jak taki facet jak ja może zbliżyć się do takiej kobiety jak ty? Jesteś taka piękna... Zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Lily odwróciła się. W drzwiach kuchni stała Agnes z pytającą miną. Podeszła nieco bliżej, czekając, aż Lily skończy rozmawiać.

- Bennie, powiedz mi prawdę: nie masz tego aktu własności, co?

- No... nie do końca.

- Czy ty w ogóle rozmawiałeś z Kraussmanem na ten temat? Zapytałeś go chociaż?

- Niezupełnie. Wiesz, jaki jest Kraussman. Za darmo nie oddałby nawet butelki skisłego mleka zagłodzonemu niemowlęciu.

Lily odebrało mowę ze złości. Zaczęła głęboko oddychać, żeby się uspokoić.

- Lii? Jesteś tam, Lii? - dopytywał się Bennie.

- Posłuchaj... Jeżeli cokolwiek stanie się Sammy'emu, Tashy albo mnie, będzie to twoja wina.

- Lii, przecież mogę iść z tym do Kraussmana jutro z rana! Na pewno uda mi się to przepchnąć.

- Naprawdę? Jezu Chryste, jak mogłam być tak głupia?

- Lii, proszę...

- O, nie. Teraz jest już za późno.

Rozłączyła się. Podeszła do niej Agnes i wzięła ją za rękę.

- Lily, co się stało?

- Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że wiem, kto i dlaczego zabił Sierżanta.

- Wiesz kto to był? O Boże, musisz o tym powiedzieć policji!

- Nie mogę im tego powiedzieć. Nie uwierzą mi.

- Lily, przecież to wariactwo!

- Wiem. Wplątałam się w coś, o czym nawet nie powinnam myśleć.

- Lily, proszę cię, powiedz mi, o co chodzi!

- Obiecuję, że ci powiem, Agnes. Ale najpierw muszę zabrać stąd Tashę i Sammy'ego.

Zrobię to jutro z samego rana, jak najwcześniej.

- I gdzie pojedziecie?

- Gdziekolwiek. Gdzieś, gdzie ten ktoś nas nie znajdzie. Na przykład do Europy.

- Do Europy? Lily, co ty kombinujesz?

- Agnes, przed tą... osobą nie da się uciec. Potrafi znaleźć cię wszędzie. I proszę, nie pytaj mnie już o nic więcej.

- To jakiś obłąd! Mówisz od rzeczy z nerwów, przeżyłaś silny wstrząs!

- Owszem, masz rację. Ale wiem, że musimy wyjechać jak najdalej stąd. Słuchaj, mogę skorzystać z twojego komputera? Muszę zarezerwować bilety na samolot.

\*\*\*

Budzik zadzwonił o siódmej rano. Lily otworzyła oczy i nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, ale po chwili zobaczyła stojące przy budziku znajome zdjęcie jej i Agnes z czasów liceum.



Włączyła nocną lampkę. Agnes na zdjęciu przebrana była za franciszkanina Louisa Hennepina, który jako pierwszy Europejczyk postawił nogę w Minneapolis. Lily miała na sobie poncho z koca i opaskę wyszywaną koralikami, grała rolę przewodnika ojca Hennepina, Indianina z plemienia Dakota.

Obie śmiały się radośnie, choć Lily nie mogła sobie przypomnieć, z jakiego powodu. W tle stał wielki dąb, na który często się wspinały, by siedząc okrakiem na gałęzi, czytać komiksy.

Przyjrzała się dokładniej fotografii. Dopiero teraz zauważyła, że przy dębie stoi jakaś postać, częściowo skryta w cieniu. Wyglądała jak wysoki, chudy człowiek z wydłużoną twarzą, przypominającą pysk psa lub jelenia.

Znów popuszczasz wodze wyobraźni, skarciła siebie Lily. Kiedy przyjrzała się uważniej, dziwna postać okazała się złudzeniem utworzonym przez cienie drugiego drzewa i kawałka płotu.

Lily wstała z łóżka i włożyła kwiecisty szlafrok, który wisiał na drzwiach łazienki. W kuchni na dole Tasha z Sammym jedli płatki, a William, synek Agnes, robił straszliwy bałagan, w którym główną rolę grał przecier z moreli.

- Cześć, Lily - przywitała ją Agnes. - Dobrze spałaś?

- Jak kamień. A wy, dzieci?

- Mi się śnił Sierżant - oznajmił Sammy. - Ale to był dobry sen. Biegał i aportował.

- Kawy? - spytała Agnes. - Może zrobić ci jajecznicę?

- Nie, dziękuję. Wolę jakieś grzanki.

- Ned musiał pojechać do biura, ale wróci przed dziewiątą... chyba że zmieniłaś zdanie.

- O co chodzi, mamusiu? - zapytała Tasha.

Lily usiadła przy stole, a Agnes podała jej kubek czarnej kawy.

- Doszłam do wniosku, że powinniśmy pojechać na wakacje - odparła Lily. - Po tych wszystkich okropnościach należy się nam odpoczynek.

- Aleja muszę iść do szkoły - zaprotestowała Tasha. - Chciałabym znów zobaczyć moją klasę.

- Ja nie chcę do szkoły - wtrącił Sammy. - Nie chcę już nigdy chodzić do' szkoły.

Lily wzięła Tashę za rękę.

- Tasha, obiecuję, że wrócisz do szkoły. Po prostu musimy wyjechać na jakiś czas. Nie mogę wam jeszcze powiedzieć, co się stało tacie ani Sierżantowi, ale to, co się im stało, ma ze

sobą pewien związek. Ktoś chce nam coś zrobić i musimy postarać się, by nie wiedział, gdzie nas znaleźć.

- Ktoś chce nas skrzywdzić? Ale kto?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Dlaczego ktoś chce nas skrzywdzić? - zapytał Sammy. - Przecież nic złego nie zrobiliśmy!

- Pamiętacie wierszyk o Szczurołapie z Hamelin? O tym, jak pozbył się szczurów, a potem ludzie z Hamelin nie chcieli mu zapłacić?

- Nie rozumiem, co to ma z nami wspólnego - oświadczyła Tasha.

- Tu chodzi mniej więcej o to samo. Powiedziałam komuś, że mu zapłacę za coś, co ta osoba dla mnie zrobiła, ale nie mogę zapłacić. I dlatego ten ktoś chce nas skrzywdzić.

- Czy nie możesz pożyczyć tych pieniędzy?

- Ten ktoś nie chce pieniędzy - odparła Lily. - Kochanie, proszę, nie pytaj mnie o nic więcej w tej chwili. Spróbuję się jakoś z nim rozliczyć, ale potrzebuję nieco czasu, by wymyślić, jak to zrobić.

\*\*\*

Samolot linii American Airlines miał według rozkładu wystartować z Minneapolis tego samego dnia o 12.35. Leciał do Paryża przez Chicago.

- Mamo, a co będzie z naszymi ubraniami? - zapytała Tasha. - Mamy rzeczy tylko na jeden dzień.

- Kiedy będziemy w Paryżu, kupię wam więcej ubrań. Dzinsy, swetry, wszystko, czego będziecie potrzebowali.

Tasha rozpromieniła się.

- Naprawdę?

- Gdzie jest Paryż? - chciał wiedzieć Sammy.

- Głupolu, przecież to stolica Francji - powiedziała Tasha.

- A gdzie leży Francja?

- To taki kraj, gdzie ludzie zawsze mówią po francusku oraz jedzą bardzo długie bułki i ślimaki.

- Błeee! Ślimaki są gorsze niż ananas! Ja nie chcę tam jechać!

Wrócił Ned. Wszedł do domu w pikowanej wiatrówce, zacierając ręce.

- Idzie burza śnieżna. Im szybciej dojedziemy na lotnisko, tym lepiej. Wpadniemy po drodze do was, żeby zabrać paszporty.

Wyszli na dwór. Agnes i Ned pomagali dzieciom wsiąść do ich explorera, a Lily przeszła przez ulicę i podeszła do radiowozu, w którym siedzieli dwaj policjanci. Pili kawę, silnik wozu był włączony. Jeden z nich opuścił szybę i zapytał Lily:

- Wszystko w porządku, proszę pani? Wybiera się pani gdzieś?

- Jedziemy na zakupy do Calhoun Square. Możecie panowie zrobić sobie przerwę, będziemy z powrotem około szesnastej.

- Chyba powinniśmy z panią jechać.

- Nie ma takiej potrzeby. Będziemy tylko chodzić po sklepach.

- Lepiej to zgłoszę. - Policjant połączył się z komisariatem, po czym oznajmił: - Dobra, możecie jechać. Jeżeli będzie pani miała jakieś kłopoty albo zobaczy coś podejrzanego, proszę natychmiast do nas zadzwonić. Będziemy czekać o czwartej pod domem.

Lily wróciła na podjazd i usiadła na tylnym siedzeniu explorera.

- Mam nadzieję, że policja nie będzie się was czepiać, gdy wrócicie bez nas - powiedziała do Agnes i Neda.

- Jeżeli powiemy im, że poleciałaś do Francji, to raczej nie. Oszczędzisz im całonocnego czuwania w samochodzie i odmrażania sobie tyłka.

Najpierw pojechali po dokumenty. Lily zdarła żółtą taśmę policyjną z drzwi i weszła do środka. Przeszła szybko do pokoju dziennego i wzięła z komody paszporty. W domu było ciemno i zimno, a w powietrzu wciąż unosił się zapach spalonej psiej sierści. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będą mogli tu jeszcze mieszkać.

Kiedy jechali drogą 1-35W na południe, słońce skryło się za ciemnym zwałem chmur zwiastujących śnieg. Dzień robił się coraz bardziej ponury.

- Zadzwonisz do nas, gdy będziesz w Chicago? - zapytała Agnes.

- No pewnie. I z Paryża też.

- Nie mogę uwierzyć, że lecimy do Francji - powiedziała Tasha. - Czuję się jak we śnie.

- Nie będę jadł ślimaków - oświadczył Sammy. Mały William, który siedział między nim i Tashą, powtórzył:

- Smaków! Smaków!

Gdy dojeżdżali do skrzyżowania z drogą 1-62, zaczęło wściekle padać, więc Ned musiał włączyć wycieraczki.

- A nie mówiłem? - mruknął. - Mam nadzieję, że nie opóźnią przez to lotu.

Śnieg zaczął sypać jeszcze gęściej. Lily słyszała, jak pod samochodem wyje wiatr.

- Uuuuuuu! - zabuczał William. Lily roześmiała się. W tej samej chwili Ned krzyknął:  
- Jeeezu!

Jednocześnie z całej siły wcisnął hamulec. Terenówka zaczęła zjeżdżać w lewo, a Lily zobaczyła, że jakieś dwadzieścia metrów od nich na środku szosy coś stoi. Przypominało to człowieka, lecz było o wiele wyższe. Dziwna postać podskakiwała i trzęsła się jak obraz na starym czarao-białym filmie. Lily dostrzegła otwarte usta, niewidzące czarne oczy i ramiona, które wyglądały, jakby miały stawy w niewłaściwych miejscach, a potem postać odwróciła się i zniknęła.

Zablokowane koła explorera ślizgały się po ośnieżonej drodze. Ned próbował odzyskać panowanie nad pojazdem, a Tasha krzyczała. Agnes odwróciła się i macając ręką, sprawdzała, czy William jest dobrze zapięty. Zanim Ned zdołał zatrzymać wóz, wykonali niemal pełny obrót. W tym momencie minęła ich o włos ogromna ciężarówka, oślepiając wszystkich światłami i rycząc ogłuszająco klaksonem.

- Widzieliście? - wysapał Ned. - Widzieliście tego gościa? Stał sobie na środku drogi, cholera, jakby chciał, żebym go przejechał!

Lily pociągnęła go za rękaw kurtki.

- Jedźmy stąd.

Ned rozejrzał się nerwowo.

- Przejechałem go? Nie czułem, żebym go rozjechał, a wy? Chyba go nie potrafiłem. Gdzie on się podział, do cholery? Stał przecież na środku tej pieprzonej szosy!

- Ned, jedziemy! Tam nikogo nie było! To tylko złudzenie!

- A jeśli go potrafiłem? Nie mogę go zostawić na szosie! Za nimi zatrzymał się jakiś samochód, błysnął długimi światłami i zatrał. Za nim stanął następny, za nim jeszcze jeden, aż w końcu utworzyła się kolejka.

- Ned, proszę cię, ruszajmy - nalegała Lily. - Nie można tak stać na szosie, to niebezpieczne. Mówię ci, że tam nikogo nie było. To tylko nasze reflektory odbijały się od śniegu.

Ned włączył światła awaryjne.

- Muszę wyjść i rozejrzeć się.

- Lily ma rację - wtrąciła Agnes. - Nie zauważyłam, żebyśmy w coś wjechali.

- Widziałem faceta na drodze, kochanie. Nie mów mi, że go nie widziałaś.

- Kurwa mać! - krzyknęła Lily. - Jedźmy stąd wreszcie!

Ned odwrócił się do niej, mrugając oczami z zaskoczenia.

- Tu są małe dzieci. Nie używaj takich słów. Lily już chciała krzyknąć na niego ponownie, lecz w tym momencie rozległ się ogłuszający, przenikliwy dźwięk, przypominający syk gwałtownie uciekającej pary. Explorer zatrząsł się, jakby nagle z dużą prędkością wjechali na białe, a potem zaczęło nim dziko rzucać na boki. Agnes, Tasha i Sammy wrzasnęły ze strachu.

- O jaaaa... - jęknął Ned.

- Niech to przestanie! - krzyknęła Tasha. - Niech to przestanie!.

- Co się dzieje? - zapytała Agnes.

Ned szarpał się z dźwignią zmiany biegów.

- Nie wiem, nie wiem! Nie mogę...

Jego słowa zginęły w syku, który wciąż przybierał na sile i Lily nie mogła już usłyszeć własnych myśli.

- Ned! - zawołała, ale szwagier nie słyszał jej. - Ned!!!

Spod drzwi samochodu zaczęło sączyć się do środka światło, krzyżując się i mieniać. Strumienie światła kreśliły dziwne kształty na tapicerce. Wciąż bardzo trzęsło, lecz Lily zdołała dostrzec, że po podłodze samochodu i tyłach przednich siedzeń przesuwają się wydłużone twarze ze światła. Po chwili do twarzy dołączyły rozłożone ramiona i coś, co wyglądało jak gałęzie albo poroże. Lily chciała pochylić się naprzód i krzyknąć na Neda, jednak coś odepchnęło ją do tyłu z taką siłą, że aż strzeliło jej w karku.

- Ned! Drzwi! Otwórz drzwi!!!

Ale on nadal jej nie słyszał. Musiała oburącz złapać się uchwytu, by przestało nią rzucać na boki. Myślała tylko o jednym.

Błagam, nie krzywdź moich dzieci. Nie krzywdź mojej rodziny.

- Przestań! - wrzasnęła. - Wendigo, przestań! Nawet jeśli zjawa ją usłyszała, nie okazała tego w żaden sposób.

- Przestań! Zostanę! Zrobię wszystko, czego chce George!

Prostokątna plama światła przemknęła po kłapie schowka w desce rozdzielczej, uniosła się przed Agnes i zamieniła w psią głowę. Zjawa wypuściła z siebie dwa ramiona, a jej głowa pochyliła się nad Agnes. Po chwili przybrała ludzką twarz, która wpatrywała się w siostrę Lily z przerażającą beznamiętnością.

- Przestań! Zdobędę tę ziemię dla George'a! Przysięgam! Agnes skuliła się na siedzeniu, unosząc ręce w obronnym geście. Nożycowate ramiona chwyciły ją za gardło i wyprostowały się.

Ned coś krzyknął, ale Lily nie słyszała go. Złapała jedno z ramion i usiłowała oderwać je od szyi siostry. W tej samej chwili zjawa rzuciła się na przednią szybę, która eksplodowała deszczem błyszczących odłamków. Agnes wyrwało z fotela i wystrzeliła prosto w zamieć, ale jej dolna połowa została w fotelu. Nogi z biodrami trzymał pas, a tors, głowa i ręce poszybowały w powietrze, ciągnąc za sobą zakrwawione wnętrzności.

Explorer przestał podskakiwać, syk ucichł. Słyszać było jedynie płacz Williama i niecierpliwy ryk klaksonów z tyłu. Ned spojrzał na Lily. Jego twarz była szara z przerażenia.

- Zabierz nas stąd! - błagała Lily.

- Agnes... - wymamrotał Ned. - O Boże. Agnes!

- Chryste! Gaz do dechy, spieprzajmy stąd! Ned zaczął odpinać pas.

- Ona tam jest! Nie mogę jej zostawić!

- Agnes nie żyje! Musisz jechać!

Ned otworzył drzwi i w tym momencie coś z donośnym łupnięciem wylądowało na masce explorera. Tasha wrzasnęła.

Lily ujrzała na masce przypominającego wielkiego pajaka stwora, który składał się wyłącznie ze świateł, cieni i miraży. Miał wielki łeb o wydłużonej ludzkiej twarzy. Po chwili ta twarz zaczęła pękać, odsłaniając wewnątrz mniejszy łeb o psim pysku, łysym i oślizgłym. Ned chciał wydostać się z fotela, lecz stwór wyrzucił ramiona przez strzaskaną szybę i złapał go za barki. Wyciągnął go z samochodu tak gwałtownie, że jedna z jego nóg zaczepiła o kierownicę. Rozległ się trzask, podobny do wyłamywania indyjskiego udka, i stopa oderwała się od nogi.

Ned przejechał po masce, uderzając w nią kończynami, po czym wyniosło go w powietrze. Lily słyszała jeszcze jego krzyki, a potem rozległ się ogłuszający syk i Ned zniknął w zamieci tak jak Agnes.

Wszystko to stało się tak szybko, że Lily zamarła z otwartymi ustami i wyciągniętą ręką, którą chciała chwycić Neda.

Odwróciła się do dzieci. Tasha i Sammy wpatrywali się w nią z niedowierzaniem. William nadal płakał, od szlochów poczerwieniały mu policzki. Na jego twarzyczce również malowało się zdumienie.

- Musimy uciekać - powiedziała Lily.

- Co to było? - zapytała Tasha drżącym ze strachu głosem. - Mamusiu, co to było?

Lily odpięła pas, sięgnęła przez fotel kierowcy i odblokowała zamki.

- Jazda, ruszamy! Gdy tylko wysiądziecie, zaczniecie biec!

Tasha i Sammy otworzyli drzwi explorera i niemal wypadli na asfalt. Za terenówką utworzyła się już długa kolejka samochodów, które trąbiły głośno, lecz nikt nie wysiadł, żeby zobaczyć, co się dzieje w explorerze.

Lily nie mogła wyciągnąć Williama z fotelika. Miał na sobie gruby sztruksowy kombinezon, a jego pasy były związane czterema wymyślnymi klamrami.

Odwróciła się i poszukała wzrokiem dzieci. Tasha i Sammy odbiegli już kawałek od samochodu, lecz teraz stali i czekali na nią.

Otworzyła drzwi po swojej stronie i krzyknęła:

- Uciekajcie! Ale uważajcie na samochody!

Sprzączki trzymały mocno. Lily ze złością zaczęła szarpać pasy.

- No dalej, ty pieprzony foteliku! William rozplakał się jeszcze głośniej.

Lily wciąż walczyła z pasami od fotelika, gdy nagle coś walnęło w dach, aż cały wóz zadrżał.

- Nie! - krzyknęła. - Oddam mu tę ziemię, przysięgam!

Dach wygiął się, po czym coś zaczęło go wgniatać do środka. I nie tylko dach - coś miażdżyło cały samochód przy akompaniamencie jęku giętej blachy i metalicznych uderzeń. Po chwili dach opadł tak nisko, że Lily musiała zsunąć się z siedzenia i klęknąć na podłodze. Złapała fotelik Williama i próbowała wyciągnąć go, lecz nawet nie drgnął. Z kolejnym jęknięciem dach opadł na zagłówki, po czym zaczęły się pod nim zginać fotele.

Lily skuliła się w miejscu na nogi. Nadal nie mogła wyciągnąć fotelika. Dach napierał na jego szczyt, pochylając go do przodu. William płakał już tak histerycznie, że nie mógł oddychać.

Lily uświadomiła sobie, że nie uratuje dziecka. Wiedziała, że ma tylko kilka sekund, by wyczołgać się z samochodu, zanim drzwi zostaną zablokowane.

Nagle usłyszała czyjeś wołanie:

- Musi pani uciekać!

Lily udało się odwrócić w stronę drzwi i wtedy dwie dłonie w rękawiczkach z jeleniej skóry złapały ją mocno za nadgarstki.

- Tam jest małe dziecko! - krzyknęła z rozpaczą. - Tam jest dziecko! Musi je pan wydostać!

Nie mogła już nic zrobić. Wyciągnięto ją na śnieg i postawiono na nogi dokładnie w chwili, gdy explorera zupełnie sprasowało, zamieniając go w dziwną rzeźbę z pogiętej blachy. Zgrzyt protestującego metalu był ogłuszający. Kierowcy zaczęli wysiadać ze swoich

samochodów, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wokół explorera gromadziło się coraz więcej ludzi.

Człowiek, który wyciągnął Lily, był wysokim, szczupłym mężczyzną w grubej pikowanej kurtce.

- Ktoś dzwonił pod dziewięćset jedenaście? - zapytał. - W samochodzie jest dziecko. Weźcie lewarki, może uda nam się podnieść dach!

- Cholera, w życiu czegoś takiego nie widziałem - powiedział ktoś z tłumu. - Jak samochód może się sam tak zgnieść?

- Proszę, spróbujcie wyciągnąć Williama ze środka! - błagała Lily. - Nie słyszę jego płaczu. Czy ktoś słyszy płacz? - Oparła się o zgnieciony bok explorera i zawołała: - William! William!!

Odpowiedział jej tylko szum przejeżdżających samochodów i pojedyncze klaksony. Wyprostowała się i rozejrzała. Czuła, że zaraz oszaleje z żalu. Po Wendigo nie było ani śladu. Nigdzie nie dostrzegła mieniących się świateł, nie widziała też żadnych kształtów ani twarzy.

Nie mogła nawet wykrzyknąć mu swojej rozpacz.

Podeszli do niej Tasha i Sammy. Eskortowała ich siwowłosa para w jednakowych zielonych pikowanych kurtkach. Dzieci były przerażone.

- Czy William też nie żyje? - wyszeptła Tasha.

- Nie wiem, nie wiem. Ci ludzie próbują go wyciągnąć ze środka.

- Możemy pani jakoś pomóc? - odezwał się siwy mężczyzna.

- Czy państwo się rozbili? - zapytała siwowłosa kobieta, z niedowierzaniem patrząc na explorera.

- Pani dzieci przybiegły do nas i powiedziały, że zaatakowało was jakieś zwierzę - dodał starszy pan. - Nigdy nie widziałem, żeby jakieś zwierzę tak komuś urządziło samochód. Nawet łosie nie robią takich rzeczy.

- Nie wiem - wymamrotała Lily. Słyszała już dochodzące z oddali zawodzenie syren. - Przepraszam... chyba muszę usiąść na chwilę.

\*\*\*

Gdy siedziała w buicku starszego małżeństwa, podeszli do nich policjantka i policjant z drogówki. Funkcjonariuszka usiadła obok Lily. Miała okulary o pomarańczowych szklach i pachniała miętówkami.

- Jak pani się czuje? - spytała. - Za kilka minut przyjedzie pogotowie i zabierze was do szpitala.



- Nic mi nie jest. Nic nam się nie stało, ucierpieli jedynie mój szwagier, moja siostra i ich dziecko.

- Właśnie o nich chciałam panią zapytać. Mówiła pani, że siostrzeniec był w samochodzie, ale znaleźliśmy tam tylko pusty fotelik.

- Co? Jak to?

-: W samochodzie był fotelik, lecz nie było dziecka.

- Nie rozumiem... Chciałam go wyciągnąć, ale nie mogłam. Pasy się zacięły!

- Jest pani tego pewna?

- Oczywiście! Jak mógł zniknąć?

- Proszę pani, przeszukaliśmy okolicę i nie znaleźliśmy chłopca.

- O Boże - jęknęła Lily. - A co z moją siostrą i szwagrem?

- Znaleźliśmy ich szczątki - powiedział policjant. - Wypadli przez szybę, gdy się rozbiliście. - Zamilkł na chwilę. - Ale nie mamy pojęcia, w co przyłożyliście.

## ROZDZIAŁ 13

Wrócili do domu po południu, kiedy już zmierzchało. Tasha od razu zamknęła się w swoim pokoju, a Sammy wciąż chodził za Lily, od kuchni do pokoju dziennego i z powrotem. Cały czas milczał i ssał kciuk, jakby znów miał trzy latka.

Lily odkryła z ulgą, że technicy policyjni wymietli popiół z kominka w pokoju dziennym. Rozpaliła ogień ze zgniecionych stron „Star Tribune” i suchego świerkowego drewna. Po chwili kominek przebudził się do życia z wesołym trzaskiem.

- Jesteś głodny? - zapytała Sammy’ego.

Chłopiec pokręcił głową, ale Lily poszła do kuchni i otworzyła puszkę z zupą pomidorową.

Wiedziała już, że nie uda im się polecieć do Francji. Nie pozwoli na to ani Wendigo, ani George Żelazny Piechur. Indianinowi bardzo zależało na ziemi nad jeziorem i nie odpuści, dopóki jej nie dostanie.

Zadzwoiła do Shooksa. Nie odebrał, więc zostawiła mu wiadomość:

„Proszę przekazać George’owi Żelaznemu Piechurowi, by odwołał Wendigo. Obiecuję, że zdobędę tę ziemię dla niego, choćby nie wiem co. I proszę przyjechać do mnie jutro około piętnastej”.

Bardzo chciała powiedzieć detektywowi, co czuje po owej napaści na środku szosy, lecz zdołała się opanować. Żal po stracie Agnes, Neda i Williama dusił ją i odczuwała to

niemal fizycznie - jak dłonie zaciskające się na szyi. Jednak silniejsza od żalu była przepełniająca ją straszliwa wściekłość. Nigdy przedtem nie czuła czegoś podobnego. Postanowiła zrobić wszystko, by pokazać George'owi Żelaznemu Piechurowi, że masakra jej rodziny nie ujdzie mu na sucho.

Zadzwoiła do Johna i Matildy, rodziców Neda. Petrę i Jamiego, starsze dzieci Neda i jej siostry, odebrały ze szkoły dwie kobiety z opieki społecznej i zawiozły do dziadków w Shingle Creek.

- Biedne dzieciaki... Wypłakują oczy od samych drzwi - powiedziała Matilda.

Petrze i Jamiemu przekazano tylko, że rodzice zginęli w wypadku samochodowym, a ich mały braciszek zaginął, ale powinny liczyć się z tym, że również nie żyje.

Gdy Lily mieszła zupę, w Wiadomościach pokazano zdjęcie zmiażdżonego explorera. Ponieważ Sammy położył głowę na blacie stołu, udało jej się zmienić kanał, zanim spojrzął na ekran.

Po powrocie do domu zdjęła słuchawkę z widełek telefonu. Wiedziała, że zaczną do niej wydzwaniać dziennikarze i znajomi, chcąc okazać współczucie. Tego wieczoru potrzebowała dla siebie i dzieci jedynie ciepła, samotności i spokoju.

W drzwiach kuchni stanęła Tasha. Policzki miała mokre od łez.

- Kochanie, co się stało?

Kiedy Tasha się odezwała, jej głos, mimo iż drżał, brzmiał oskarżycielsko:

- Mamo, ty dobrze wiesz, co to było. To coś, co zabiło ciocię Agnes i wujka Neda.

Sammy wyjął kciuk z ust i powiedział:- Widziałem go. Miał dwie twarze, najpierw twarz psa, a potem twarz okropnego człowieka.

Lily zgasła ogień pod zupą.

- Tak, wiem, co to było. To coś nie chciało, żebyśmy dojechali do lotniska.

- Czy to był duch? - spytał Sammy.

- Tak jakby. Kiedy tata was zabrał, nie wiedziałam, gdzie jesteście, więc poprosiłam tego ducha, żeby was poszukał.

Opowiedziała im najprościej jak umiała o Johnie Shooksie, George'u Żelaznym Piechurze i Hazawin oraz o tym, jak poprosiła ich, by wezwali Wendigo.

- Nie wierzę ci - oświadczyła Tasha, gdy Lily skończyła. - Nie ma takiego czegoś jak Wendigo. Skąd by się wziął?

- Wendigo istnieje. Sama go widziałas i widziałas też, co potrafi. Nawet nie wiecie, jak mi przykro z powodu tego, co się stało. Bardzo żałuję, że w ogóle usłyszałam o Wendigo.

Gdyby tak się nie stało, być może nigdy nie udałoby mi się was odnaleźć, ale za to tata, ciocia Agnes, wuj Ned i William by żyli.

- Skoro to prawda, dlaczego nie zadzwoniłaś na policję?

- Mogłam tak zrobić, ale jak myślisz, uwierzyliby mi? George Żelazny Piechur powiedziałby, że wszystko sobie zmyśliłam, i nadal nasyłałby na nas Wendigo. Kochanie, mamy tylko jedno wyjście. Muszę oddać mu tę ziemię.

Tasha usiadła obok Sammy'ego.

- To jak zły sen - mruknęła. - Ciągle mam nadzieję, że się w końcu obudzę.

- A ja już nigdy nie będę spał! - powiedział Sammy.

\*\*\*

Obudzili się dobrze po ósmej rano. W nocy znowu padał śnieg i okolica wydawała się dziwnie cicha.

- Pojadę spotkać się z Philipem Kraussmanem - powiedziała Lily, szykując dzieciom lukrowane płatki Lucky Charms z pianką. - Bennie pewnie bał się zapytać go o tę ziemię, ale ja się nie boję.

- Zostawisz nas samych w domu? - zaniepokoiła się Tasha.

- Nie będziecie sami ani przez chwilę, kochanie. Będę z wami, dopóki to się nie skończy.

Tasha i Sammy jeszcze jedli płatki, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Na ganku stali agenci Rylance i Kellog oraz doktor Flaurus. Przytupywali z zimna.

- Znaleźliście Williama? - zapytała Lily.

- Niestety jeszcze nie - odparł agent Rylance. - Policja wysłała w teren ponad setkę funkcjonariuszy, szukają go też ochotnicy. Czy możemy wejść? Poprosiliśmy doktor Flaurus, by też przyjechała do was, na wypadek gdyby trzeba było porozmawiać z dziećmi.

- Wejdźcie. Chcecie może kawy?

- Nie, nie, dziękujemy. Przyszliśmy tylko omówić z panią parę rzeczy. Musimy ustalić, na czym stoimy.

Lily wprowadziła gości do salonu.

- Mam nadzieję, że szybko się uwiniecie. Tasha i Sammy są w bardzo złej formie.

- Rozumiemy - odparł Rylance. - Ale widzi pani, w związku z panią i pani dziećmi doszło do czterech albo pięciu zgonów, nie mówiąc już o śmierci psa. Wszystkich tych zabójstw dokonano w bestialski sposób. Ofiary zostały rozczłonkowane, a fragmenty ich ciał zniknęły. Poza tym do wszystkich morderstw doszło w niewyjaśnionych okolicznościach, w dodatku zupełnie nieprawdopodobnych.

Kellog zdjął z głowy włóczkową czapkę i powiedział:

- Otrzymaliśmy wstępny raport od techników z drogówki. Według nich samochód, którym wczoraj pani jechała, nie wszedł w kolizję ani z żadnym innym pojazdem, ani zwierzęciem, budowlą czy znakiem drogowym. Powiedzieli, że takich zniszczeń można dokonać jedynie za pomocą prasy do samochodów, takiej, jakich używa się na złomowiskach. Problem w tym, że samochód pani szwagra stał na środku drogi I trzydzieści pięć W, a najbliższe złomowisko jest we Frogtown, niedaleko St. Paul.

- Nie mam pojęcia, co się stało - oświadczyła Lily. - Wóz po prostu zmiażdżyło.

- Pozostaje jeszcze sprawa szczątków - dodał Rylance. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego i wyglądał tego dnia wyjątkowo staro. Miał ciemne worki pod oczami. - Nie chciałbym męczyć pani szczegółami tej sprawy, ale muszę przypomnieć, iż pani szwagra i siostrę rozerwano na strzępy w taki sam sposób jak pani byłego męża oraz mężczyznę zabitego w kwaterze FLAME. Znaleźliśmy tylko fragmenty ciał pani szwagra i siostry. Ich szczątki były rozwleczone po drodze i sąsiednich polach. Lewa dłoń pani siostry wisiała na drucie kolczastym ponad trzy kilometry od miejsca wypadku.

Lily powoli usiadła na kanapie.

- Wylecieli przez przednią szybę - powiedziała tak cicho, że Rylance pochylił się nad nią.

- Słucham?

- Wypadli przez szybę. Tylko tyle widziałam.

- Ale chyba zgodzi się pani z nami, że zginęli podobnie jak pani były mąż. Tym razem nie możemy wytłumaczyć rozwleczenia ciał przez mewy czy pelikany. Coś odleciało z ich szczątkami. Mówię „odleciało”, bo nie znaleźliśmy śladów stóp przy samochodzie pani szwagra, na polach wzdłuż drogi też nie. Nawet śladów po skuterze śnieżnym. Coś, co ich zabrało, potrafi latać.

- Nie mam pojęcia, co by to mogło być. Kruk? Nie mam pojęcia.

- Kruk... - powtórzył Rylance bez przekonania. Agent Kellog usiadł obok Lily.

- Powiedziała pani chroniącym ją policjantom, że jedzie na zakupy do Calhoun Square. Czy w takim razie może pani wyjaśnić, dlaczego jechaliście na południe, w przeciwnym kierunku?

- Zmieniliśmy zdanie. Jechaliśmy do „Mail of America”.

- Aha... Chcemy zapytać o jeszcze jedno. Pamięta pani tę starą stodołę, do której nas pani zabrała, tę w Sibley's End?

Lily spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jakiś tydzień temu stodoła się zawaliła. Właściwie niezupełnie zawaliła. Rada miejska z początku sądziła, że stało się to z powodu śniegu na dachu, lecz miejscowy konserwator, który badał ruiny, ustalił, że budynek rozerwano na części kawałek po kawałku. Twierdził, że nigdy czegoś takiego nie widział. Pisano nawet o tym w gazecie.

- I co ja mam wam powiedzieć?

- Chcielibyśmy wiedzieć, czy według pani wszystkie te wydarzenia są ze sobą powiązane - oświadczył Rylance. - Bo ja jestem przekonany, że tak. I uważam, że da się to jakoś wyjaśnić. Ale niech mnie cholera, jeśli wiem, o co tu chodzi.

- Bardzo chciałabym wam pomóc, panowie, lecz nie potrafię.

- Wiem, pani Blake.

\*\*\*

Doktor Flaurus poszła do kuchni i rozmawiała z dziećmi przez kilka minut. Gdy wyszła, pokręciła głową.

- Nie chcę ich już naciskać. I tak widziały ostatnio więcej strasznych rzeczy niż niejeden człowiek w ciągu całego życia. Czy mogę przyjechać do nich za kilka dni?

- Oczywiście - odparła Lily.

Agenci nie mówili już nic przed wyjściem, ale Lily miała nieprzyjemne wrażenie, że podejrzewają, iż wie więcej, niż im powiedziała. Ale w końcu tak przecież było.

Kazała dzieciom włożyć swetry i kurtki, a potem wyszli z domu. Słońce wyjrzało zza chmur i śnieg błyszczał tak mocno, że musiała założyć okulary. Przeszła przez ulicę i zameldowała pilnującym ich policjantom, gdzie jedzie, po czym wsiadła do rainera i ruszyli do Edina.

- Ta pani pytała, czy widzieliśmy coś dziwnego - odezwała się Tasha.

- I co jej powiedziałaś?

- Że nic nie widzieliśmy, bo za bardzo baliśmy się patrzeć.

- Dlaczego?

- Przecież by nam nie uwierzyła, prawda?

Ulicami pełnymi błota i śniegu Lily dojechała do ulicy West, pod numer 77, i stanęła przed ceglanyymi budynkami biur Kraussman Developments na rogu Park Lawn Avenue. Weszła do recepcji, wyłożonej marmuropodobną posadzką i zastawionej donicami z juką, i poprosiła recepcjonistkę, by zadzwoniła do Kraussmana.

- Nazywam się Lily Blake, jestem z Nieruchomości „Concord”. Przyszłam w sprawie osobistej.

Czekali prawie dwadzieścia minut, siedząc na czerwonej kanapie, przeglądając czasopisma i słuchając ckliwych piosenek Franka Sinatry. W końcu Kraussman zbiegł do nich po schodach z nierdzewnej stali.

Był niskim, mocno opalonym mężczyzną o perkatym nosie i potężnej głowie, porośniętej krótkimi włosami. Miał na sobie błyszczącą szarą koszulę, jaskrawoczerwony krawat oraz szare spodnie, za małe o dwa numery.

- Lily! Cieszę się, że wpadłaś! Przepraszam, że musiałaś czekać. - Uścisnął jej dłoń i pocałował w oba policzki. - To twoje dzieci?

- Tasha, Sammy, przywitajcie się z panem Kraussmanem.

- Dzień dobry, moi drodzy! Fajne masz dzieciaki. Pewnie cieszysz się, że już są z tobą. - Wziął Lily pod rękę i ściszył głos: - Słyszałem o tym, co się stało, i chciałbym ci złożyć kondolencje. Czy śledztwo posuwa się naprzód?

- Niestety nie. Nie są nawet pewni, czy to zrobił człowiek.

- Myślą, że zaatakowało ich jakieś zwierzę? Coś w rodzaju aligatora?

- Tego jeszcze nie wiedzą.

- Cóż, bardzo mi przykro. Ale cieszę się, że wpadłaś. Czy chciałaś ze mną o czymś porozmawiać? Rozumiesz, mam trochę mało czasu.

- Jasne. Możesz poświęcić mi ze dwie, trzy minuty?

- Oczywiście. Chcesz kawy? A wy, dzieci? Coś gazowanego? Nancy, przynieś tym miłym młodym ludziom Dra Peppera, dobrze?

Posadził Lily na kanapie pod schodami.

- Czym mogę ci służyć?

- Chodzi o jezioro My stery...

- A, jezioro Mystery! No jasne, jezioro Mystery. To osiedle bardzo nam się opłaci, uwierz. Dziś rano planiści powiedzieli mi, że możemy wcisnąć tam jeszcze ze trzy segmenty, wcale nie niszcząc wizerunku elitarnego osiedla. Po prostu nieco przesłonimy komuś widok i trochę zwężymy drogę, to wszystko.

- To wspaniale - odparła Lily. - Słuchaj, przeprowadziłam pewne badania terenowe na temat jeziora Mystery.

- Badania? Jakie badania? Chyba nie odkryliście żadnych zanieczyszczeń gruntu, co? Nie chcę, by powtórzyło się to samo, co z Boulder Bridge.

- Nie, skąd. Mam na myśli historię tego miejsca. Chciałam, by potencjalni nabywcy nieruchomości czuli, że mieszkają w szczególnym miejscu... Żeby czuli, że ta ziemia ma swoją przeszłość. Wiesz, większość tych ekskluzywnych osiedli jest do siebie bardzo

podobna. Leżą w pięknych miejscach, wybudowano je zgodnie z najwyższymi normami, ale są bardzo odizolowane od otoczenia, nie pod względem położenia, lecz społecznym.

- Lily, ludzie właśnie po to kupują sobie domy na takich osiedlach. Chcą się odizolować od otoczenia, i to właśnie społecznie.

- Słuchaj, zanim Siuksów przepędzono na południowy brzeg rzeki, ziemia nad Mystery była dla nich miejscem o wielkim znaczeniu religijnym.

Kraussman zaśmiał się głośno.

- Nie mów mi, że będzie jak w *Poltergeiście* i wszystkie domy zapadną się w głąb pradawnego indiańskiego cmentarzyska.

- Nie, skąd. Chodzi mi o ten kawałek gruntu na zachód od przystani, gdzie ma być pomost. Tam Mdewekantonom objawiło się wielkie indiańskie bóstwo i powiedziało, że wkrótce biali zabiorą im ziemię. Pomyślałam sobie, że jeśli twoja firma podarowałaby tę ziemię Indianom... gdyby postawić tam jakąś tablicę pamiątkową, rzeźbę, posąg... przydałoby to osiedlu magii.

Biznesmen ze zdziwieniem spojrział na Lily.

- Magii?

- Właśnie. Urozmaicilibyśmy linię brzegową czymś niezwykłym, czymś, o czym by się mówiło. A ty uchodziłbyś za dewelopera, którego obchodzą miejscowi i ich kultura.

Kraussman w zamyśleniu zacisnął kciuk i palec wskazujący na nosie.

- Nie - oświadczył w końcu.

- Słuchaj, to byłaby świetna reklama...

- Nie, wcale nie byłaby. Ludzie, którzy będą kupowali domy w Mystery, nie współczują Mdewekantonom. Indianie kojarzą się im z alkoholizmem, narkotykami, hazardem i innymi aspołecznymi zachowaniami. Poza tym powiedz mi, czy ktoś, kto zapłacił ponad dwa i pół miliona dolarów, ma ochotę pamiętać, że poprzedni właściciele jego ziemi zostali wysiedleni z niej siłą, nie dostając w zamian niczego, albo nawet zginęli? Lily, ja znam historię tego miejsca.

- Ale przecież...

- Lilly, przykro mi. To kiepska zagrywka. Poza tym Kraussman Development z zasady niczego nie daje za darmo.

Ta firma uprawia dobroczynność wyłącznie dla Kraussman Development, Incorporated, czyli dla mnie.

- Philip, sądzę, że ten ruch wyszedłby ci na dobre. Przecież chcesz zasiąść w radzie miasta!

Kraussman pokręcił głową.

- Nie zmienisz mojego zdania. Mówię „nie” i już.

\*\*\*

Lily obiecała co prawda Tashy i Sammy’emu, że ani na chwilę nie spuści ich z oka, lecz tym razem nie miała wyboru. Wysadziła dzieci trzy ulice od biur Kraussmana, pod domem Maris Halverson, jednej ze szkolnych koleżanek Tashy, i obiecała im, że wróci po nie o dziewiętnastej.

Shooks czekał przed domem Lily w swoim czarnym buicku. Miał na głowie futrzaną czapkę i okulary przeciwsłoneczne. Gdy wjechała na podjazd, wysiadł z wozu i podszedł do niej.

- Witam, panie Shooks.

- Lepiej niech pani mówi mi po imieniu, dobrze?

- W porządku. - Lily spojrzała na pilnujących domu policjantów. Jeden czytał gazetę, a drugi spał z czapką na twarzy.

- Masz ten dokument? - zapytał Shooks, gdy otwierała drzwi.

- Nie. Kraussman stanowczo odmówił. Stwierdził, że nigdy nie robi filantropijnych darowizn, a już na pewno nie odda ziemi Mdewekantonom.

- W takim razie siedzisz po uszy w gównie.

Lily zamknęła za sobą drzwi, poszła do pokoju dziennego i otworzyła karafkę z whisky.

- Napijesz się? - zapytała Shooksa.

- Nigdy nie odmawiam drinka. A wiesz dlaczego? Nigdy nie wiadomo, czy to nie mój ostatni.

Lily napełniła dwie szklanki i usiadła przy kominku. Shooks wypił swoją whisky jednym haustem.

- Mogę nalać sobie następną? Ta też może być moją ostatnią.

- Proszę bardzo. - Lily pochyliła się i pogrzebaczem wzruszyła polana w kominku. - Co by było, gdybym go zabiła?

Shooks przestał nalewać sobie whisky.

- Masz na myśli George’a?

- Tak. Co by było, gdybym go zastrzeliła?

- Chryste, nie mam pojęcia. Pewnie wylądowałabyś w zakładzie karnym dla kobiet w Shakopee. Ale przynajmniej nie ma ogrodzenia, a jedzenie jest podobno dobre.

- Pytam cię o to, bo chcę wiedzieć, czy wtedy Wendigo nadal będzie mnie ścigał.



- Oczywiście, że będzie. George dotrzymał danej mu obietnicy, składając ofiarę z człowieka... a w naszym przypadku aż z trojga ludzi. W zamian Wendigo musi dopilnować, żebyś ty dotrzymała słowa danego George'owi, nawet jeśli odstrzelisz mu łeb. Jeżeli nie zechcesz albo nie będziesz mogła dotrzymać słowa, drogo za to zapłacisz. Tu chodzi o przysięgę krwi, o honor Indian. Jeśli obiecasz coś komuś dać, musisz to zrobić.

- Może dam mu inną ziemię?

- A masz coś takiego?

- Jeszcze nie, ale moja znajoma, Joan Sapkę, pracuje na pół etatu w Biurze do spraw Indian Stanu Minnesota. Może potrafi mi wskazać inne miejsce, takie, które też jest w jakiś sposób święte dla Mdewekantonów, ale nie leży w samym środku osiedla wartego miliony dolarów.

- Możesz spróbować, nie widzę przeszkód. Co prawda nie znam żadnego takiego miejsca, lecz zawsze możesz mu coś takiego zaproponować.

- To znaczy, że mam porozmawiać z George 'em? Shooks wzruszył ramionami.

- A widzisz inne wyjście?

- Ten człowiek zamordował moją siostrę, szwagra i piętnastomiesięcznego siostrzeńca. Nie wiem, czy potrafię z nim rozmawiać.

- Wiesz, że musisz.

Zapadła długa cisza. W końcu Shooks powiedział:

- Lily, naprawdę nie masz innego wyjścia. Prędzej czy później Wendigo przyjdzie także po ciebie. Znajdzie cię wszędzie.

Spojrzała na niego.

- Pojedziesz tam ze mną?

- Nie wiem, Lily. Nie chcę, by George zaczął myśleć, że jestem pudelkiem białej kobiety. Prawdopodobnie będę jeszcze potrzebował jego pomocy.

- Po tym wszystkim, co się stało, znów poprosisz, by wezwał Wendigo?

- Lily, nie mnie to oceniać ani sądzić. Ja po prostu umożliwiam odnalezienie ludzi, których nikt nie potrafi znaleźć. W życiu za wszystko trzeba płacić.

- Ale przecież dobrze wiesz, że będą ginęli inni. Część z nich jest niewinna! Jak możesz z tym żyć?

- Cóż, nie jest mi lekko. Ale pamiętasz, jak się czułaś, gdy Jeff zabrał ci dzieci, a tamci faceci z FLAME niemal spalili cię żywcem? To, co robię, jest na swój sposób sprawiedliwe, choć jest to bardzo brutalna sprawiedliwość.

- Boże, nie wiem już, co mam zrobić - jęknęła Lily. Shooks wyjrzał przez okno.

- Przestało padać i pokazało się słońce. Chętnie podwożę cię do Doliny Czarnych Kruków, jeśli chcesz ubić interes z diabłem.

\*\*\*

Dotarli do domu George'a Żelaznego Piechura, lecz nie zastali ani jego, ani Hazawin. Subaru George'a stało przed domem, na masce był śnieg, więc nikt nim ostatnio nie jeździł. Gdy Shooks zapukał do drzwi, odpowiedziała mu cisza.

- George! To ja, John Shooks! Jest tam kto?

Nikt nie odpowiadał. Shooks spojrzał na Lily i oznajmił:

- Może śpią albo są nawaleni. Czasami palą krwiowca, by móc rozmawiać z duchami czy coś takiego. Od tego dostaje się również chcicy.

- George!

Shooks złapał za klamkę i okazało się, że drzwi nie są zamknięte. Wszedł do środka, a Lily ostrożnie podążyła za nim. W kominku tliło się polano. Na stole w salonie stały kubki z niedopitą kawą. George i Hazawin najwyraźniej wyszli całkiem niedawno.

Shooks wszedł do kuchni, zajrzał do łazienki i sypialni. Wrócił na werandę.

- George! Hazawin! - zawołał ochryple. Nikt nie odpowiedział. Słychać było tylko delikatny szelest wiatru między sosnami i miękkie pacnięcia spadającego z gałęzi śniegu.

- Dziwne - mruknęła Lily. - Gdzie oni mogli pójść?

- Pewnie na spacer - odparł Shooks.

- Na spacer?

- Wiesz, jaki jest George. Lubi się bratać z naturą.

- Przecież ma komórkę.

- Taaa... ale nigdy jej nie odbiera. Wrócili do środka.

- Co teraz? - zapytała Lily.

Shooks wziął z sekretarzyka napoczętą butelkę whisky i obejrzał etykietę.

- Możemy poczekać albo zostawimy mu kartkę z prośbą, by się z tobą skontaktował.

- Nie mogę czekać za długo. Tasha i Sammy są sami w domu.

- No dobra. Dajmy im pół godziny, a jeśli nie przyjdą, wracamy do miasta. - Uniósł butelkę. - Słyszałaś kiedyś o whisky „Old Zebulon”? No widzisz, ja też nie.

Ruszył do kuchni poszukać sobie szklanki. Gdy wracał, Lily usłyszała jakiś dźwięk. Przypominał odległe wysokie zawodzenie. Dźwięk dobiegał z zewnątrz, lecz wpadał do domu przez komin wraz z wiatrem.

- Nie mogę rozgryźć Żelaznego Piechura - powiedział Shooks. - Sam już nie wiem, czy jest cwańszy od białych, czy jeszcze bardziej indiański niż Indianie.

- Cicho! - syknęła Lily, unosząc dłoń. - Słyszysz? Shooks zatrzymał się i nasłuchiwał przez chwilę z przekrzywioną głową.

- Przykro mi, ale nie.

- Czekaj! Znów to słyhać. Brzmi jak płacz niemowlaka. Lily otworzyła drzwi i wyszła na werandę. Wiatr się wzmógł, ale stąd słyszała dziwny dźwięk o wiele wyraźniej. Był to bez wątpienia płacz niemowlęcia. Lily wydawało się, że dochodzi gdzieś z lasu na prawo, ze szczytu zbocza, na którym Hazawin przyzwała Wendigo.

- O, teraz słyszę - stwierdził Shooks i wypił swoją whisky. - Ale wiesz, to może być po prostu szop, który wpadł w sidła. Przestraszone szopy wydają z siebie niemal ludzkie wrzaski.

- Cicho! - powiedziała Lily. Płacz nie ustawał. - To nie szop, ale dziecko.” Jest gdzieś niedaleko.

Shooks popatrzył na nią.

- Czy myślisz o tym samym co ja?

- To William - oświadczyła Lily.

## **ROZDZIAŁ 14**

- Skoro policja nie znalazła dziecka twojej siostry w jej samochodzie ani nigdzie w okolicy, to możliwe, że zabrał je Wendigo - powiedział Shooks.

Dotarli raptem do połowy zbocza, a jemu już brakowało tchu. Lily wyprzedzała go o dziesięć metrów. Brnęła po kolana w śniegu i wymachiwała rękoma, by nie stracić równowagi.

- Tylko po co go porwali? - wy dyszał Shooks.

- Pewnie chcą mnie przycisnąć. George Żelazny Piechur domyślił się, że tu wrócę, jeśli nie będę mogła mu dać tej ziemi nad jeziorem Mystery.

Doszli do linii drzew na szczycie wzniesienia. Lily przystanęła i nasłuchiwała. Teraz już była pewna, że gdzieś w lesie płacze dziecko, i to niecałe sto metrów od nich. Płacz był rozedrgany, histeryczny, przerywany przejmującymi westchnieniami, Lily była przekonana, że to jej siostrzeniec.

- William! - zawołała. - William!!

- Może lepiej nie reklamujmy się za bardzo - powiedział Shooks, doganiając wreszcie Lily.

- George bardzo chce tej ziemi - odparła Lily. - Pewnie zamierza mnie przycisnąć, ale dopóki myśli, że mogą dać mu tę ziemię, nie zrobi mi krzywdy.

- Hmm... dobrze, że przynajmniej ty jesteś o tym przekonana.

Płacz zdawał się dochodzić z polany, na której Hazawin użyła kości i lustra. Lily przeciskała się przez ciernie i splątane gałęzie, aż w końcu wyszła na otwarty teren. Głaz pośrodku polany był pokryty śniegiem, ale dziecka nie było nigdzie widać. Lily spojrzała w niebo, rozciągające się nad czubkami sosen. Było nieprawdopodobnie błękitne.

Shooks podszedł do Lily, wyciągając sobie cierń z rękawa płaszcza. Obszedł głaz i stwierdził:

- Ucichło.

Miał rację, las znów ogarnęła cisza. Lily przeszła na drugi koniec polany i krzyknęła:

- William! Słyszysz mnie?! To ja, Lily! Zawołaj, jeśli mnie słyszysz!

Cisza. Słychać było tylko wiatr i stukanie gałęzi.

- Może to był głos ducha? Hazawin umie coś takiego zrobić, sprawić, że słyszysz głosy, których nie ma. To coś takiego jak brzuchomówstwo - wtrącił Shooks.

- William! - nawoływała uparcie Lily. - To ja, ciocia Lily! Gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi.

- Lepiej wracajmy do domu - mruknął detektyw.

- William!

Shooks chwycił Lily za ramię.

- Chodź! To mi się wcale nie podoba.

- Przecież go słyszeliśmy! On musi tu być!

- Wiem, że go słyszeliśmy. Ale mówiłem ci już, że Hazawin potrafi robić takie cuda.

Uwierzysz, że dzień to noc albo że twój zmarły dziadek mówi do ciebie z szafy.

Lily nie ruszyła się z miejsca, nasłuchując. Czowała, że ogarnia ją rozpacz. Przypuszczała, że Shooks ma rację i George Żelazny Piechur ją oszukuje. Zzerało ją jednak poczucie winy. Nie mogła znieść myśli, że znowu miałyby zostawić Williama, jeżeli tu był.

- Lily, chodź - powtórzył Shooks.

- Dobrze - odparła i pozwoliła mu się poprowadzić pod rękę wokół głazu.

Gdy dotarli do drzew, usłyszała głośny szelest, a po nim szybkie kroki. Odwrócili się oboje. Znów rozległ się szelest i trzask łamanych gałązek.

Spomiędzy drzew wyszedł ogromny podpalany wilk. Miał żółte błyszczące oczy. Między zębami drgał szary język, z pyska unosiła się para. Stał jakieś trzydzieści metrów od nich, wbijając wzrok w Lily i Shoksa.

- O cholera... - wymamrotał detektyw.

Lily ponownie usłyszała trzask gałęzi, dochodzący z prawej strony. Pojawił się drugi wilk, po nim kolejny i jeszcze jeden. Wyszły spomiędzy drzew i stanęły w kręgu. Wyglądały jak duchy na jakimś upiornym sabacie. Lily stwierdziła, że jest ich dobry tuzin.

- Kurwa! Zrobiło się niefajnie - rzucił Shooks do Lily.

- Przecież mówiłeś, że wilki nie atakują ludzi.

- Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

- Myślisz, że te stanowią wyjątek?

- Wciągnęły nas w pułapkę. Słyszałeś, żeby wilki wciągały ludzi w pułapki?

Lily słyszała, jak serce wali jej w piersi. Patrzyła na wilki, zastanawiając się, czy ich zaatakują. Stały w miejscu, dysząc bez przerwy, ale nic nie wskazywało na to, że sobie pójdą.

- Wycofajmy się między drzewa - powiedziała.

- Wycofać się?

- Po kilka kroków naraz. Żadnych gwałtownych ruchów. Jeżeli wilki boją się ludzi i nie atakują ich, nic nam się nie stanie.

Shooks spojrział na nią z wahaniem.

- No dobra. W końcu nie możemy tu siedzieć przez cały dzień.

Lily zrobiła krok w lewo, po nim drugi, Shooks również. Kiedy doszła do drzew, odepchnęła łokciem gałąź, która pękła z głośnym trzaskiem. Podpalany wilk zrobił trzy kroki do przodu. Reszta zwierząt również podeszła bliżej.

- Jezu... - jęknął Shooks.

- Idziemy - ponagliła go Lily. - Chyba są tylko zaciekawione. Przecież gdyby chciały nas zabić, już dawno by nas dopadły, prawda?

- Mnie nie pytaj. Nie znam się na wilkach. Może tylko bawią się nami?

- Coś ci powiem. Nie wycofujemy się. Po prostu odwracamy się plecami i idziemy tak szybko, jak się da. Nie mogą widzieć, że się ich boimy.

Shooks rozejrzał się. Wilki były wszędzie, wpatrywały się w nich żółtymi ślepiami. Z ich pysków zwisały długie strużki śliny.

- Masz rację - przyznał. - Może i robimy pod siebie ze strachu, ale nie damy im się z tego cieszyć.

- Więc chodźmy! - zakomenderowała Lily. Ruszyła pierwsza. Po chwili oddalali się już od polany tak szybko, jak tylko pozwalały im na to ciernie. Wilki natychmiast zaczęły iść za nimi. Z obu stron między srebrnymi pniami brzoź płynęły szare, wydłużone sylwetki. Wyglądały jak wilki z sennego koszmaru. Shooks spojrział do tyłu.

- Są tuż za nami - wysapał. - Ten wielki czarno-brązowy bydlak lada chwila capnie mnie za kostkę.

Lily nie oglądała się za siebie, choć z trudem panowała nad lękiem. Wiedziała, że strach jest wyczuwalny, zwłaszcza dla zwierząt. Psy często atakowały ludzi, którzy się ich bali. Widziała też konie, które wpadały w szal, czując zapach ludzkiego strachu, widziała przerażone ludzkim strachem bydło, rozbijające się o ogrodzenie.

- Ruszaj się - popędziła Shooksa.

Zaczęli iść jeszcze szybciej, jak na ćwiczeniach gimnastycznych. Wilki trzymały się przy nich, sadząc coraz większymi susami. Lily zerknęła w lewo i zobaczyła, że jeden z nich staje na zadnich łapach i zaczyna biec jak człowiek.

Straciła resztki opanowania i rzuciła się naprzód biegiem.

- Lily! - krzyknął Shooks. - Nie, na litość boską! Ogarnął ją strach. Chciała jak najszybciej uciec. Wilki biegły tuż za nią. Słyszała stukot ich pazurów, uderzających o gałęzie na ściółce. Shooks nadal krzyczał, ale wiedziała, co się stanie, jeśli się zatrzyma i odwróci do niego.

Nagle potknęła się o wystający korzeń i upadła na bok, uderzając ramieniem o kamień.

- Lily! - krzyknął Shooks.

Spojrzała w niebo, zobaczyła wirujące w górze drzewa i poczuła, że kosmate cielsko opada na nią, warcząc. Było ciężkie i pachniało łojem. Poczuła, jak w jej prawy policzek wbijają się pazury. Przecięły skórę tuż po okiem, odrywając ciało od kości.

Wrzasnęła, ale nie wiedziała już, czy naprawdę krzyczy. Wilk oderwał policzek i rzucił go na bok niczym zakrwawioną szmatę. W nos Lily wbiły się rzędy ostrych zębów. Trzask pękającej kości wstrząsnął nią do głębi. Nie mogła oddychać, nie mogła nawet krzyczeć. Wciąż słyszała wołającego ją Shooksa, lecz nie mogła mu już pomóc. Wilki targały jej ubranie, zdzierały kurtkę, rozszarpywały sweter na wielobarwne strzępy.

Szare bestie wyrywały ciało z jej ud, mięso odchodziło z trzaskiem od kości. Ból był tak okropny, że chciała umrzeć. Po chwili wilki przebiły się pazurami do środka jej brzucha, rozdzierając skórę i mięśnie. Czuła to wszystko. Czuła, jak gryzą jej zebra, i wiła się ze straszliwego bólu. Z pełnym przerażeniem niedowierzaniem patrzyła, jak jeden z wilków wywleka jej wnętrzności na śnieg. Wyglądały jak żółtoczerwone węże. Wszędzie widziała krew, swoją i Shooksa. Detektyw już nie krzyczał, więc uznała, że nie żyje.

Opuściła głowę na śnieg. Niebo nad nią wciąż było nieprawdopodobnie błękitne. Wiedziała, że nie żyje albo zaraz umrze. Wilki rozszarpią ją na kawałki, rozerwą na sztuki.

Pozostaną po niej drgające szczątki - szczątki Lily Blake, kobiety, która kiedyś kochała swoją rodzinę i męża, a teraz leżała na plecach w środku lasu gdzieś w Minnesocie, wydając ostatnie tchnienie, pełne krwawych baniek.

Lewą ręką dotknęła boku. Pod palcami czuła oślizgłe od krwi gołe żebra i płuca, które mimo wszystko wciąż pracowały.

- Powinam się pomodlić - wyszeptała.
- Po co? - zapytał jakiś męski głos.
- Umieram. Powinam chociaż odmówić *Ojcze nasz*.
- Nie umierasz.

Lily otworzyła oczy. Słońce nadal świeciło między drzewami. Ptaki wciąż ćwierkały, skądś dochodziły serie stuków, przypominające alfabet Morse'a.

Kłęczał nad nią George Żelazny Piechur, odziany w czarną skórzaną kurtkę. Srebrny kolczyk w jego uchu lśnił w słońcu.

- Nie umierasz - powtórzył.

Lily uniosła głowę i spojrzała na siebie. Jej futrzany płaszcz był cały. Dotknęła twarzy - również była cała.

- Co się stało?

George Żelazny Piechur podał jej rękę.

- Pozwolisz, że pomogę ci wstać?
- Sama wstanę, dziękuję. Cholera, co tu się stało? Gdzie są wilki?
- Jakie wilki?

\*\*\*

Podniosła się z ziemi, ale zatoczyła się na bok i o mało znów nie upadła. Była cała poobijana i straszliwie zmęczona. Czuła się jak stratowana przez spanikowany tłum. Trzydzieści metrów od niej w śniegu kłęczał Shooks i otrzepywał rękawy.

- John! - zawołała. - Nic ci nie jest?

Detektyw wstał chwiejnie, po czym wykonał dwa niepewne kroki w jej kierunku.

- Mnie? Ależ skąd! Czuję się wręcz zajebiście! Mam tonę śniegu za koszulą i skręciłem sobie pieprzoną kostkę. Nie widziałas gdzieś moich okularów? Kurwa, zgubiłem moje raybany...

Lily rozejrzała się i zobaczyła Hazawin, stojącą wśród plam cienia i słońca między srebrnymi pniami brzoź, z brzozowymi witkami w jednej dłoni i parą ludzkich kości udowych w drugiej.

- Widziałeś jakieś wilki? - zapytał George. Lily spojrzała na niego. Stał bardzo blisko niej.

- Nie wiem, co widziałam. Myślałam, że... Indianin uśmiechnął się ponuro.

- Lasy pełne są snów, ale wiesz, jak to z nimi jest. Niektóre się spełniają, większość nie.

- George, to nie był sen. To był koszmar! - Lily znów rozejrzała się dookoła i dodała: - Słyszałam płacz niemowlęcia. Myślałam, że może to mój siostrzeniec William.

- Musimy porozmawiać - oznajmił George. - W końcu po to tu przyjechałaś. - Wbił w nią wzrok, jakby chciał, by spuściła oczy.

Lily widziała go ostatni raz kilka dni temu i już zapomniała, jaki jest przystojny. Aż trudno było uwierzyć, że ktoś tak miło wyglądający może być zupełnie pozbawiony skrupułów.

- Czy to był William?

- Tak, Lily.

- Nic mu nie jest? Mów! Czy nic mu się nie stało?

- Na razie jest cały i zdrowy.

- Jak to „na razie”? Gdzie on jest? Nie możesz go przetrzymywać! Ty go po prostu uprowadziłeś!

- Nazywaj to sobie jak chcesz. Dla mnie William jest zabezpieczeniem. Ubiliśmy interes, Lily, i muszę być pewien, że dotrzymasz swojej części umowy.

- Zabiłeś moją siostrę i szwagra! Zabiłeś mojego byłego! Zamordowałeś ich! Ty skurwielu, rozszarpałeś ich na kawałki! Jesteś... jesteś dzikusem!

Shooks, który kuśtykał w ich stronę, słysząc tę obelgę, zamarł.

George wciąż uśmiechał się dziwnie.

- Możesz nazywać mnie dzikusem, nie obrażę się. Dzikus to ktoś zajadły i nieposkromiony. Dla Siuksa to wyraz najwyższego uznania. Poza tym słowo „dzikus” pochodzi od łacińskiego *silva*, czyli „leśny”. Mój duch i moje serce należą do lasu. Masz zatem rację. Jestem dzikusem.

- Gdzie on jest? - naciskała Lily. - Gdzie jest William? Zostawiłeś go samego?

- Jest bezpieczny. Uprzedzam cię jednak: nie znajdziesz go, choćbyś przeszukiwała las miesiącami.

- William jest u Wendigo, tak? - spytał Shooks. George nie odpowiedział.

- To prawda? - zaatakowała Indianina Lily.



- Widziałaś, jak wygląda Wendigo - powiedział detektyw. - Jest częściowo w naszym świecie, częściowo w innym. Moim zdaniem chłopca też tam zabrał i dlatego nigdy go nie znajdziesz.

- To chore! - prychnęła Lily. - Co to znaczy, że jest w innym świecie?

- Lily, wierzysz w Boga? - spytał George. - Wierzysz w Niebo?

- Nie. Już nie wierzę.

- Powiedzmy, że są takie miejsca, które istnieją, ale nie można ich zobaczyć. William jest właśnie w takim miejscu.

- No to chcę, żeby wrócił, i to natychmiast.

- Przekaż mi akt własności ziemi nad jeziorem Mystery, a osobiście oddam ci chłopca. Ostrzegam jednak, że nie mogę czekać zbyt długo. Muszę mieć tę ziemię najpóźniej pojutrze do zachodu słońca.

- A jeśli jej nie zdobędę?

- Wtedy Wendigo zrobi to, do czego jest stworzony.

- Oszalałeś! - wrzasnęła Lily. - Oszalałeś, jesteś chory psychicznie! Jeśli Williamowi choćby jeden włos spadnie z głowy, zabiję cię!

George uniósł dłoń.

- Nie krzycz na mnie, to nic nie pomoże. Sama jesteś winna temu, co się stało. To ty chciałaś odnaleźć swoje dzieci i obiecałaś mi tę ziemię.

- Ale nie mogę ci jej dać! - krzyknęła. Z wściekłości napłynęły jej łzy do oczu. - Dlatego przyjechałam do ciebie. Nie mogę dostać aktu własności. Myślałam, że mogę, ale jest inaczej. - Zdjęła rękawiczkę i palcami otarła łzy. - Przyjechałam cię spytać, czy nie mógłbyś przyjąć w zamian czegoś innego. Innego miejsca, równie świętego lub w inny sposób dla was ważnego. Każdego oprócz tego. Przychodzi ci coś takiego do głowy?

Podeszła do nich Hazawin. Poruszała się tak, jakby płynęła nad śniegiem. Shooks, kuśtykając, odsunął się od niej o kilka kroków.

- Lily, przykro mi, ale to musi być ziemia nad jeziorem Mystery. Żadna inna jej nie zastąpi. To właśnie tam Haokah objawił się Małemu Krukowi, i miał w tym swój cel.

- Czy wy jesteście głusi? - warknęła Lily. - Philip Kraussman nie odda mi tej ziemi, i tyle! Nie chce nawet jej sprzedać. Powiedział, że ludzie, którzy kupią tam domy, są... wola nie pamiętać, że jezioro odebrano Siuksom podstępem.

- Pewnie, że nie - zgodził się George. - Wyobraź sobie, jak niezręcznie by się czuli, siedząc w swoich ogródkach i sącząc margarite, gdyby coś ciągle im przypominało, że ziemia pod ich stopami przesiąknięta jest krwią setek Indian, mężczyzn, kobiet i dzieci.

- Czy ty chcesz się zemścić? - zapytała Lily. - Dlatego chcesz mieć akurat ten kawałek ziemi?

- Zemścić? Lily, nie doceniasz mnie. Nie wyobrażam sobie zemsty, która wyrównałaby krzywdę, jaką biali wyrządzili Mdewekantonom. Chcę tej ziemi dlatego, że jest wyjątkowa. W całej Minnesocie nie ma drugiego takiego miejsca pod względem położenia i znaczenia religijnego.

- To znaczy, że się nie rozmyślisz?

- Nie.

- A jeśli pójdę z tym do FBI i aresztują cię za porwanie nieletniego, rozszarpywanie ludzi na sztuki, wymuszenie i oszustwo?

- Nie pójdziesz. Przyniesiesz mi akt własności ziemi nad jeziorem Mystery pojutrze przed zachodem słońca. Wtedy będziemy kwita.

Lily zaniemówiła. Przykuśtykał do niej Shooks, chwycił ją za rękę i powiedział:

- Chodź, Lily. Wymyślimy coś.

Bez słowa opuścili George'a Żelaznego Piechura i Hazawin. Lily ruszyła w dół zbocza, a Shooks trzymał się blisko niej. Słońce dotykało już czubków jodeł. Robiło się coraz ciemniej i chłodniej. Lily obejrzała się za siebie tylko raz. George i Hazawin wciąż stali przed linią drzew i patrzyli na nich.

Shooks otworzył przed Lily skrzypiące drzwi samochodu, więc wsiadła, ale po chwili chciała z niego wyjść.

- Weź się w garść - upomniął ją detektyw. - Poradzimy sobie jakoś.

- Mam sobie po prostu pojechać i zostawić Williama w rękach tych ludzi? Przecież on umiera ze strachu! A ten „inny świat”, ta „inna rzeczywistość”... nic z tego nie rozumiem. Gdzie on właściwie jest? Shooks zapalił silnik.

- Siuksowie wierzą, iż wszystko, co jest w naszym świecie, ma swoje odbicie w świecie duchów, jak w lustrze. Pod naszymi stopami znajduje się druga Minnesota, odwrócona do góry nogami, ale jest to taka Minnesota, jaka była przed przybyciem białych. Istnieje też „boczny” świat, jak w *Alicji w krainie czarów*. Jest tam druga Lily, która siedzi przy tobie, oraz drugi ja. Wendigo żyje właśnie w tym świecie, a ściślej mówiąc, znajduje się tam częściowo. I tam właśnie jest teraz twój siostrzeniec.

- Nie można go stamtąd wyciągnąć? Skoro Wendigo zabrał go do tego bocznego świata, to dlaczego my nie możemy się do niego dostać?

- A wiesz może, jak to zrobić? Bo ja nie mam pojęcia, jak dostać się do takiego bocznego, odwróconego czy któregośkolwiek innego świata. Nawet nie wiem, od czego miałbym zacząć.

Przez chwilę jechali w zupełnej ciszy, podskakując na zaśnieżonej drodze. W końcu Lily powiedziała:

- Zostało nam tylko jedno wyjście.

- Jakie?

- Jesteśmy jak zaszczute zwierzęta. A co robią zaszczute zwierzęta?

- Srają pod siebie?

- Atakują przeciwnika, choćby był znacznie silniejszy od nich.

- Czyli?

- Skoro Wendigo poluje na nas, musimy dopaść go pierwsi. Musimy go wytropić i zabić.

Shooks wpatrywał się w Lily tak długo, że o mało nie wjechał w drzewo na poboczu.

Wreszcie zapytał:

- My mamy upolować Wendigo?

\*\*\*

Kiedy dojechali do domu Lily, zobaczyli czekającego przed nim Kelloga. Agent wysiadł z samochodu i podszedł do ich wozu, chuchając w dłonie.

- Przepraszam, miałam wyłączony telefon - powiedziała Lily. - Mam nadzieję, że nie czekał pan na mnie zbyt długo?

- Raptem dziesięć minut. Mogę wejść?

- Jasne. A przy okazji: to jest John Shooks. John, poznaj agenta specjalnego Kelloga z FBI.

- Nasze drogi skrzyżowały się już parę razy - oświadczył sucho Shooks. - Jak leci, Nathan?

- Dobrze, dziękuję. Mogę spytać, co tu robisz?

- Jestem przyjacielem rodziny, nic więcej.

- Nie wiedziałem, że kiedykolwiek miałeś jakichś przyjaciół.

Gdy Lily otwierała drzwi wejściowe, Shooks oznajmił:

- Słuchaj, muszę się zobaczyć z paroma osobami w związku z naszą sprawą. Odezwę się.

- W porządku - odparła. - Dziękuję za transport. Wprowadziła agenta do pokoju dziennego.

- Niech pan zdejmie kurtkę. Zaraz napalę w kominku. Kellog zdjął szalik i powiedział:  
- Ma pani jakąś sprawę do Shooksa, prawda? Czy mogę wiedzieć jaką?  
- To nic wielkiego. Pomaga mi odnaleźć wujka, który zniknął wiele lat temu. Wie pan, chcę mu przekazać smutne wieści o Agnes.

- Ach tak? Ten facet jest zwykłym pijaczną, niech mi pani wierzy.

Lily wzruszyła ramionami. Nie chciała kłamać, ale nie miała innego wyjścia.

Agent zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

- Chciałem porozmawiać z panią prywatnie.

- O czym konkretnie?

Kellog zamknął na chwilę oczy, jakby szukał czegoś w pamięci.

- Sprawa nie jest prosta - zaczął. - Jest pani ofiarą. Jednak razem z agentem Rylance'em uważamy, że czegoś w naszym śledztwie brakuje.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Lily... mogę mówić pani po imieniu?

- Oczywiście, jeśli ja też będę mogła mówić panu po imieniu.

- Nie ma sprawy. Lily, co tu jest grane? -, Słucham?

- Mamy tu układankę, w której brakuje sporej części, i podejrzewamy, że wiesz, gdzie się podziały brakujące elementy. Nie twierdzę, że ukrywasz coś przed nami, ale podczas tego śledztwa cztery osoby zginęły w taki sam sposób. Rozszarpano je, a ciała rozwłóczono na przestrzeni setek metrów.

Wspomniałem już, że nie mamy zielonego pojęcia, kto lub co ich zabiło. Może to był gigantyczny orzeł albo latający niedźwiedź? Przeszukałem bazę FBI i odkryłem, że w ciągu ostatnich dwudziestu trzech lat w podobny sposób zginęło siedemnaście osób. Nie były ze sobą spokrewnione i zginęły w różnych miejscach na terenie całego kraju.

Trzynaścioro z nich zamieszanych było w porwania, w tym także dzieci, a reszta znalazła się na liście osób zaginionych. Cała siedemnastka pochodzi z południowej Minnesoty, północnego Iowa lub zachodniego Wisconsin i wszyscy mieszkali nie dalej niż trzysta pięćdziesiąt kilometrów od Minneapolis. Widzisz zatem, że te morderstwa są w jakiś sposób ze sobą powiązane.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co powiedzieć - bąknęła Lily.

- Na początek mogłabyś mi wyjaśnić, co tak naprawdę kombinujesz z Shooksem. Lily, przecież wiesz, co z niego za koleś. To podejrzany typ.

Lily głęboko wciągnęła powietrze.

- No dobrze, powiem ci. Skontaktował mnie z nim mój szef z Nieruchomości „Concord” po zaginięciu Tashy i Sammy’ego. Ten człowiek pomógł odnaleźć dzieci bratu mojego szefa, gdy porwała je ich matka.

- Ale przecież Tasha i Sammy są już w domu, więc po co Shooks się tu jeszcze kręci?

- Mogę ci jedynie powiedzieć, że bardzo mnie wspiera na duchu.

- John Shooks kogoś wspiera? Nooo! Tego jeszcze nie grali.

Lily usiadła obok kominka, a Kellog zajął miejsce naprzeciw. Patrzył na nią badawczo swoimi dwukolorowymi oczami, jednym zielonym, a drugim szarym.

- Będę z tobą szczery. Przepisy zabraniają nam angażować się emocjonalnie. Musimy być zupełnie bezstronni wobec innych agentów, przestępców, świadków i ofiar. Takie są zasady. Ale kiedy wszedłem po raz pierwszy do tego domu i zobaczyłem ciebie... cóż, ciężko mi było powstrzymać się, by nie powiedzieć ci, jak wiele dla mnie znaczysz.

- Słucham?

Lily od początku uważała, że Kellog jest przystojny. Miał wyraziste rysy twarzy, jak Clint Eastwood za młodych lat. Zawsze okazywał jej wiele troski, lecz ostatnio była zbyt zestresowana, by dopuścić myśl, iż może mu się podobać. Nie czuła się atrakcyjna - fryzura jak wiecheć jemioły, a od śmierci Neda i Agnes nie spała więcej niż kilka godzin na dobę, więc miała podkrążone oczy.

- Znaczysz dla mnie bardzo wiele - powtórzył Kellog. - Wyglądasz tak... delikatnie, a jednak jesteś silna. I bardzo ładna.

- Może i jestem delikatna, ale z tą urodą przesadziłeś. Chyba powinieneś zrobić sobie badanie wzroku.

- Słuchaj, przecież nie zamierzam cię podrywać. Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że zależy mi na tobie, i nie chcę, by stało ci się coś złego.

- Czy to jakaś nowa metoda przesłuchiwania?

- Lily, pytam wprost: o co tu do cholery chodzi? Jeżeli mogłabyś nam cokolwiek powiedzieć, coś, co pozwoliłoby poskładać to do kupy...

Bóg świadkiem, że bardzo chciała mu o wszystkim opowiedzieć. Przynajmniej by jej ulżyło. Wiedziała jednak, że niczego by to nie rozwiązało, wręcz przeciwnie - sytuacja przybrałaby jeszcze gorszy obrót. FBI pewnie aresztowałoby George’a Żelaznego Piechura i Hazawin, ale nie znaleźliby Wendigo. Nawet gdyby udało jej się przekonać Kelloga, że naprawdę istnieje. W końcu Wendigo rozszarpałby i pożarł Williama, a potem zaczął polować na nią.

- Nathan... - ujęła dłonie Kelloga. - Przywracasz mi wiarę w siebie. Dziękuję.

Kellog pokręcił głową.

- Lily, chcę, żebyś wzięła sobie do serca moją radę. Może rzeczywiście nie możesz mi powiedzieć, co się dzieje, ale trzymaj się z dala od Shooksa. Ten facet ściąga kłopoty na ludzi.

Przecież ja właśnie szukam kłopotów, pomyślała Lily.

## ROZDZIAŁ 15

Krótko po dziewiątej rano zadzwonił agent Rylance i poinformował ją, że koroner może wydać już szczątki Agnes i Neda. Chciał też wiedzieć, czy wybrała przedsiębiorcę pogrzebowego.

Szczałki. Słyszając to słowo, Lily odniosła wrażenie, że właśnie wpadła po pas do lodowatej wody. Odzyskała głos dopiero po dobrych piętnastu sekundach. Rylance czekał cierpliwie, aż się pozbiera.

- Oddzwonię do pana - powiedziała. - Nie miałam jeszcze czasu pomyśleć o pogrzebie.

- Widziała się pani z ich dziećmi? Jak one to znoszą?

- Myślę, że dość dzielnie, ale chyba jeszcze nie pogodziły się z tym do końca.

- No dobrze. A tak przy okazji, zadzwoniłem w sprawie pani męża do policji w St. Petersburg. Mają jego szczątki i czekają na jakiś postęp w śledztwie.

- Dziękuję.

Po obu stronach słuchawki zapadła cisza. W końcu Rylance oświadczył:

- Pani Blake, chcemy pani pomóc. Czy to jasne? Na tym polega nasza praca.

- Wiem o tym - odparła Lily. - Któregoś dnia... Mam nadzieję, że któregoś dnia będę potrafiła w jakiś sposób okazać wdzięczność panu i koledze.

- Cóż, jak wspomniałem, to nasza praca. Proszę dzwonić, jeśli będziemy potrzebni. Albo gdy pani będzie mogła nam jakoś pomóc. Wie pani, co mam na myśli?

\*\*\*

Lily przygotowywała ciasto na naleśniki, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Za nimi stał Shooks. Drżał z zimna, pociągał zakatarzonym nosem i zabijał dłonie.

- Po kiego grzyba mieszkam w Minnesocie? - narzekał. - Chyba jestem masochistą, cholera! Mógłbym być prywatnym detektywem w Kalifornii albo na Florydzie. Mógłbym pracować, leżąc na leżaku z jakąś laską w bikini robiącą za sekretarkę. I to w bardzo skąpych bikini!

- Wejdz do kuchni. Załatwiłeś coś wczoraj? Detektyw zdjął szalik, ale pozostał w płaszczu.

- I tak, i nie. Porozmawiałem z moimi indiańskimi krewnymi. Boże, co za ludzie! Większość z nich gada, jakby byli na koksie! Wszyscy słyszeli o Wendigo. Ale znają tylko mity. „Wendigo będzie cię ścigał i nigdy mu się nie wymkniesz, a kiedy zajdzie cię od tyłu, to nawet jeśli się odwrócisz, nadal będzie z tyłu”. Nie powiedzieli mi niczego sensownego. Nie wiedzą, jak go wytropić i załatwić.

- Więc nie potrafią nam pomóc?

- Tego jeszcze nie wiem. Mój dalszy krewny, Kenneth Wraca-Ze-Zwiadu, powiedział, że powinienem z tym pojechać do Como do mojego stryjecznego dziadka Thomasa Niedźwiedziej Szaty. Podobno uczył indiańskich studentów na uniwerku i napisał kilka książek o indiańskich legendach. Pojadę do niego, jak tylko się odpryskam, łyknę kawę i... Co tam ubijasz, ciasto na naleśniki?

\*\*\*

Jeszcze jadł, gdy Tasha i Sammy zeszli na śniadanie. Sammy usiadł na swoim miejscu, lecz Tasha trzymała się blisko Lily, podejrzliwie zerkając na gościa.

- Rewelacyjne są te naleśniki - oświadczył Shooks, gestykulując widelcem. - Chyba ze sto lat takich nie jadłem.

Lily objęła Taszę za szyję.

- Kochanie, to jest mój przyjaciel, John Shooks. Jest prywatnym detektywem. Pomaga mi ustalić, co się stało wujkowi Nedowi i cici Agnes oraz gdzie jest mały William.

- To dobrze - mruknęła Tasha, ale usiadła jak najdalej od Shooksa.

Lily podała jej naleśniki i połała je syropem klonowym.

- Wiem, że wyglądam, jakbym spał w śmietniku - powiedział Shooks do Tashy. - Pracowałem przez całą noc dla twojej mamy i chcę tylko, żeby ta cała sprawa skończyła się dla was jak najlepiej.

Tasha popatrzyła na matkę. Lily uśmiechnęła się do niej.

- To prawda, kochanie. John rzeczywiście nam pomaga. Tasha przysunęła się do matki.

- Ale on śmierdzi - wyszeptała. - Jak zepsuta marchewka.

- Nie przejmuj się. Pewnie zaraz weźmie prysznic. John, chcesz wziąć prysznic?

Shooks wytarł usta w papierową serwetkę i beknął.

- Z dziką przyjemnością! Nie chcę wam tu śmierdzieć zepsutą marchewką...? - powiedział i roześmiał się, a Sammy mu zawtórował.

Tasha z uśmiechem spojrzała na Lily.

\*\*\*

Thomas Niedźwiedzia Szata siedział ze skrzyżowanymi nogami w rogu żółtej skórzanej kanapy. Wielki brzuch wylewał mu się na srebrną kłamrę w kształcie głowy bizona.

- Wendigo - powtórzył. Miał głęboki głos, którego barwa nie wiadomo czemu kojarzyła się Lily z ciemną czekoladą. - Nikt nie pytał mnie o Wendigo od diabelnie długiego czasu.

Thomas Niedźwiedzia Szata był wielkim barczystym mężczyzną. Liczył sobie co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, na jego kark spływały związane stalowe włosy. Miał tak wielkie worki pod oczami, że wydawały się stale przymknięte, a jego nos zdobił wydatny garb. Wyglądał jak jeden z indiańskich wodzów ze starych sepiowych fotografii, Siedzący Byk lub Szalony Koń.

Gdy Lily i Shooks dojechali do dzielnicy uniwersyteckiej Como, niebo zaciągały paskudne ciemne chmury. Lily miała wrażenie, że przygotowują scenerię dla jakiegoś strasznego wydarzenia. Zaczęło wiać i na szosie pojawiły się tumany wirującego śniegu.

Thomas Niedźwiedzia Szata zajmował rozpadający się bungalow na stromej trójkątnej działce, otoczonej wysokimi, czterdziestoletnimi sosnami. Zielona farba na ścianach miała prawdopodobnie tyle samo lat co sosny, a przed garażem pod zasypaną śniegiem plandeką stał rdzewiejący pick-up.

Wewnątrz domu unosił się zapach dymu papierosowego oraz pieczonego pieroga z kurczakiem, który najwyraźniej stanowił lunch gospodarza, bo na stole zawalonym gazetami, czasopismami i książkami stał jeszcze brudny talerz.

Stary Indianin powiedział:

- Mój ojciec nigdy nie wymawiał imienia Wendigo na głos. Wierzył, że demon je pochwyti, niesione wiatrem, i zapoluje na niego. Zawsze mówił o nim „to coś z lasu”.

- Chcemy się dowiedzieć, czy ktoś kiedykolwiek schwytał Wendigo - oświadczył Shooks.

- Czy schwytał? A czemu pytacie?

- Bo my musimy to zrobić - wyjaśniła Lily. - Musimy go schwytać i zabić... albo odesłać w miejsce, z którego przybył, lub zrobić coś innego, by się od niego uwolnić.

- Jesteś kobietą, w dodatku białą. Nie powinnaś brać się do takich rzeczy.

- Nie mam innego wyjścia. Jeżeli ja go nie zabiję, on zabije mnie oraz moje dzieci, rodziców, a być może także i moich przyjaciół.



- Lily zawarła umowę z George'em Żelaznym Piechurem - wyjaśnił Shooks. - George przywołał Wendigo, by odnalazł dzieci, które porwał jej były mąż.

- George Żelazny Piechur? Trzymałbym się z dala od tego człowieka. I co się stało?

- Nie mogłam wypełnić swojej części umowy - odparła Lily. - Obiecałam mu ziemię nad jeziorem Mystery, lecz nie udało mi się zdobyć prawa własności. Chciałam dać mu w zamian coś innego, pieniądze albo inną ziemię, ale on się uparł. Dał mi czas do jutra wieczorem.

Thomas Niedźwiedzia Szata wyjął z kieszeni koszuli zmiętą paczkę camel, wytrząsnął papierosa i zapalił go trzęsącą się dłonią.

- George Żelazny Piechur nie jest takim człowiekiem, na jakiego wygląda. Na początku rozmawia z tobą jak przedsiębiorca. Jest gładki, przyjacielski i szczerzy zęby. Ale jest w nim coś mrocznego, starodawnego. Korzenie jego rodu sięgają zamierzchłych czasów, kiedy ludzie i zwierzęta ze sobą rozmawiali, a lasy mogły się przemieszczać w ciągu jednej nocy.

- Musimy schwytać Wendigo - powtórzyła Lily. - Chciałam wyjechać ze Stanów, zabrać dzieci do Europy, ale Wendigo dopadł nas w drodze na lotnisko.

- On znajdzie cię wszędzie - powiedział Thomas Niedźwiedzia Szata. - Jeżeli zaczniesz na kogoś polować, nie ma przed nim ucieczki.

Wysmarkał się, po czym mówił dalej:

- O Wendigo krąży wiele opowieści. Większość to półprawdy lub zwykłe bajdy. Powiem wam jednak, co wiadomo na pewno. Wendigo jest duchem lasów. Tak jak wszystko, co żyje w lesie lub jest jego częścią - człowiek, zwierzę, duch czy drzewo, lub jakiegoś ich połączenie - ma jednego wspólnego wroga. Tylko jedna rzecz przeraża je wszystkie: ogień.

- Myślałam, że Wendigo sprowadza ogień - zdziwiła się Lily. - Przecież podobno łapie ludzi i zmusza do biegu tak szybkiego, że zapalają im się stopy.

- No właśnie - wtrącił Shooks. - Jak w opowiadaniu Algernona Blackwooda, nie? „O, moje biedne stopy, płoną!”. I zostawiają za sobą płonący ślad, ciągnący się kilometrami.

- Algernon Blackwood wszystko poplątał - mruknął Thomas. - Sprawdzał to podanie u jakiegoś zgrzybiałego Indianina z plemienia Ojibwe znad Tysiąca Jezior. Starowina nie pamiętał już połowy legend, a resztę mylił po pijaku. Poza tym rozmawiał z Blackwoodem w języku Ojibwe, w dodatku tłumaczem był dziewięciolatek.

Wendigo boi się ognia. Pamiętajcie, to jedyna rzecz, której się boi. Jest duchem drzew, więc posiada wiele fizycznych cech drewna i liści. Jego związek z naszym światem

jest dość ulotny: dwoma wymiarami jest tu, a trzecim w innym świecie... Jest niczym mgła. Dlatego na przykład może wślizgnąć się do domu przez zamknięte drzwi.

Jeżeli schwytaacie i spętacie Wendigo, wleczcie go po ziemi, aż zapłonie żywym ogniem. Będzie wiecznie płonął i nie da się go ugasić nawet całą wodą z wszystkich dziesięciu tysięcy jezior Minnesoty.

Shooks pociągnął nosem.

- Mówisz, że Algernon Blackwood się pomylił... że to nie przewodnik się zapalił, ale Wendigo?

- Właśnie tak było.

- Jesteś tego pewien? Czy są jakieś wiarygodne świadectwa unieszkodliwienia go w ten sposób?

- Nie, ale w latach sześćdziesiątych siedemnastego wieku żył wódz Czerwony Grom, który twierdził, że zabił Wendigo w okolicach Fond du Lac. Historię tę spisał francuski handlarz skórami. Jest jeszcze jedno podanie, które mówi, że złapano i zabito Wendigo w lesie Koochiching około tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku.

- Aha. I jak to się stało?

- W podaniu występują dwaj traperzy, Renville i Giddins. Znajdowali się akurat głęboko w lesie i przypadkiem zastrzelili chłopca z plemienia Ojibwejów, biorąc go za jelenia. Ojciec chłopaka tak się wściekł, że poszedł do szamanki i poprosił ją, aby nasłała Wendigo na tych traperów.

Demon odnalazł Renville'a i Giddinsa i zaatakował ich, kiedy siedzieli przy ognisku. Oczywiście podszedł ich bokiem, by go nie zauważyli. Giddinsa od razu rozerwał, ale Renville powstrzymał go płonąca gałęzią. Udało mu się zarzucić na Wendigo linę, przewrócił go i skrepował mu ręce. Potem wskoczył na konia i jechał przez las, wlokąc go za sobą.

Wendigo może biec równie szybko jak najszybszy człowiek i potrafi latać nad drzewami, jeśli nie jest zmęczony. Renville jednak wciąż popędzał konia i demon nie mógł za nim nadążyć. Po niecałych dziesięciu kilometrach zapaliły mu się stopy i zaczął płonąć, a Renville pędził na złamanie karku przez las, ciągnąc go za sobą.

W końcu Wendigo rozpadł się, a jego szczątki płonęły, aż został z nich tylko srebrny popiół. To jedyne znane nam doniesienie mówiące o schwytaniu i zabiciu Wendigo w niemal współczesnych czasach.

- Ten traper zarzucił na niego linę i związał mu ramiona? - spytała Lily. - Jakim cudem tego dokonał?

- Też jestem tego ciekaw - mruknął Shooks. - Przecież Wendigo mógł stanąć do niego krawędzią i Renville nie zobaczyłby go, nie mówiąc już o związaniu go liną. Gdybym to ja był w lesie i pokłócił się po pijaku ze swoim kompanem, po czym zabił go przez przypadek lub naumyślnie, jak bym to wyjaśnił? Wygodniej zwalić wszystko na indiańskiego demona, po którym nie zostało nic poza garścią popiołu, prawda?

- To, czy w to wierzycie, czy nie, to wasza sprawa - odparł Thomas Niedźwiedzia Szata, wzruszając ramionami.

- To jedyne świadectwa, jakie pan zna? - zapytała Lily.

- Nic podobnego. Wśród Indian krąży wiele legend o podobnych spotkaniach z Wendigo. Niestety przekazywano je ustnie i jak to z legendami bywa, z każdym pokoleniem obrastały w coraz więcej ozdobników. Ale w każdej legendzie i opowieści Wendigo uśmiercany jest w ten sam sposób. Należy go związać i wlec za koniem tak długo, aż się zapali. No i modlić się, by ciebie nie dogonił.

\*\*\*

Wrócili do domu Lily. Tasha i Sammy poszli poślizgać się na snowboardzie z małymi Lutmeyerami z naprzeciwka, toteż dorośli mogli spokojnie pogadać.

Lily naląła Shooksowi sporą porcję whisky. Detektyw wypił ją jednym haustem, po czym pokręcił głową.

- Cholera, chyba jestem na to za stary, za bardzo zmęczony i za bardzo pijany.

Dolała mu whisky. Shooks zajrzał do szklaneczki i obwieścił:

- Mimo wszystko zrobię to. To ja wpakowałem cię w to szambo i właśnie ja powinienem cię z niego wyciągnąć.

Usiedli razem przy kuchennym stole.

- Więc jaki mamy plan? - zapytała Lily.

- Hmm... Masz wyciągarkę w swojej terenówce, no nie? Wywlecjemy trochę liny, zrobimy pętlę i zamaskujemy ją śniegiem. Potem podpalimy las. A gdy pojawi się Wendigo, któreś z nas będzie musiało stanąć w pętli i robić za przynętę. Mogę to być ja. Kiedy tylko Wendigo wlezie w pętlę, wdusisz gaz do dechy.

- Ty chyba bardzo chcesz zostać przynętą, co, John?

- Wiesz, jestem o wiele starszy od ciebie. I o wiele bardziej zmęczony życiem. No i nie mam dwójki dzieci. - Detektyw rozparł się na krześle. - Ale nie zamierzam wciskać ci ciemnoty, twoja działka też wcale nie będzie łatwa. Jeśli coś pójdzie nie tak, no... na przykład jeśli walniesz w drzewo, masz przegwizdane. Poza tym może się okazać, że Wendigo potrafi

biec szybciej... i wtedy ciebie też dorwie. Wiesz, te historie, które opowiedział nam Thomas Niedźwiedzia Szata, przekazali ludzie, którzy przeżyli. A ilu nie miało tyle szczęścia co oni?

Lily rozejrzała się po kuchni. Na kredensie stało duże kolorowe zdjęcie, przedstawiające ją razem z dziećmi. Byli odświętnie ubrani, bo Tasha miała wtedy urodziny. Shooks podążył wzrokiem za spojrzeniem Lily, po czym położył dłoń na wierzchu jej dłoni. Zobaczyła na jego serdecznym palcu duży srebrny pierścień z motywem ludzkiej czaszki.

- Zróbmy to - oznajmiła. - Pójdę do Marjorie Lutmeyer i spytam, czy Tasha i Sammy nie mogliby zostać u niej kilka godzin dłużej.

- Jesteś pewna?

- Nie mam chyba innego wyjścia.

- Ale rozumiesz, że jeśli coś się stanie, dzieci już nigdy cię nie zobaczą?

Lily spoglądała na niego w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym kiwnęła głową.

- Tak - powiedziała cicho.

\*\*\*

Ubrali się ciepło. Lily wzięła czarną kurtkę z futrem, a Shooksowi dała starą wiatrówkę Jeffa oraz zieloną czapkę z włóczki.

Wyszli z domu i sprawdzili, jak działa wyciągarka w terenówce. Była zamontowana pod tylnym zderzakiem i według opisu miała linę o udźwigu tysiąca dwustu kilogramów.

W takie wyciągarki wyposażone były samochody większości sąsiadów i znajomych Lily, na wypadek gdyby trzeba było pomóc komuś, kto zimą zakopał się na drodze.

Otworzyła bramę garażu, a Shooks wyniósł z niego pięciogalonową bańkę benzyny, którą włożył do bagażnika. Kwadrans po czwartej byli gotowi do drogi.

- Masz broń? - zapytała Lily, wyprowadzając wóz z podjazdu.

- No jasne. Ale nie jestem najlepszym strzelcem w Ameryce. Zresztą co można zrobić Wendigo zwykłą spluwą?

- Nie myślałam o Wendigo.

- A, rozumiem. O George'u?

- Jak już pozbedziemy się Wendigo, chcę, by George i Hazawin odnaleźli małego Williama. W razie gdyby trzeba było ich do tego nakłaniać, muszę mieć pod ręką mocny argument.

- Się wie. Kiedy celuję w faceta, to wierz mi, czuje się nakłoniony. Prawdopodobnie dlatego, że lufa mi wtedy lata jak jasna cholera.

Było tak ciemno, że dzień przypominał środek nocy. Gdy wyjeżdżali z miasta, kierując się na południe, na niebie od strony Doliny Czarnych Kruków pojawił się stożek czerwonego światła. Wyglądał jak krwawiąca rana w chmurach.

- Czerwone niebo nocą... Czy to przypadkiem czegoś nie oznacza? - zapytała Lily.

- Pewnie, że tak. Oznacza, że trzeba siedzieć w domu, schować się pod kołdrę i nie denerwować indiańskich duchów, mających skłonność do rozszarpywania ludzi na strzępy - odparł Shooks.

Skręcili na drogę wiodącą przez las do domu George'a Żelaznego Piechura. Wóz podskakiwał i kołysał się w czerwonym półmroku. Shooks wygwizdywał przez zęby melodię piosenki *Hotel California*.

„Możesz zamieszkać tu, kiedy chcesz, lecz nigdy go nie opuścisz...”.

W końcu pokonali wzniesienie i ujrzeli w dole światła chaty George'a Żelaznego Piechura.

- Pojedź kawałek w górę zbocza - powiedział Shooks. - Nie może zobaczyć, że tu jesteśmy, w każdym razie nie teraz. Powinien zauważyć nas dopiero wtedy, gdy zrobimy ognisko z lasu.

Lily ruszyła w górę zbocza pod ostrym kątem, trzymając się jak najbliżej drzew. Wreszcie stanęła i ustawiła wóz w kierunku, z którego przyjechali. Mimo łańcuchów opony ślizgały się z wizgiem, lecz manewr w końcu się udał.

Detektyw wysiadł z samochodu i podszedł do tylnego zderzaka. Lily wcisnęła przycisk zwalniający linę wyciągarki. Shooks ułożył z niej trzymetrowej średnicy pętlę, zamykając ją ruchomym zaciskiem w taki sposób, by po pociągnięciu zacisnęła się jak lasso. Na koniec wyjął z bagażnika łopatę i starannie zamaskował pułapkę.

Lily wysiadła i podeszła do niego.

- Słyszysz? - zapytał. - Mówi się, że w lesie jest cicho. Posłuchaj tylko.

Usłyszała delikatne stukanie gałęzi, trzepot ptasich skrzydeł oraz mnóstwo trzasków i tupotów. Słyszała też muzykę, dochodzącą z domu George'a Żelaznego Piechura. Była to samba. Jej dźwięki wydawały się tak niesamowite w tej sytuacji, że Lily zadrżała ze strachu.

- Zatańczymy? - zażartował Shooks bez cienia uśmiechu na twarzy.

- Taaa... Lepiej bierzmy się do roboty.

- Dobra. Wskakuj do wozu i zapuść silnik. Ja podpalę las, a potem czekamy, aż pojawi się Wendigo. O ile w ogóle się pokaże, choć czuję w pęcherzu, że tak. W końcu to jego dom, tu mieszka. Jeżeli zniszczymy jego kryjówkę, z pewnością się do nas zabierze.

- Boję się o Williama. Wendigo ukrywa go gdzieś tutaj. Nie chcę, żeby coś mu się stało.

- Lily, nie mam pojęcia, co się może wydarzyć. Znam się na tych innych światach tak samo jak ty.

- John... bądź ostrożny - powiedziała Lily.

- Przecież będę. Może i jestem lekkomyślny, ale nie głupi. W końcu jakoś przeżyłem aż do dziś, no nie? Ty też uważaj na siebie. Kiedy dam ci znać, pojedziesz dwa razy szybciej, niż jechałaś kiedykolwiek w życiu, i nie zatrzymuj się, dopóki nie zostanie z niego popiół. Potem wróc po mnie.

Lily wskoczyła za kierownicę. Widziała w lusterku, jak Shooks brnie przez śnieg i oblewa pnie drzew benzyną. Wreszcie wrócił i włożył pustą bańkę do bagażnika.

- Pamiętaj, kiedy krzyknę, masz wiać, jakby gonił cię sam diabeł - powiedział, po czym zatrasnął bagażnik.

\*\*\*

Lily siedziała za kierownicą, miała otwarte okna. Wiatr zdawał się łagodnie wygrywać nuty melodii *Hotel California* - jakby podchwycił je od Shooksa - i powtarzał je bez przerwy.

Rzuciła okiem w lusterko wsteczne. Czyste wariactwo, pomyślała. Ale była zdeterminowana jak nigdy przedtem, i było to prawdopodobnie najintensywniejsze uczucie, jakiego doświadczyła w życiu. Chciała uratować siebie i dzieci oraz zemścić się na Wendigo za Agnes i Neda.

Gwałtowny wybuch ognia zaskoczył ją całkowicie. Wspomnienie niedawnych zdarzeń skrzyło jej żołądek. Znow zobaczyła maski, kuchnię i krzesło.

Prawie jednocześnie, w odstępnie zaledwie sekund, co najmniej piętnaście sosen stanęło w ogniu. Płomienie tańczyły wzdłuż i wokół pni, przypalając gałęzie.

- Juhuuuu! Juhuuuuuu! - darł się Shooks. - Wyłaż, Wendigo, twój las się pali! No pokaż się, ty dwuwymiarowa kupo gówna! Chcesz, żeby cały las ci się sfajczył? Halo, kolego, wiatr sprzyja ogniewi! Wyłaż!

Wiatr rzeczywiście pomagał płomieniom. Wiał z północnego zachodu i odkąd przyjechali, stale się wzmagał. Ogień zamieniał drzewa w trzydziestometrowe pochodnie, a gdy docierał do gałęzi w koronach, przeskakiwał z jednej na drugą niczym wielkie stado wiewiórek.

Powietrze zgęstniało od żywicznego dymu, trzask płonących gałęzi niemal ogłuszał.

- Juhuuuuuu! Wendigo, pokaż się! No, wyłaż!

Lily zerknęła na dom George'a Żelaznego Piechura. W tej samej chwili otworzyły się w nim drzwi i ze środka na ganek wylało się światło. Modliła się, by Wendigo się pojawił, zanim George do nich dotrze i połapie się, co robią.

Im gwałtowniej płonęły sosny, tym bardziej wzrastał wiatr, jakby chciał nakarmić ogień tlenem. Po kilku minutach Lily widziała za sobą tylko ścianę ognia, a na jej tle tańczącą i machającą rękoma sylwetkę Shooksa.

- Wyłaż, Wendigo! Wyłaż z lasu!

Spojrzała w dół zbocza. Dom George'a stał za daleko, by dokładnie widzieć szczegóły, ale spostrzegła, że w jego subaru zapalają się światła stopu, po czym wóz cofnął się i zaczął zawracać.

- John! - krzyknęła do Shooksa. - John! George tu jedzie! Słyszysz mnie, John?!

- Co?!

- George tu jedzie! George!

Shooks przyłożył dłoń do ucha na znak, że jej nie słyszy. Lily widziała już reflektory samochodu George'a. Jechał w ich stronę.

Wzdłuż stoku płonęły już wszystkie sosny, a płomienie strzelały prawie na dwadzieścia metrów w niebo ponad koronami drzew. Mimo śniegu i mrozu żar był przerażający, niemal opalał Lily brwi.

Nie wiedziała, co robić. Jeśli George dotrze do nich przed Wendigo, prawdopodobnie będzie chciał ich powstrzymać, a jeśli nie on, zrobi to Hazawin. Bóg jeden wie, do czego zdolna była ta dziewczyna. Po spotkaniu ze zjawami wilków Lily zaczęła się jej bać.

- John! - krzyknęła znów, ale jej nie usłyszał. Zaczęła wysiadać z terenówki. Shooks zniknął na chwilę w obłoku dymu i iskier.

- John! George tu jedzie!

Znów zobaczyła Shooksa. Tym razem usłyszał ją i odwrócił się.

W tej samej chwili dostrzegła wśród dymu błysk srebrzystego światła, który zniknął, nim zdołała przyjrzeć mu się dokładniej.

- Co się dzieje?! - zawołał Shooks.

Lily wpatrywała się w obłoki dymu. Znów zobaczyła błysk światła, po czym przez huk ognia przebił się znajomy syk.

- Wendigo! - wrzasnęła, wskazując palcem na chmurę dymu.

- Co?!

- Wendigo tu jest! Jest tuż za tobą!

Shooks odwrócił się gwałtownie. Przez ułamek sekundy Lily widziała, jak zbliża się do niego wysoka postać o jelenich rogach i zwierzęcym pysku, z nieforemnymi ramionami. Zjawa pojawiła się na chwilę, po czym stanęła bokiem i zniknęła.

- On tu jest! John! On tu jest!

- Lily, wracaj do wozu! Zaraz ruszysz!

Znów wskoczyła za kierownicę, zatrzasnęła drzwi i włączyła silnik. Spojrzała z przerażeniem w lusterko. Shooks, pochylony, skakał to w lewo, to w prawo. Lily odwróciła się, chcąc zobaczyć, gdzie znajduje się Wendigo, ale płomienie były tak silne, że musiała osłonić oczy dłonią.

Shooks robił zwody niczym futbolista szukający przerwy w linii obrony. Wyrzucił na bok najpierw jedno, a potem drugie ramię. Nie miał pojęcia, gdzie jest Wendigo ani jak blisko się znajduje.

Lily znów spojrzała w lusterko i z przerażeniem ujrzała, że koszmarna postać stoi niecały metr od Shooksa. Widziała ją, bo stała przodem do niej, ale krawędzią do Shooksa.

- John! - wrzasnęła, waląc w klakson. - John, uciekaj!

Shooks spojrzał na nią. Krzyczał coś, ale nie słyszała go. Wyglądał bardziej na podnieconego niż przestraszonego.

Nagle Wendigo prawie niezauważalnym ruchem złapał detektywa za przód kurtki. Szpony demona przebiły nylonowy wierzch okrycia, a potem przebiły podpinkę i klatkę piersiową Shooksa. Lily zobaczyła tryskające z niej strumienie krwi, po czym spod żeber wylały się żołądek, wątroba i kaskada jelit.

Detektywa wyrzuciło w powietrze, zniknął z jej pola widzenia, ciągnąc za sobą wnętrzości. Wendigo złapał go i porozrywał zaledwie w kilka sekund.

Lily była tak wstrząśnięta, że nie mogła oddychać. Wcisnęła gaz do dechy. Silnik ryknął, lecz koła obracały się w miejscu jeszcze przez pięć przerażających sekund i dopiero potem wóz wystrzelił naprzód. Na wpół oślepiona dymem, Lily nie spuszczała nogi z gazu i pędziła w dół zaśnieżonego zbocza z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę. Rainer podskakiwał, szarpał i walił zawieszonym o ziemię. Mimo to nie zwalniała, nawet wtedy, gdy omal nie wpadła do rowu na poboczu.

Samochód uderzył kołami o powierzchnię drogi i w tej samej chwili z dymu wyłoniło się subaru George'a. Rainer z łoskotem walnął je bokiem. Wóz George'a wyleciał z drogi i wylądował na płocie na poboczu.



Lily nie widziała już nic więcej. Była zbyt zajęta walką z kierownicą, próbując wyjść z poślizgu. Gdy wreszcie wyprostowała wóz, wcisnęła gaz do oporu i jechała tak szybko, jak tylko się dało. Samochód tańczył od pobocza do pobocza, drąc łańcuchami lód.

Parę kilometrów dalej zwolniła i spojrzała za siebie. Płonący las wyglądał jak falująca w ciemnościach ognista flaga. Nie dostrzegła za sobą terenówki George'a, więc uznała, że chyba za nią nie jedzie. Jej serce tłukło się boleśnie w klatce piersiowej. Musiała odetchnąć głęboko parę razy, nim się uspokoiło. John...

Chyba musiał wiedzieć, że ich plan nie miał szans powodzenia, nawet jeżeli niezupełnie zdawał sobie sprawę z tego, jak szybki i nieuchwytny jest Wendigo, jak błyskawicznie potrafi rozplatać człowieka.

Lily nie wiedziała, co ma począć. Jechała dalej, choć już znacznie wolniej. W jej głowie wirowały obrazy ognia, drzew, biegnących wilków, uśmiechającego się George'a Żelaznego Piechura i Wendigo, ducha lasów.

Gdy wjechała na drogę numer 169 i skierowała się w stronę Twin Cities, usłyszała zgrzytliwy metaliczny dźwięk. Zatrzymała się kilkaset metrów dalej i poszła obejrzeć tył wozu. Lina wyciągarki leżała na asfalcie. Lily wróciła do kabiny i włączyła wyciągarke, by ją zwinąć. Z zacisku, którym Shooks zamknął pętlę, zwisało coś, co wyglądało jak różowo-brązowy krawat. Gdy Lily chciała ściągnąć tę rzecz z liny, zrozumiała, że to fragment jelit detektywa.

Pochyliła się nad poboczem i wyrzuciła z siebie gorzki strumień kawy i naleśników.

## **ROZDZIAŁ 16**

Wieczorem poszła do dzieci, by pocałować je na dobranoc.

- Gdzie dziś byłaś? - zapytała Tasha.

- Hmm. Pojechaliśmy do kogoś, kto być może wie, dokąd zabrano Williama i jak go odnaleźć.

- I wie?

- Nie umiem ci powiedzieć. To nie takie proste, kochanie.

- Ale Wendigo nie będzie już nas gonił? Lily przysiadła na skraju łóżka.

- Nie martw się. Wiem, że to wszystko bardzo cię przstraszyło. Dopilnuję, żeby Wendigo sobie poszedł i już nikogo nie skrzywdził.

- Jak?

Lily uśmiechnęła się, pochyliła i cmoknęła Tashę w czoło.

- Już ja znajdę jakiś sposób.

Jeśli taki sposób w ogóle istnieje, dokończyła w myślach i zamknęła za sobą drzwi.

\*\*\*

Zajrzała do pokoju Sammy'ego. Spał już mocno. Po ostatnich przejściach lekarze przepisali dzieciom ambien, po którym chłopiec w ciągu kilku minut zasypiał jak kamień.

Nie spał już jak kiedyś, rozłożony na kołdrze, lecz zwijał się teraz w ciasny kłębek, jakby nie chciał zostawić nawet najmniejszej szparki, którą mógłby wślizgnąć się Wendigo.

Lily zeszła powoli na dół, do pokoju dziennego, i nałała sobie kieliszek wina. Nigdy dotąd nie czuła się tak rozbita i samotna. W wiadomościach nadal nie było nic o pożarze w Dolinie Czarnych Kruków ani o tym, że znaleziono w lesie ciało Shooksa. Ale w końcu ktoś go zacznie szukać. Miał przecież mnóstwo krewnych, zarówno wśród białych, jak i Indian, i prędzej czy później dowiedzą się, że ostatni raz widziano go właśnie z nią.

Czuła się jak obłożona klątwą. Miała wrażenie, że każdego, kto się z nią zetknie, spotyka nieszczęście. Pomyślała, że sprowadza cierpienia na wszystkich swoich bliskich, zwłaszcza na Sammy'ego i Tashę. Jej dzieci, zestresowane i zastraszone, spały tylko dlatego, że podawała im prochy. Uważała, że to wszystko jej wina.

Zegar w korytarzu wybił dziesiątą. Gdy przebrzmiał ostatni kurant, zadzwonił telefon. Lily aż podskoczyła.

- Lily? - odezwał się głos po drugiej stronie.

- Tak, to ja. Kto mówi?

- George. - Indianin był bardzo spokojny. I właśnie dlatego jego głos brzmiał o wiele groźniej, niż gdyby krzyczał.

Nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co mu powiedzieć.

- Lily, jesteś tam? Nieźle mi dziś urządziłaś samochód. Narobiliście z Shooksem niezłego bałaganu. Dobrze, że drzewa same zgasły. Departament Zasobów Naturalnych Minnesoty nie patrzy przychylnym okiem na podpalaczy.

- Shooks nie żyje... - Głos Lily trząsał się z rozpacz. - Ten twój upiór rozszarpał go na kawałki na moich oczach.

- Wendigo, tak? Wendigo to nie mój upiór, Lily, ale twój. To ty chciałaś go przywołać. Możesz tylko sobie podziękować za to, co się później wydarzyło.

Lily przełknęła ślinę, odetchnęła głęboko i zapytała:

- Czy jest w ogóle sens prosić cię o cokolwiek?

- A o co chcesz mnie prosić? O więcej czasu? Przykro mi, Lily. Jutro jest ostatnia noc Miesiąca Oślepionego Śniegiem. Dla Mdewekantonów to szczególna data. Muszę mieć tę ziemię przed Miesiącem Wschodzących Czerwonych Traw.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Nawet nie przypuszczałem, że zrozumiesz. Posłuchaj, Haokah, bóg łowów, może pojawiać się w świecie śmiertelników tylko dwa razy w roku, w pierwszą noc Miesiąca Spadających Liści oraz ostatniego dnia Miesiąca Oślepionego Śniegiem. Te dni wyznaczają początek i koniec zimy. Na jej początku Haokah odkłada włócznie, a pod koniec znów wyrusza z nią na łowy. Haokah objawił się Małemu Krukowi pierwszego dnia Miesiąca Spadających Liści. Obwieścił mu wtedy, że stracimy nasze ziemie, gdy odłoży swą włócznie, i tak też się stało. Jutro jest ostatni dzień Miesiąca Oślepionego Śniegiem. Jeżeli odzyskamy tę ziemię, zanim Haokah znów weźmie swoją myśliwską włócznie, to według legendy nie stracimy jej już nigdy.

- George! Mamy dwudziesty pierwszy wiek! To są przesady! Na Boga, czy ty nie rozumiesz, że zginęli ludzie?!

- Zginęli też moi ludzie, po tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku. I to nie trzech czy czterech, ale całe setki! To był mój lud! Moja krew i moje ciało! Podstępem odebrano im ziemię, głodzono ich, wieszano i rozstrzeliwano! Czy sądzisz, że skoro to było tak dawno temu, zapomnieliśmy o tym albo wam przebaczyliśmy?

- George, błagam cię. Nie mogę zdobyć tej ziemi dla ciebie. To niemożliwe.

- Na tym świecie wszystko jest możliwe - oświadczył George i rozłączył się.

Lily próbowała do niego oddzwonić, lecz linia przez cały czas była zajęta. I tak nie miałyby to sensu, pomyślała. On nie kieruje się rozsądkiem, nie wysłucha żadnych błagań. Nie posłucha nikogo ani niczego. Thomas Niedźwiedzia Szata mówił prawdę: George Żelazny Piechur miał w sobie coś mrocznego. Coś pradawnego.

Dołożyła do kominka jeszcze dwa polana. Czują się wyczerpana, ale nie chciała iść spać. Specjalnie nie poprosiła lekarza, by przepisał jej coś na sen, bo bała się, że zaśnie zbyt głęboko i w ten sposób pozostawi dzieci bez opieki. Nie łudziła się jednak, że w razie czego dałaby radę obronić je przed Wendigo.

\*\*\*

Znów zadzwonił telefon.

- George - powiedziała Lily do słuchawki. - Posłuchaj...

- Lii? Nie obudziłem cię?

Dzwonił Bennie. Był pijany. Gdzieś w tle śpiewał Frank Sinatra.

„Poleć ze mną... polećmy, odlećmy stąd...”

- Ach, to ty, Bennie. Myślałam, że to dzwoni ktoś inny. Nie, nie obudziłeś mnie. Prawdę mówiąc, ostatnio nie śpiam zbyt wiele.

- Lii, jestem nieco wstawiony. Chciałem cię przeprosić za tę sprawę z jeziorem Mystery. Wiesz, zamierzałem ci zaimponować, a wyszedłem na kretyna. Przepraszam. Mam nadzieję, że nadal będziemy przyjaciółmi.

- Bennie, narobiłeś mi masę kłopotów. Nawet nie wiesz jak wielu.

- Lily, przecież nie chciałem niczyjej krzywdy. Naprawdę.

- Już dobrze. Stało się i się nie odstanie.

- Postawię ci obiad. Co ty na to?

- Nie, dziękuję. Ale doceniam zaproszenie.

Milczał przez chwilę. Lily niemal widziała, jak się zatacza.

- Kończę już - dodała. - Dobranoc.

- Wiesz co? - powiedział Bennie. - Szperałem dziś po południu w dokumentacji osiedla nad jeziorem Mystery. No i znalazłem akt własności do tego spłachetka ziemi. Właściwie to kopię. Kraussman musiał dokupić tę ziemię oddzielnie, bo była własnością stanu. Cholera, szkoda, że dorwał się do niej wcześniej. Gdyby ta ziemia nadal należała do państwa...

- Wiem - przerwała mu Lily. - Niestety to on ją ma i nie chce się z nią rozstać. I nic na to nie poradzimy.

- To burak.

- Wiem o tym. Dobranoc, Bennie.

- Zawsze tak uważałem. Kraussman to burak pierwszej klasy, i to ze świadectwem jakości Departamentu Rolnictwa.

- Bennie! Dobranoc!

\*\*\*

Dopiła wino i postanowiła mimo wszystko trochę się przespać. Tej nocy w domu było niezwykle cicho, choć słyszała delikatne stukanie gałęzi w zewnętrzne ściany. Kiedy chciała wejść na schody, niespodziewanie usłyszała cichutki syk.

Stała z ręką na poręczy schodów i zaczęła nasłuchiwać. Cisza, przerywana tylko miarowym stukaniem gałęzi. Ale gdy ruszyła po schodach, znów go usłyszała.

Syk nie był głośny, w niczym nie przypominał przeraźliwego, podobnego do odgłosu pneumatycznych hamulców ciężarówki dźwięku, który towarzyszył atakowi Wendigo

podczas jazdy na lotnisko. Był cichy, podobny do szumu wydobywającego się z czyichś ust powietrza albo szmeru piasku rozsypywanego na schodach.

Lily rozejrzała się. Poczula na plecach dreszcz, zamrowiły ją dłonie. Na schodach nie było nikogo, nie było też żadnego piasku. Syk trwał nadal i nagle Lily poczuła, że nie jest sama.

Powstrzymywała się ostatkiem woli, by nie rzucić się biegiem po schodach - ale pokonała je szybkim, sztywnym krokiem. Przemierzyła podest, weszła do swojej sypialni i szybko zamknęła za sobą drzwi na klucz. W lustrzanych drzwiach szafy ujrzała swoje odbicie. Zdziwiła się, że jest tak straszne. Wyglądam jak wariatka, pomyślała.

Przez chwilę stała, nasłuchując. Syk ustał. Doszła do wniosku, że pewnie była to tylko gra wyobraźni. Albo szumiąca w uszach krew.

Odczekała ponad minutę, a potem usiadła na łóżku i nasłuchiwała jeszcze przez kilka minut. W końcu uznała, że nawet jeżeli faktycznie coś było w domu, teraz już tego nie ma.

Wstała i ściągnęła gruby kremowy sweter oraz czarne dzinsy. Przeszła do łazienki, włączyła światło i odkręciła wodę pod prysznicem. Zawsze trzeba było chwilę poczekać na ciepłą wodę, szczególnie zimą.

Zdjęła stanik i grube bawełniane majtki, po czym otuliła się szlafrokiem w szkocką kratę. Przyjrzała się sobie dokładnie w lustrze apteczki nad umywalką.

Jesteś wykończona, pomyślała.

Jej włosy nieco już odrosły: miały dobre dwa centymetry długości, ale sprawiały wrażenie cieńszych i jakby bardziej sterczały. Jak ją Bennie nazwał? Leśnym skrzatem.

Kiedy zamierzała zdjąć szlafrok i wejść pod prysznic, kątem oka dostrzegła rozbłysk światła w sypialni. Był tak krótki, że przez chwilę sądziła, że jej się przywidziało. Jednak po chwili światło znów błysnęło, potem kolejny raz. Przypominało migoczący ogień bagieny.

Nadstawiła uszu. Nie słyszała żadnego syku, ale prysznic strasznie hałasował. Powoli sięgnęła do apteczki i uchyliła jej drzwiczki tak, by lustro celowało w drzwi szafy w jej pokoju.

Niewiele brakowało, a wrzasnęłyby ze strachu, lecz zdążyła zatkać sobie usta dłonią. W lustrze apteczki wyraźnie widziała wysoką postać, która stała w kącie sypialni, tuż przy jej łóżku. Lily nie bardzo wiedziała, co właściwie odbija się w lustrze, bo postać zmieniała się nieustannie. Miała ludzką twarz, mimo kanciastych i wydłużonych rysów, i chyba miała zajęczą wargę, choć równie dobrze mógł to być cień pod nosem. Czarne błyszczące oczy nieustannie strzelały na boki, jakby nie mogły się na niczym skupić. Postać stała na dwóch

nogach i miała rogi, podobne do jelenich, a wąska klatka piersiowa również bardziej przypominała pierś jelenia niż człowieka.

Obraz postaci falował i skakał niczym sygnał w telewizorze, który automatycznie sam się dostraja. Lily znowu usłyszała syk, niewiele głośniejszy niż wtedy na schodach, ale bardzo wyraźny.

Tak się kończy moje życie, pomyślała. Zostanę rozdarta na strzępy we własnym domu przez mitycznego stwora i nikt się nigdy nie dowie, co mi się naprawdę przytrafiło. Miała tylko nadzieję, że Wendigo nie zabije przy okazji Tashy i Sammy'ego.

Wendigo stanął bokiem i zniknął z odbicia w lusterku, jakby nigdy go nie było. Ale kiedy Lily spojrzała w lustro szafy, nadal go widziała. Twarz upiora zmieniała się, ciało również przechodziło całą serię metamorfoz, jedna po drugiej. Lily jak zaczarowana patrzyła na niego i nagle w jakimś rozbłysku pojęła, czym Wendiego był: tym wszystkim, co powinno składać się na ducha lasu - ludźmi, zwierzętami, owadami i migotliwym światłem dnia między gałęziami. Wendigo nie był duchem z lasu, jak mówił o nim Thomas Niedźwiedzia Szata. Wendigo był lasem.

Upiór znów stanął bokiem, pojawiając się w lustrze apteczki. Patrzył wprost na Lily. Zrozumiała, że ją zauważył.

Proszę, zrób to szybko. Niech za bardzo nie boli. Agnes umarła tak szybko, że nawet nie zauważyła, co się stało. Niech i ja tak umrę, błagam.

Wendigo nie ruszył się jednak z miejsca. Wciąż wbijał w nią wzrok, a im dłużej patrzył, tym większa panika ogarniała Lily. Grecy utworzyli słowo panika od imienia leśnego bożka Pana. Panika oznaczała strach przed bezludnymi miejscami, takimi jak lasy, oznaczała uczucie bezradności i zagubienia. Właśnie tak jak teraz.

Lily zaczęła szybko oddychać. Dłonią ucisnęła pierś, by zapanować nad tempem oddechu. Czowała, jak ogarniają ciemność, taka ciemność pojawiająca się tuż przed omdleniem.

Wendigo znów stanął bokiem i zniknął z odbicia w lusterku apteczki. Lily błyskawicznie przerzuciła spojrzenie na lustro w sypialni. Zdażyła zobaczyć, jak demon składa się niczym origami, lecz nie z papieru, a ze strumieni światła. Po chwili zamienił się w nakreślony światłem na dywanie geometryczny wzór i zniknął w szparze pod drzwiami.

Lily rzuciła się przez sypialnię i pędem pobiegła do dzieci. Spały sobie spokojnie, całe i zdrowe.

Wróciła do łazienki, stanęła przed lustrem apteczki i długo wpatrywała się w swoje odbicie, próbując uporządkować myśli. Odczuwała teraz mieszaninę strachu i ulgi. A także czegoś zupełnie nowego. Zaczynała rozumieć, czym była Ameryka przed przybyciem

białych. Zaczynała rozumieć, dlaczego George Żelazny Piechur tak bardzo pragnął ziemi nad jeziorem Mystery. Do tej pory nie zastanawiała się nad pragnieniami i uczuciami Indian i nie czuła wobec nich żadnego sentymentu - zwłaszcza po tym, co zaszło w ciągu ostatnich dni - teraz jednak ogarnął ją niepokój. Miała wrażenie, że znajomy świat usuwa jej się spod nóg.

Po dłuższej chwili rozebrała się i weszła pod prysznic. Zastanawiała się, czy Wendigo przybył tu z własnej woli, aby ją ostrzec, czy może nasłali go George i Hazawin, by ją nastraszyć.

Odkryła również coś ważnego. Nawet gdyby Wendigo stanął krawędzią do obserwatora, i tak można było go zobaczyć, jeśli znalazłby się naprzeciwko dwóch luster, ustawionych do siebie pod kątem. A gdyby otaczały go trzy lub cztery lustra, nigdy nie mógłby stać się niewidzialny.

Wytarła się ręcznikiem, włożyła ciepłą różową koszulę nocną i położyła się do łóżka, ale jeszcze przez kilka godzin nie mogła zasnąć. Kiedy w końcu zasnęła, śniło jej się, że widzi przesuwające się po suficie sypialni cienie w kształcie poroża.

*Są przed domem* - powiedział Bennie w jej śnie. - *Są przed domem i idą po ciebie.*  
*Przepraszam cię za to.*

\*\*\*

Obudziła się dwadzieścia po siódmej. Zanim zeszła na dół, zajrzała do dzieci. Sammy nadal spał, a Tasha właśnie wciągała dzinsy.

- Dobrze spałaś? - zapytała ją Lily. Dziewczynka pokiwała głową.

- W każdym razie nie śniło mi się nic strasznego. Lily zeszła na dół i nasypała kawy do ekspresu. Światło poranka, blade i zimne, wyssało ze wszystkiego kolory i kuchnia wyglądała jak na wyblakłej czarno-białej fotografii z lat pięćdziesiątych. Lily wyjrzała na podwórko. Śnieg już topniał, z oświetlonych słońcem gałęzi drzew kapą woda.

Śnieg na podwórzu przecinały we wszystkich kierunkach ślady łap. Prawdopodobnie zostawiły je bezpańskie psy, szukające resztek jedzenia. Lily spojrzała na zegar i uświadomiła sobie, że do zachodu ma tylko jedenaście godzin. Jak ja złapię Wendigo do tego czasu? - pomyślała.

Nie wiedziała, czy przy dostatecznej liczbie luster zobaczy Wendigo stojącego przodem lub bokiem. Lustra należałoby ustawić w odpowiednich miejscach. Jak miała sprawić, by demon wszedł w jej pole widzenia? A jeśli już wejdzie, to co potem? Jak miała go złapać liną od wyciągarki? A jeśli pętla nie złapie go za kostki? Wtedy Wendigo ją dopadnie, zanim się połapie, co się dzieje. Obracała w kółko te pytania w głowie, próbując wymyślić

sposób zwabienia Wendigo do miejsca, w którym będzie mogła go zobaczyć, schwycić i powlec za samochodem.

W końcu doszła do wniosku, że sama sobie nie poradzi.

Podeszła do niej Tasha i objęła ją od tyłu w pasie.

- Mamo, wszystko będzie dobrze?

- No pewnie. Zobaczysz!

- Może powinnaś zadzwonić do tych panów z FBI, żeby nam pomogli. Może ci nie uwierzą, ale przynajmniej nie pozwolą, żeby coś złego się stało.

- Nic nam nie będzie. W końcu pod domem siedzą policjanci, prawda?

- No tak. Ale jeśli Wendigo tu wejdzie, a oni go nie zauważą?

- Tasha, obiecuję ci, że nic nam się nie stanie.

Do tej pory nigdy nie oszukiwała dzieci, nawet w najtrudniejszych chwilach, podczas rozvodu z Jeffem. Ale dzisiejszego ranka nie mogła, nie potrafiła znaleźć słów, by przekazać córce, jak bardzo się boi. Tymczasem duża wskazówka nieubłaganie pokonywała tarczę kuchennego zegara, minuta po minucie, zatrzymując się na każdej z leciutkim drzeniem.

Lily naląła sobie kawy, lecz tak naprawdę miała ochotę na podwójną whisky. Co do cholery powinna teraz zrobić? Zamykanie drzwi na klucz nie miało sensu. Nie miała też sensu ucieczka. Nie było sposobu, by uciec od tego, co musiało nadejść, nie można było zatrzymać czasu.

Pomyślała sobie, że tak właśnie muszą się czuć skazani na śmierć w dniu egzekucji.

Patrzyła na jedzącą płatki Tashę. Widok córki niemal złamał jej serce. Życie dzieci, dla których powinna być oparciem, opoką, zostało zagrożone tylko dlatego, że kierowały nią egoistyczne pobudki. Na pewno byłoby dla nich lepiej, gdyby spędziły resztę życia z Jeffem, bawiąc się w słońcu i powoli zapominając o matce.

Gdyby był ktoś, do kogo mogłaby się zwrócić. Ktoś silny, kto potrafiłby ją ochronić. Być może Tasha miała rację, może agenci umieliby jej pomóc. Przynajmniej jeden z nich.

\*\*\*

Agent Kellog przyjechał po jedenastej. Był blady i wymęczony, jakby nie spał całą noc. Zimne poranne powietrze sprawiało, że wciąż kaszłał.

- Co słyhać? - zapytał. Strząsając śnieg z butów, zaszurał nogami o wycieraczkę.

- Chcesz kawy?

- Jasne. Nie zaprosiłaś mnie tu prywatnie?

- Aż tak to widać?

- Pracuję w FBI od piętnastu lat. Po twoim głosie zorientowałem się, o co chodzi.



- Po głosie? - zdziwiła się Lily.

- Po takim bardzo specyficznym tonie, którym zaczynają mówić podejrzani, gdy chcą wyrzucić z siebie prawdę. Oczywiście nie zrozum mnie źle, nie jesteś o nic podejrzana, jednak chcesz mi coś powiedzieć, prawda?

Zaprowadziła go do kuchni i wyjęła z kredensu niebieski porcelanowy kubek.

- Chciałabym, żebyś mi pomógł.

Agent zatrzymał się w drzwiach. Nie zdjął jeszcze swojego szarego płaszcza.

- Dobrze - oświadczył.

- Muszę ci o czymś opowiedzieć. Prawdopodobnie nie uwierzysz w ani jedno słowo, choć powinienes, bo wyjaśni ci to wszystko, co się wydarzyło, nawet jeżeli moja opowieść nie będzie brzmiała sensownie.

Kellog czekał w milczeniu.

- Myślałam, że sama sobie z tym poradzę, ale się myliłam. A teraz potwornie się boję.

- Lily nałala do kubka kawy z ekspresu. Nagle w jej oczach pojawiły się łzy, a ręka zaczęła tak bardzo drżeć, że musiała odstawić ekspres na stół.

- Przestań się mazać - powiedziała do siebie. - Po prostu przestań.

Kellog podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

- Usiądź i opowiedz mi wszystko. Podsunął jej krzesło. Lily usiadła.

- Jestem głupia. Jestem cholernie głupia. A płacz i tak mi nie pomoże.

- Wyrzuć to z siebie. Co się stało?

Z wahaniem opowiedziała mu o Wendigo. Kellog siedział przy niej i trzymał ją za rękę. Nie potakiwał, nie przerywał ani o nic nie pytał.

- To już wszystko - zakończyła Lily swoją opowieść. - Teraz w ciągu dziesięciu godzin albo muszę zdobyć tę ziemię, albo wykombinować, jak zniszczyć Wendigo. Mam tylko dwa wyjścia, ale nie potrafię... nie mam możliwości z żadnej skorzystać.

- To ty podpaliłaś ten las w Dolinie Czarnych Kruków ubiegłej nocy? Ty i Shooks? - spytał Kellog.

- Czuję się z tego powodu okropnie. To tak, jakbym sama go zabiła.

- No cóż. Nie rozpaczałbym za bardzo po poczciwym panie Shooksie. W Twin City znalazłoby się więcej ludzi, którzy życzyliby mu śmierci, niż takich, którzy chcieliby go widzieć żywym.

- Wierzysz mi? - zapytała Lily.

- W co, w tę historię o Wendigo? To tłumaczy wszystko, co się stało, nawet jeżeli twoja opowieść nie ma sensu, sama tak powiedziałaś. Nie wierzę w duchy ani zjawy, ale z

drugiej strony, co innego może rozerwać człowieka na strzępy i latać w powietrzu, ciągnąc za sobą wnętrzności? Co potrafi zgnieść stojącą na środku szosy terenówkę jak puszkę po piwie?

- Czuję, że to moja wina - powiedziała Lily. - Oni zginęli przeze mnie. I nadal nie mam pojęcia, co się dzieje z malutkim Williamem.

Kellog dopił resztę już zimnej kawy. Odchylił się do tyłu na krześle, oparł wygodnie i oświadczył:

- No dobrze. Założmy, że ci wierzę.

- Nathan, to prawda. Przysięgam. Chyba że zwariowałam i to wszystko tylko mi się przywidziało.

- Lily, ja też widziałem ciała. Widziałem samochód twojej siostry. To nie były złudzenia. Może istnieje inne wyjaśnienie tego, jak ci ludzie zginęli i jak zmiażdżyło samochód, ale póki co, nie znamy go. Tak więc do chwili, kiedy go nie odkryjemy, gotów jestem działać z założeniem, że to sprawka Wendigo.

Poczuła tak wielką ulgę, że zabrakło jej słów. Kellog uścisnął jej ramię.

- Pomogę ci, Lily.

- Dziękuję. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Zawsze starałem się mieć otwarty umysł. Dick Rylance mówił nawet, że powinni mnie przydzielić do Archiwum X. Uprzedzam tylko, że będę działał sam. Mój partner Dick jest sceptykiem. Jeśli powiesz mu, że ogień jest gorący, nie uwierzy, dopóki sam nie wsadzi ręki w płomień. I dlatego nie sądzę, żeby popędził szukać jakiegoś indiańskiego leśnego ducha, chyba że przedstawiś niepodważalny dowód, który pozwoli mu uwierzyć w jego istnienie. Gdybym poszedł z tym do szefa wydziału, wysłałby mnie na badania psychiatryczne. - Kellog przerwał na chwilę, po czym dodał: - I może miałby rację. Może naprawdę oboje ześwirowaliśmy.

- Nathan, to było wczoraj u mnie w sypialni i było prawdziwe!

- Już dobrze, nie denerwuj się. Powiedziałem, że ci wierzę. Teraz musimy szybko wymyślić, jak cię wyciągnąć z tego pata. Albo przekonamy George'a Żelaznego Piechura, by wycofał swoje roszczenia, albo załatwimy Wendigo, albo... wymyślimy jeszcze coś innego.

- Bennie powiedział mi, że ma kopię aktu własności tej działki. Ta ziemia należała przedtem do rządu. Być może przekonamy kogoś w administracji federalnej, by zatrzymał zatwierdzenie budowy, a wtedy Kraussman zrezygnuje z tej ziemi.

- Nie jestem pewien, czy to zadziała. Masz tylko dziesięć godzin, a wiesz, jak to jest z urzędami. Wszystko trwa miesiące.

- Więc pozostaje nam tylko zniszczenie Wendigo.

- Na to wygląda. Ale żeby go zniszczyć, najpierw musimy go znaleźć albo wywabić. Musimy też wymyślić naprawdę skuteczny sposób złapania go. Pętla z kabla od wyciągarki zakopana w śniegu była niezłym pomysłem, ale powiedziałaś mi, że Wendigo jest niesamowicie szybki. Jeżeli nie uda nam się go od razu pochwycić, zrobi sobie z nas obiad.

- Przychodzi ci może coś do głowy? Kellog odkaslnął.

- Mamy w wydziale siatki obezwładniające. Są wyrzucane pod ciśnieniem i całkowicie unieruchamiają podejrzanego.

- Siatki? A czy wytrzymają?

- Myślę, że tak. Są ze specjalnych nylonowych włókien. Nie można ich przeciąć nożem.

Zerknął na zegarek na rękę, mimo iż przed nosem miał kuchenny zegar.

- Słuchaj, wracam na Washington Avenue po paru ludzi. Zgłoszę również zapotrzebowanie na broń ciężką.

- A co ja mam robić?

- Zostań w domu i wymyśl, jak wywabić Wendigo z lasu. Wstał i znów zakaszał.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo ci jestem wdzięczna - powiedziała Lily. - Nawet się nie domyślasz, jak strasznie się bałam, że mi nie uwierzysz.

- Sherlock Holmes mawiał: „Gdy wyeliminujemy już większość możliwości, wszystko, co pozostaje, musi być prawdą, nawet jeśli wydaje się nieprawdopodobne”.

Lily uśmiechnęła się do niego. Nadal się bała, lecz nareszcie czuła, że nie jest sama.

## **ROZDZIAŁ 17**

O wpół do pierwszej zrobiła dzieciom kanapki z masłem orzechowym i galaretką oraz naląła im po szklance mleka. Tasha czytała u siebie w pokoju, a Sammy ślizgał się przed domem razem z Joshem, swoim kumplem z naprzeciwka.

Lily wyjrzała przez frontowe drzwi, lecz nie dostrzegła nigdzie chłopców. Osloniła oczy przed blaskiem odbijającego się od lodu słońca i rozejrzała po ulicy. Widziała tylko starego pana Harkinsa, który odśnieżał swój samochód.

Wyszła ostrożnie w klapkach na chodnik, by zerknąć na drugą stronę ulicy, i zobaczyła coś, od czego z przerażenia zaschło jej w ustach.

Sammy stał na chodniku jakieś dwadzieścia metrów dalej, w niebieskim gorteksie i purpurowej wełnianej czapce. Rozmawiał z wysokim mężczyzną w czarnej skórzanej kurtce. Mężczyzna miał ciemne okulary, a na szyi nosił srebrne łańcuszki i pióra.

Był to George Żelazny Piechur.

Lily podkrađła się do nich i naskoczyła na Indianina:

- Co tu robisz, do cholery?

- Rozmawiam sobie z twoim synem - odparł George. - Czy jest w tym coś złego?

- Sammy, do domu - nakazała chłopcu Lily.

- Ale mammo...

- Do domu, powiedziałam! Natychmiast!

Sammy niechętnie ruszył w stronę domu i po chwili wszedł do środka.

- Ja tylko próbuję jakoś spędzić czas - mruknął George Żelazny Piechur i zdjął okulary. Miał kamienne spojrzenie.

- Trzymaj się z dala od moich dzieci. Nie dość ci bólu, jaki zadałeś mojej rodzinie?

- Lily, przepraszam, ale już wcześniej powiedziałem ci, że sama wprawiłaś to wszystko w ruch.

- Co ty tutaj robisz?

- Przyjechałem z wizytą. Chciałem sprawdzić, jak ci idzie. Zdobyłaś już akt własności czy jeszcze nie? Dostaniesz go przed zachodem słońca?

- Słuchaj no... - zaczęła Lily i nagle pomyślała: przecież Bennie ma kopię tego aktu własności w swoim biurze. I jeszcze coś: skoro już raz udało się Mdewekantonów wykiwać w sprawie ziemi, być może uda się znowu. W każdym razie na tyle czasu, by zyskać kilka chwil.

- Tak... - odparła. - Mam go.

- Nie słyszę przekonania w twoim głosie.

- Spokojna głowa, odbieram ten papier dziś po południu. George Żelazny Piechur był najwyraźniej pod wrażeniem.

- To wspaniale. Nie wiem co prawda, jak ci się udało to zrobić, ale bardzo się cieszę. Wiesz, że ani przez chwilę nie chciałem, by nasza umowa źle się skończyła.

- Ona już się źle skończyła. Czy oddasz mi Williama?

- Obiecuję ci to. Wiedz, że kiedy już coś obiecuję, zawsze dotrzymuję słowa.

- Czy nic mu nie jest?

- Ależ skąd. Tam, gdzie teraz jest, po prostu śpi.

- Jesteś skurwielem, George.

- Nie, Lily, nie jestem. Chcę to wszystko naprawić.

- Cofnięcie wszystkiego o dwieście lat niczego nie naprawi. Zabijanie niewinnych ludzi również niczego nie naprawi!

- Powiedz to trzydziestu ośmiu mdewakantońskim mężczyznom, powieszonym w Mankato. Powiedz to pięćdziesięciu pięciu kobietom i dzieciom, zastrzelonym pod Blood Hill.

Nagle po drugiej stronie ulicy Lily zauważyła srebrzysty rozbłysk. Gdyby nie знаła Wendigo, wzięłaby go za przypadkowy odbłask światła od karoserii przejeżdżającego samochodu. Potem zobaczyła, jak w miejscu rozbłysku wiruje śnieg, a do jej uszu dotarł cichuteńki syk.

- On tu jest - oświadczyła.

George Żelazny Piechur spojrział na drugą stronę ulicy.

- Tak - potwierdził. - Chce się upewnić, że dotrzymasz swojej części umowy.

- Gdzie się spotkamy? - zapytała Lily.

- Oczywiście nad jeziorem My stery. Przyjdź tam przed zachodem słońca, będę na ciebie czekał.

- A Wendigo?

- Powiedziałem już, że on chce się tylko upewnić, że dotrzymasz umowy.

Lily bez słowa odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Serce waliło jej z emocji, ale w głowie już układała wstępny plan działania. Najważniejszym jego elementem było to, co powiedział George: Wendigo będzie nad jeziorem podczas przekazywania aktu własności. Ziemia, na której zależało George'owi, wrzynała się w jezioro kilkumetrowej szerokości pasem. Wspólnie z Kellogiem mogli ustawić tam lustra w taki sposób, by uchwycić obraz ducha nawet wtedy, gdy stanie do nich bokiem.

Powodzenie planu zależało od zgrania w czasie, szybkości działania oraz większej ilości szczęścia, niż potrzeba, by sześć razy z rzędu wygrać w lotto. Mimo to Lily nie czuła się już bezsilna.

Tasha i Sammy siedzieli w kuchni, jedząc kanapki.

- Kim był ten pan? - zapytał Sammy. - Jest miły.

- On wcale nie jest miły. To człowiek, który wezwał dla mnie Wendigo. To on chce tej ziemi.

- Dla mnie był miły. Zapytał, czy wiem, kto tu mieszkał, zanim postawili domy.

- Aha. No i kto tu mieszkał?

- Lud Bobra. Powiedział, że to było dawno, dawno temu, gdy bobry umiały mówić i ludzie je rozumieli. Żyli ze sobą razem i wszyscy byli szczęśliwi.

- To tylko taka bajka, Sammy.

- Skąd wiesz?

Lily zawahała się przez chwilę.

- Właściwie to nie wiem. Może ten pan ma rację. Może bobry rzeczywiście potrafiły mówić. Może kiedyś były czasy, gdy wszyscy byli szczęśliwi.

\*\*\*

Bennie okręcił się w fotelu obrotowym.

- Lii! A to ci niespodzianka!

- Wpadłam, bo chciałam cię zobaczyć.

- Dobrze wyglądasz. A nawet wręcz rewelacyjnie! Włosy odrastają?

Lily przeczesła palcami blond szczotkę na głowie.

- Tak, ale bardzo wolno. Nie mogę się doczekać, kiedy da się kręcić loki.

- Chcesz kawy albo czegoś mocniejszego? Za dziesięć minut mam lunch, wybierzesz się ze mną?

- Dałabym się skusić, ale naprawdę nie mam czasu. Chcę tylko porozmawiać o jeziorze My stery.

- Lii... Strasznie mi przykro z tego powodu. Już myślałem, że wcale nie będziesz chciała ze mną gadać.

Usiadła naprzeciwko biurka Benniego.

- Nie wygłupiaj się. W końcu jesteśmy przyjaciółmi.

- Mam nadzieję, że będziemy nie tylko przyjaciółmi. Nie masz mi za złe, że tak sobie marzę?

- Skądże. Wracając do tego skrawka ziemi - Lily zmieniła temat - powiedziałaś, że kiedyś należał do rządu.

- Zgadza się. Sprawa jest dość skomplikowana, chodziło o Traktat Cesyjny z tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku... Z jakiegoś powodu ziemia na północno-zachodnim wybrzeżu jeziora należała do rządu federalnego aż do czasu, kiedy kupił ją Kraussman Development. Na pewno nie masz czasu na lunch? Chciałem iść do Pinga na kaczkę po seczuańsku.

- Bennie, przepraszam, ale nie mogę. Mam mnóstwo do roboty. Słuchaj, czy mogę zobaczyć ten akt własności? Pomyślałam sobie, że dobrze będzie o tym wspomnieć w materiałach reklamowych.

Bennie podszedł do szaf na akta.

- Wiesz, że brakuje nam ciebie w firmie? Jak tylko się pozbierasz po tej rodzinnej tragedii... będziemy bardzo szczęśliwi, kiedy do nas wrócisz.

- To bardzo miłe z twojej strony.

- Przecież wiesz, że nie chciałem cię zwolnić. Nie miałem po prostu innego wyjścia, gdy usłyszałem negatywne opinie naszych klientów. Ludzie nie mają za grosz współczucia, prawda?

- Oj, tak. Są bezduszni.

Bennie wyjął teczkę opisaną „Jezioro Mystery” i wyjął z niej kopię aktu własności.

- Proszę. To nic ciekawego. Po prostu stary akt własności ziemi.

- Ale i tak chcę o nim wspomnieć. Ludzie lubią znać historię miejsca, które kupili. Mogę go skopiować?

- Jasne. - Bennie sięgnął do interkomu. - Janice, mogłabyś tu przyjść? Zrobisz kopię dokumentu dla pani Blake? Dzięki.

Sekretarka poszła skopiować akt własności, a Bennie usiadł na biurku tuż przy Lily.

- Powiedz szczerze, co u ciebie? Jesteś piękna jak zawsze, ale wyglądasz na nieco spiętą.

- Rozumiesz chyba, że ostatnio nie było mi łatwo.

- Słuchaj, może... zaczniemy od początku? Z przyjemnością zaprosiłbym cię na kolację. Potem pojechalibyśmy do „Fine Line Cafe” na muzykę folkową. Uwielbiam folk. Założę się, że nic o tym nie wiedziałaś.

- No... raczej nie.

Bennie pochylił się i niezgrabnie pocałował ją w czoło.

- Pani Blake, pani na mnie niesamowicie działa - wyszeptał ochryple, przy okazji opluwając jej policzek.

\*\*\*

Wróciła do domu przed drugą po południu. Niecałe pięć minut później zjawił się agent Kellog. Przyjechał czarnym jeepem z przyciemnianymi szybami. Wóz nie miał tablic rejestracyjnych.

Wniósł do domu coś, co przypominało bardzo dużą czarną latarkę.

- To ta siatka? - spytała Lily.

- Tak. Uwierz mi lub nie, ale zrobiła ją firma GaGa Security z Korei. Trzymasz ją w ten sposób, o tak, obracasz zawleczkę, a potem naciskasz kolbę. Siatka rozwija się w powietrzu dzięki ciężarkom. Używałem tego dwa razy i za każdym razem byłem pod wrażeniem. Raz zatrzymałem podejrzanego, który miał dwa metry wzrostu, ważył ze sto pięćdziesiąt kilo i na dodatek wpadł w szal.

Lily pokazała mu szarą kopertę.

- A to jest kopia aktu własności, zdobyta dzięki uprzejmości Benniego Burgenheima z Nieruchomości „Concord”. Ależ z niego obrzydliwiec.

\*\*\*

Poprosiła swoją przyjaciółkę Ettie Lindborg, by do wieczora zajęła się Tashą i Sammym. Pomysł ten bardzo przypadł obojgu do gustu, bo Lindborgowie mieli dwa kucyki i pięć psów.

Odwiozła dzieci do ich domu, rezydencji w stylu rancho położonej nad brzegiem jeziora. Niedaleko domu znajdowały się pomalowane na biało stajnie i stodoła.

- O której nas odbierzesz? - zapytała Tasha.

- Jeszcze nie wiem, ale na pewno niezbyt późno.

- Tylko przyjedź po kolacji. Państwo Lindborgowie zawsze mają na kolację pieczonego kurczaka. Jest przepyszny - oświadczył Sammy.

- Nie wydaje mi się, żeby zawsze mieli kurczaka... No dobrze. Przyjadę po kolacji. Ale nie miejcie do mnie pretensji, jeśli akurat dziś podadzą zapiekane tuńczyka.

Po kolei mocno przytuliła dzieci, wdychając ich zapach - najpierw Sammy'ego, potem Tashę. Być może widziała je ostatni raz. Ta myśl była dla niej nie do zniesienia.

Dzieci ruszyły półkolistym podjazdem w stronę domu. Ettie otworzyła im drzwi, po czym pomachała Lily.

- Pa, mamó! - zawołał Sammy. - Do zobaczenia! Tasha również odwróciła się do niej, ale milczała. Zdawała sobie sprawę, że to popołudnie będzie wyjątkowe. Lily posłała jej buziaka i ze łzami w oczach wsiadła do samochodu.

\*\*\*

Resztę dnia Lily i Kellog spędzili na przygotowaniach. Lily zeskanowała akt własności i korzystając z komputera zmieniła daty zakupu oraz przepisała prawo własności z Kraussman Development, Inc. na George'a Żelaznego Piechura. Co prawda na końcowy efekt nie dałby się nabrać nawet najgorszy prawnik, ale przecież nie szła z tym dokumentem do notariusza. Chciała z jego pomocą zyskać choć kilka chwil na złapanie Wendigo.

Kellog zdjął duże lustro ze ściany w korytarzu i załadował je do rainera Lily. Przez dwa haczyki w ramie przeciągnął drut i przymocował je do klapy bagażnika w taki sposób, aby po jej otwarciu zawisło pionowo. Potem poszedł na górę do pokoju Lily i ze stojaka zabrał drugie lustro. Umocował je w bagażniku swojego jeepa.

Sprawdził, jak działa układ luster, parkując tyłem, prostopadle do bagażnika rainera. Lily wyszła z domu, by na to popatrzeć.



- Super - mruknął Kellog, przeglądając się w obu lustrach. - Będziemy widzieli go przez cały czas, bez względu na to, jak się do nas obróci. Wtedy wystrzelę siatkę, a ty pociągniesz ją za samochodem.

Lily chwyciła go za ramię.

- Nie uważasz, że to wariactwo? - zapytała.

- Pewnie, że tak. Ale jak inaczej mamy sobie poradzić z duchem, który przebywa jednocześnie w dwóch światach?

- Nie musisz tego robić. Nie chcę być odpowiedzialna za to, co może ci się stać.

- Lily... - Kellog spojrzał na nią swoimi dwukolorowymi oczami. - Strzelano do mnie. Dźgano nożem. Raz nawet pobito mnie rurą od rusztowania niemal na śmierć. Właśnie do tego typu niebezpiecznych zadań mnie szkolono. Takie mam zajęcie.

Słońce zaczęło znikać za wielką zielonkawoszarą chmurą. Popołudnie robiło się ponure i chłodne.

- Jest czwarta - powiedział Kellog. - O której chcesz wyruszyć?

- Od razu. Tam się jedzie przynajmniej ze czterdzieści minut.

- Dobra. No to zbierajmy się.

- Nathan...

- Nie ma już o czym gadać. Zaczekajmy z tym, aż to wszystko się skończy.

\*\*\*

Ruszyli na zachód szosą Olson Memoriał. Lily prowadziła, Kellog jechał za nią. Niebo robiło się coraz ciemniejsze, zaczął padać drobny, marznący deszcz. Gdy dotarli do zjazdu nad jezioro, padało już tak mocno, że Lily o mało nie przeoczyła znaku.

Droga nad jezioro Mystery pięła się w górę, wiodąc między paroma małymi jeziorami, a potem wchodziła w las. Kiedyś służyła do transportu wyciętych drzew. Ciągnęła się wśród gęstych sosen prosto jak strzelił przez jakieś dziesięć kilometrów. Na niektórych jej odcinkach drzewa rosły tak gęsto, że asfalt był suchy.

Zaćwierkał telefon Lily.

- Tutaj będziesz mogła się dobrze rozpedzić - odezwał się w słuchawce Kellog.

Lily była tak zdenerwowana, że musiała przeczyścić gardło porządnym chrząknięciem.

- Mam nadzieję - odpowiedziała.

W końcu droga zaczęła się wznosić, a drzewa zostały w tyle. Pod nimi, po lewej, ciągnęły się stalowoszare wody jeziora Mystery. Deszcz ze śniegiem padał ukosem, marszcząc lustro wody. O nadbrzeżne skały rozbijały się niewielkie fale z białymi grzywami.

Lily dostrzegła naturalną zatoczkę, nad którą miała powstać przystań. Po jej drugiej stronie widziała wąski pas ziemi, na którym Haokah objawił się Małemu Krukowi.

Na końcu wrzynającego się w wodę pasa ziemi stało subaru George'a Żelaznego Piechura. Jego światła pozycyjne błyszczały bursztynowo. Lily ruszyła drogą wokół zatoki, a potem zawróciła i wjechała na mierzeję na wstecznym, ustawiając się przodem do łądu. Kellog również zawrócił i stanął prostopadle do jej bagażnika.

- Wystarczy - powiedział przez telefon. - Doskonale. Nie zapomnij zostawić silnika na chodzie.

Lily wysiadła z samochodu, nie zamykając drzwi. Alarm popiskiwał monotennie. Wciągnęła kaptur i zapięła swoją granatową kurtkę po szyję. Kellog wysiadł z jeepa i pokazał Lily uniesiony kciuk.

Ze stojącego na krańcu mierzei subaru wysiadł George Żelazny Piechur. Z drugiej strony wysiadła Hazawin. Indianin miał na sobie czarny, długi do ziemi, lakierowany płaszcz, który łopotał donośnie na wietrze. Hazawin, jak zwykle, nosiła wyszywaną owczą skórę.

Lily zrobiła kilka kroków w ich kierunku i zatrzymała się. George Żelazny Piechur stał przez chwilę w miejscu, po czym zbliżył się. Hazawin szła tuż za nim.

- Kto to jest? - zapytał Indianin, wskazując Kelloga.

- To mój znajomy. Nie chciałam przyjeżdżać tu sama.

- W porządku. Mam nadzieję, że rozumie wagę tej historycznej chwili.

W tej samej chwili nad drugim brzegiem jeziora błysnęło i rozległ się niski pomruk grzmotu.

George Żelazny Piechur spojrzał w niebo.

- Uroczysta pogoda, jak przystało na uroczystą chwilę. Czy masz akt własności?

- Tak.

Indianin wyciągnął dłoń.

- Najpierw chcę Williama. Nie dostaniesz niczego, dopóki nie będę wiedziała, że nic mu nie jest.

- Nie ufasz mi? Przecież dałem ci swoje słowo. Przysięgałem jako Mdewekanton.

- Najpierw William, dopiero potem akt. George Żelazny Piechur zwrócił się do Hazawin:

- Sprowadźmy dziecko z powrotem.

Hazawin wyjęła ze swojej torby parę ludzkich kości udowych. Uniosła je i odchyliła do tyłu głowę. Znów zabłysło, tym razem bliżej, i po okolicy przetoczył się grom.

Hazawin odezwała się śpiewnym głosem:

- Wendigo, proszę cię, przyprowadź nam dziecko, które ukryłeś. Nasz honor jest uratowany. Dotrzymano obietnicy.

Uderzyła kośćmi o siebie w skomplikowanym staccato.

- Wendigo, złóż tipi czasu i przestrzeni. Przynieś nam dziecko, które zabrałeś na drugą stronę. Obudź je, wyprowadź z krainy snów i przynieś je nam.

Przez dobre pół minuty nic się nie działo. Ale po chwili Lily usłyszała narastający wysoki syk, a przy prawym ramieniu Hazawin dostrzegła drgające niespokojnie srebrzyste światło. Tworzyło tańczące i skaczące romboidalne wzory, które rozświetlały gęsto padający śnieg. Im bardziej syk narastał, tym wyraźniej Lily widziała zarysy Wendigo - wydłużoną, zdeformowaną twarz i ramiona jak u maskarona. Zrobiła krok w tył, potem dwa...

- Nie bój się, Lily - powiedział George Żelazny Piechur, uspokajająco unosząc dłoń. - Spłaciłaś to, co byłaś nam dłużna. Wendigo już cię nie skrzywdzi.

Przez ułamek sekundy Lily widziała go wyraźnie. Miał ludzką głowę, mocno zniekształconą - o szerokiej szczęce i wąskim czole - wyglądającą, jakby patrzył na nią gdzieś z wysoka. Gdy spojrzała Wendigo w twarz, nagle poczuła śmiertelny strach. Poczwała, czym są pustkowia i życie w lasach północy, gdzie zwierzęta umiały mówić, a ścieżki znikwały w gęstwinie i nic nie było tym, na co wyglądało. Poczwała strach człowieka, który znalazł się w świecie duchów.

- Wendigo - powiedziała Hazawin, klekocząc kośćmi. - Przynieś nam dziecko. Honor uratowany. Umowy dotrzymano.

Wendigo stanął bokiem i natychmiast zniknął. Lily widziała w tym miejscu tylko jezioro i śnieg. Znów rozbłysnął piorun i niebo nad ich głowami rozdarł grzmot. Lily skuliła się.

- Wendigo! Wendigo! - powtarzała Hazawin. Demon ponownie stanął do nich przodem. Trzymał na rękach małego Williama, jakby właśnie przyniósł go z jakiegoś pokoju. Malec miał na sobie ten sam sztruksowy kombinezon, który nosił, gdy Lily usiłowała wyciągnąć go z fotelika. Dziecko było bardzo blade. Miało zamknięte oczy, a jego nóżki i rączki zwisały bezwładnie.

- William! - krzyknęła Lily. - George, skurwielu jeden, coś ty mu zrobił?

- Nic - odparł Indianin. - Po prostu śpi. Podszedł do Wendigo i wziął dziecko z jego migotliwych rąk. W tej samej chwili chłopczyk otworzył oczy, rozejrzał się i wierzgnął.

- Proszę. - George Żelazny Piechur podał dziecko Lily.

- Boże mój... - Wzięła Williama i obejrzała go dokładnie. Malec patrzył na nią spod zmarszczonych brwi, ale był zbyt śpiący, żeby się rozbeczeć.

- Nic mu nie jest? - zapytał Kellog.

- Wszystko w porządku. Przynajmniej na to wygląda. Wsadzę go do samochodu.

Podeszła z Williamem do rainera i położyła dziecko na tylnym siedzeniu. Chłopczyk od razu ułożył się na boku i zaczął ssać kciuk. Nadal nie płakał, choć Lily wiedziała, że rozplakałby się, gdyby wiedział, co się stało z jego tatusem i mamą.

- A teraz poproszę o akt własności - powiedział George Żelazny Piechur, wyciągając dłoń.

Lily wyjęła z kieszeni szarą kopertę i wręczyła mu ją. Jednocześnie rzuciła szybko okiem w prawo, gdzie stał Wendigo. Odwrócił się do niej krawędzią, ale i tak dostrzegła słabą smugę światła. Spojrzała na Kelloga i skinęła głową na znak, że Wendigo nadal tam jest i że wie, gdzie mniej więcej stoi. Kellog odpowiedział niemal niedostrzegalnym potaknięciem.

George Żelazny Piechur otworzył kopertę i wyjął dokument. Rzucił na niego okiem i zapytał:

- Czy przekazanie ziemi odbyło się zgodnie z prawem?

- Jak najbardziej. Ta ziemia jest teraz twoja. Mam nadzieję, że wreszcie jesteś zadowolony.

- Nie musisz być taka zgryźliwa. To nie w twoim stylu, Lily.

- A co, może się mam cieszyć? Nieważne. Jedziemy. Mam nadzieję, że już nigdy się nie spotkamy.

W czasie ich rozmowy Hazawin wyciągnęła z torby niedużą żelazną miskę i położyła ją na kamieniach. Wyjęła mały skórzany worek, rozsznurowała go i wysypała z niego do miski coś, co wyglądało jak małe kawałki ciemnozielonego wosku.

- Możesz zostać i popatrzeć - odezwał się George Żelazny Piechur do Lily.

- Popatrzeć na co?

Indianin uniósł trzymany w dłoni dokument, który zafalował na wietrze.

- Nie rozumiesz? Musiałem mieć to do dzisiejszego wieczora, by wezwać Haokah. Nie mógłbym tego zrobić, gdyby ta ziemia nie należała do Mdewekantonów.

- Nie, nie rozumiem. Po co chcesz wezwać Haokah?

- Sprowadzimy go z wygnania. Żadne bóstwo nie może powrócić ze świata bogów do świata ludzi inaczej niż przez miejsce, które należy do jego wyznawców. Gdy przybyli biali, zabrali nam tyle ziemi, że na zawsze musiały odejść od nas dziesiątki bogów, w tym i Haokah, mimo swojej wielkiej mocy. Teraz ty, Lily, umożliwiłaś mu powrót.

Po kilku nieudanych próbach Hazawin udało się wreszcie podpalić ciemne grudki w żelaznej misce. Zapłonęły, dając gęsty, gryzący dym, pachnący sosnową żywicą. Hazawin wstała, ponownie wzięła kości i zaczęła szybko uderzać nimi o siebie.

- Haokah, boże krwi, boże łowów, usłysz, gdy cię wołamy! Kellog wysunął się do przodu i spytał George'a Żelaznego Piechura:

- Kim jest Haokah?

- Hazawin już to powiedziała. Jest bogiem łowów, bogiem pogoni i bogiem sprawiedliwej rzezi. Jest bogiem przeciwieństw. W lecie jest mu zimno, a zimą ciepło. Wojownicy Mdewakantonów zanurzali pięści we wrzątku, by poczuć, jak bardzo jest zimny. Tak samo, jak czuje to Haokah.

- I co chcecie osiągnąć, sprowadzając go tutaj?

- To chyba oczywiste, przyjacielu.

- Pewnie nie jestem specjalnie bystry, bo dla mnie nie jest to takie oczywiste.

Twarz George'a wyraźnie się zmieniła. Nadal była przystojna, lecz w jego oczach pojawiło się coś dzikiego. Poruszał nozdrzami jak drapieżnik, który czuje krew.

- Wzywamy Haokah, by pomścić wszystkich Mdewakantonów zamordowanych lub zagłodzonych przez białych. Pomścimy wszystkich. Każdego wojownika, myśliwego, każdą kobietę i każde dziecko. Dziś będzie noc największej zemsty w historii Siuksów. Haokah przejdzie przez wasze miasta, a wy nie zdołacie go powstrzymać. Będzie niczym straszliwy wiatr: zmiecie wasze domy, wyrwie z ziemi drogi i rozniesie setki ludzi na strzępy.

- Czy temu facetowi odbiło? - Kellog popatrzył niespokojnie na Lily.

- Chciałabym, żeby tak było - odparła Lily, kręcąc głową. - Nie sądzę. Przecież widziałeś Wendigo.

Hazawin znów zaklekotała kośćmi i zaczęła krążyć wokół żelaznej miski.

- Haokah, boże krwi, boże łowów, otworzyliśmy drogę dla ciebie! Haokah, o wielki, usłysz nas, gdy cię wzywamy!

- Mówisz, że to nie żarty? - upewnił się Kellog. Błysnęło, gdzieś za drzewami przetoczył się grzmot. Niemal w tej samej chwili wiatr ucichł, a deszcz ze śniegiem zaczął słabnąć. Drzewa przestały skrzypieć, powierzchnia jeziora się wygładziła. Lily miała wrażenie, że jezioro uspokoiło się w oczekiwaniu na nadejście czegoś ważnego.

- Haokah, Haokah! Usłysz nas, Haokah! Objaw się nam i daj nam zemstę, na którą czekaliśmy tak długo!

- Nathan, wynosimy się stąd.

Kiedy jednak zrobiła dwa kroki w stronę wozu, ziemia pod jej nogami gwałtownie zadrżała, jakby uderzona od spodu wielkim młotem. Potem nastąpił drugi wstrząs, a po nim kolejny. Małe kamienie wystrzeliwały w powietrze, większe gązdy pękały z hukiem.

- Haokah! - krzyczała Hazawin. - Haokah! Ten, który rozpacza w szczęściu i śmieje się w smutku! Ten, który czuje żar zimą i zimno w letnim słońcu! Ten, który sprawia, że zimna woda wre, ten, który zamraza parę! Haokah, usłysz nas!

Nastąpiły jeszcze trzy wstrząsy. Pierwszy podciął Lily nogi, dwa kolejne nadeszły, gdy zbierała się z ziemi. Na czworakach czekała na następny. Jednak nie nadszedł.

- Haokah! Haokah! Wysłuchaj nas! - wołała Hazawin. George Żelazny Piechur złapał ją za rękaw.

- Przestań! - krzyknął. - To na nic! Haokah nie może przejść! Wali do drzwi pomiędzy światami, ale nie może przejść!

Uniósł zaciśnięty w pięści akt własności.

- Lily! Powiedziałaś mi, że ten dokument jest prawomocny! Powiedziałaś, że ta ziemia jest moja! Haokah jednak nie może przejść, więc kłamałaś!

Hazawin wyrwała się George'owi. Patrzyła pustymi oczami na Lily i agenta Kelloga. Jej twarz wykrzywiła wściekłość.

- Już za późno! - wrzasnęła. - Miesiąc minie, a Haokah nadal będzie uwięziony!

Zaczęła wspinać się po skałach w stronę Lily i Kelloga tak szybko i zręcznie, że trudno było uwierzyć, iż nie widzi. Wyciągnęła przed siebie kości i zaczęła uderzać nimi o siebie.

- Zginiecie za to! Będziecie moją ofiarą dla Haokah! Wendigo rozerwie was na strzępy, pożre wasze ciała, a wasze dusze trafią do Haokah i będą mu wiecznie służyły!

Lily dostrzegła błysk światła obok Hazawin.

- Nathan! - krzyknęła ostrzegawczo.

Agent Kellog odwinął połę kurtki i wy dobył desert eagle - potężny pistolet automatyczny na naboje o średnicy pół cala.

- Stój! - krzyknął do Hazawin. - Mam w ręce bardzo dużą sfluwę i celuję ci prosto w głowę!

- Myślisz, że powstrzymasz Wendigo pistoletem? - zapytała Hazawin i splunęła pogardliwie na skały. - Nawet gdyby się dało, to jak trafisz w coś, czego nie widzisz?

George Żelazny Piechur ruszył w ich stronę.

- Lily, nawet nie wiesz, co narobiłaś - warknął.

- Ależ wiem, George, i uwierz mi, czuję się winna jak cholera. Co nie oznacza, że nie zostaniesz ukarany za to, co sam zrobiłeś.

- Lily, lubiłem cię. Lubiłem cię od naszego pierwszego spotkania. Teraz jednak będę musiał patrzeć, jak Wendigo rozrywa cię na kawałki... ciebie, twojego znajomego i twoje dzieci. Wendigo pożre całą twoją rodzinę.

- Wendigo! - zawołała Hazawin. - Wendiigo! - Podchodziła coraz bliżej, klekocząc kośćmi. Jej purpurowe oczy patrzyły w nicość.

Lily wycofała się do rainera, a Kellog w stronę swojego jeepa.

Hazawin odrzuciła głowę do tyłu i wydała z siebie długie zawodzenie, od którego Lily dostała gęsiej skórki.

- Wendigo! Możesz sobie wziąć tych ludzi! - krzyknęła Indianka. - Możesz ich pozabijać i pożreć ciała! Obietnicy nie dotrzymano! Muszą zapłacić za to oszustwo!

Lily usłyszała cichy syk ducha, ale nigdzie go nie dostrzegła. Widziała kątem oka tańczące świetlne wzory, lecz znikwały, gdy im się przyglądała. Oddychała coraz szybciej i po chwili poczuła zawroty głowy. Wiedziała, że duch jest gdzieś blisko. Bała się, że kiedy trzeba będzie działać, ręce i nogi jej nie posłuchają.

Zrobiło się bardzo cicho. Nie było słyhać nic oprócz syczenia Wendigo. Wiatr ucichł, jezioro było gładkie jak stół. Przeleciała nad nimi wrona, również bezgłośnie - nawet nie zatrzepotała skrzydłami.

- Wendigo! Bierz ich!! - wrzasnęła Hazawin tak wysokim głosem, że przypominał pisk zwierzęcia.

- Lily! - krzyknął Kellog. - Teraz!!!

## **ROZDZIAŁ 18**

Otworzyła bagażnik rainera. Kłapa uniosła się wraz z podczepionym lustrem. Kellog otworzył bagażnik swojego jeepa, również odsłaniając lustro, które tam ukrył. W obu lustrach, jak w dwóch oknach, ukazała się cała ich czwórka, stojąca nad jeziorem.

Lily widziała odbicie Hazawin, wrzeszczącej na nich, i George'a Żelaznego Piechura, stojącego nieco z tyłu w swoim w lakierowanym czarnym płaszczu, a za nim jezioro. Gdy przeniosła spojrzenie na odbicie swojego lustra w lustrze Kelloga, ujrzała Wendigo: wydłużoną postać z nieustannie mrugających świateł i splątanych cieni, o wąskiej owadziej głowie z jelenimi rogami. Duch wyciągał ramiona, by ją pochwycić, a jego błyszczące białe wargi odsłaniały zęby, które miały wgryźć się w jej głowę.

Lily odskoczyła do tyłu, uderzając biodrem o samochód.

Wszystko szlag trafił, pomyślała. Zaraz rozerwie mnie na strzępy. Zginę tu. Ze strachu wydała z siebie jedynie coś przypominającego szczeknięcie, jak foka, którą ktoś chce zatłuc na śmierć.

Zobaczyła, że kurtkę na jej prawym ramieniu rozcinają wielkie ząbkowane szczypce. Wokół lewego przedramienia zacisnęła się druga para.

W tej samej chwili usłyszała krzyk Kelloga:

- Lily!

Rozległ się ostry trzask rozprężającego się gazu.

Nad Lily rozpięła się czasza gęstej siatki i w sekundę później ujrzała, że na ziemi przed nią kłębią się wściekle w sieci świetlne rogi i szczypce. Wendigo miotał się szaleńczo. Syczał tak głośno, że Lily nie słyszała Kelloga, ale i tak wiedziała, co musi teraz zrobić. Pokuśtykała do otwartych drzwi samochodu i wskoczyła za kierownicę.

Agent podbiegł do jej bagażnika. Okręcił końce siatki na haku holowniczym i ścisnął je razem ciężką czarną rączką. Wendigo syczał, wrzeszczał i wściekle rzucał się na boki. Gdy wiercił się w sieci, częściowo znikał, a jego oblicze zmieniało się co kilka sekund: z ludzkiego w zwierzęce, potem w owadzie - jakby sprawdzał, która z jego postaci pozwoli mu się uwolnić.

Hazawin i George Żelazny Piechur już pędzili w ich stronę. Lily zobaczyła w lusterku, że Kellog celuje do nich ze swojego desert eagle'a. George zatrzymał się i złapał Hazawin za pasek jej torby. Agent zapukał pięścią w samochód Lily.

Wcisnęła do oporu pedał gazu. Rainer wystartował w fontannach śniegu i kamieni, wlokąc za sobą syczącego i miotającego się Wendigo.

Lily pędziła w górę wzgórze tak szybko, jak tylko mogła. Chciała dostać się z powrotem na drogę do zwózki drewna. Jak na dwuwymiarową istotę zbudowaną ze światła i cieni, Wendigo był nieprawdopodobnie ciężki i skrzynia biegów rainera wyła protestująco, gdy Lily zbliżała się do szczytu wzgórza, cały czas usiłując utrzymać prędkość sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Widziała w lusterkach, jak sieć z upiorem tańczy dziko na boki, i nagle ujrzała, że z siatki wyłania się pazur. Wendigo próbował ją rozedrzeć.

Leżący na tylnym siedzeniu William zaczął płakać.

- Chcę do mamy! Chcę do mamy!

- William, usiądź spokojnie, proszę cię! Niedługo dowiozę cię do domu!

Ale malec rozplakał się jeszcze głośniejsze i bardziej rozpaczliwie.

- Chcę do mamy!!! Chcę do mamy!!!



Lily dotarła do drogi przez las i znowu wcisnęła gaz do oporu. Przed nią było dziesięć kilometrów prostej jak strzełił drogi. Modliła się, by jej wystarczyło, żeby Wendigo się spalił.

Wskazówka prędkościomierza powoli wspinała się w górę. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę... w końcu Lily rozpędziła się do stu dwudziestu.

Po jakimś kilometrze wóz podskoczył i zwolnił do osiemdziesięciu. Lily spojrzała w lusterko. Siatka była teraz o wiele bliżej samochodu niż przedtem. Wendigo musiał złapać się liny mocującej ją do haka i powoli podciągał się coraz bliżej.

O Jezuu, pomyślała. A jeśli rozwiąże się i z niej wylezie?

Wóz znów podskoczył, tym razem mocniej, i zjechał na drugą stronę drogi. O okna załomotały gałęzie sosen. William szlochał tak histerycznie, że zaczął się dusić. Lily nie mogła mu teraz w żaden sposób pomóc.

Przejechała już trzy kilometry, potem czwarty. Wendigo wciąż szarpał wozem, a Lily walczyła z kierownicą, by nie wypaść z drogi. Sosny przysuwały się coraz bliżej, jakby chciały złapać ją za zderzak i lusterka. A może rzeczywiście tak było? W końcu Wendigo był duchem lasu, nie - on sam był lasem.

Piąty kilometr, szósty... Mimo nieustannych szarpnięć Wendigo, mimo bijących dziko o samochód gałęzi, utrzymywała prędkość między osiemdziesiątką a dziewięćdziesiątką. Spojrzała w lusterko i zdawało jej się, że widzi za sobą dym. Na początku dostrzegła tylko niewielką smugę, ale już po siódmym kilometrze dym zrobił się gęstszy i zbrązowiał.

- No dalej, gnoju - szeptała. - Płoń!

Pędziła przez las, ciągnąc w siatce Wendigo, buchającego dymem i wirującego kalejdoskopem świateł. Tuż przed dziewiątym kilometrem zobaczyła za samochodem płomienie. Wendigo zapalił się i włókł za sobą ogon ognia, od którego zapalały się gałęzie sosen.

Mimo płomieni, które go trawiły, wciąż szarpał siatką i kawałek po kawałku podciągał się coraz bliżej bagażnika. Lily widziała w lusterkach ogień, lecz w płomieniach dojrzała także gorejące rogi i pazury.

Nie wiedziała, co robić, pędziła więc dalej. Shooks mówił, że Wendigo spala się na popiół, nie powiedział tylko, ile czasu to trwa.

Zbliżała się do końca drogi, niedługo będzie musiała wyjechać na szosę. Trzymała gaz dociśnięty do podłogi, ale mimo to czuła, jak Wendigo podciąga się coraz bliżej zderzaka.

Zerknęła do tyłu, by sprawdzić, czy William się nie dusi, i zauważyła, że coś biegnie obok samochodu. Przez chwilę myślała, że to tylko cień albo odbicie jej kurtki w szybie, lecz kiedy przyjrzała się uważniej, zobaczyła, że to zwierzę.

Obok rainera biegł wielki podpalany wilk. Biegł tak szybko, że zrównał się z wozem.

Spojrzała na prawo. Biegł tam drugi wilk, smukły, szary, jego żółte oczy błyszczały groźnie. W mroku między sosnami pędziło więcej zwierząt - większość na czterech łapach, ale część na zadnich.

Rainerem zarzuciło, najpierw w lewo, potem w prawo. Podpalany wilk skoczył na terenówkę. Zobaczyła jego płonące oczy i obnażone zęby tuż przy szybie. Pazury zwierzęcia zaskrobały w drzwi. Szary wilk również skoczył na wóz i odbił się od prawej strony rainera.

Samochód zatrzęsł się cały. Lily usłyszała z tyłu skrzypienie i drapanie o metal. To Wendigo podciągnął się już do zderzaka i włąził na klapę bagażnika, sycząc niczym kocioł parowy tuż przed wybuchem. Lily słyszała szum trawiących go płomieni, podsycanych pędem powietrza.

Wendigo płonął, gdyby jednak dał radę zmiażdżyć terenówkę Lily, podobnie jak explorera Agnes i Neda, nie tylko zostałyby zgniecione wraz z Williamem, ale jeszcze oboje by się usmażyli. Lily ze strachu zaczęła tak szybko oddychać, że świszczało jej w płucach jak astmatykowi.

Rainerem znów tak zatrzęsło, że aż łupnęło coś w zawieszaniu. Opony z wizgiem darły nawierzchnię. Wendigo wspiał się po klapie i Lily widziała, jak próbuje złapać się płonącymi szczypcami za relingi na dachu. Wilki po obu stronach samochodu biegnęły coraz bliżej. Nie wiedziała, ile ich dokładnie jest, ale na pewno dziesiątki.

Dziesiątki wilków. Albo czarownic.

Przed sobą zobaczyła światła. Miała nadzieję, że wilki nie będą jej ściagały na szosie. Przyciskała gaz do dechy i krzyczała:

- No, dalej! Dalej!

William zawtórował jej wrzaskiem.

W ostatniej chwili zrozumiała, że to nie autostrada. Przed nią, blokując całą drogę, stał wielki kampobus winnebago. Miał włączone światła awaryjne. Lily walnęła pięścią w klakson, choć wiedziała, że kampobus nie zjedzie z drogi. Ujrzała przerażonego mężczyznę, który klęczał na asfalcie i zmieniał koło. Obok kampobusu dostrzegła jeszcze kobietę, która patrzyła w jej stronę, osłaniając oczy przed blaskiem.

Wbiła hamulec w podłogę i do oporu zakreśliła kierownicą. Rainer wpadł w poślizg i obrócił się tyłem do kierunku jazdy. Opony zawyły rozpaczliwym chórem. Lily usłyszała

straszliwy łomot - to płonący Wendigo spadł z samochodu i huknął o asfalt. Sekundę później poczuła, jak znów szarpie siatką.

Wrzuciła wsteczny, dodała gazu i ruszyła do tyłu; skrzynia biegów zaprotestowała z piskiem podobnym do kwiku oszalałego konia. Lily walnęła samochodem w Wendigo i powlokła go, uczeponego zderzaka. Upiór bił dziko płonącymi szponami, jego ciało z głośnym szuraniem sunęło po asfalcie. Rainer uderzył w tył winnebaggo z prędkością prawie czterdziestu kilometrów na godzinę.

Lily słyszała, że mężczyzna przy wozie krzyczy coś do niej, ale zignorowała go. Przełączyła na jazdę do przodu i dodała gazu, jednak po około trzydziestu metrach zatrzymała się gwałtownie. Ponownie wrzuciła wsteczny, ruszyła tyłem i znów wbiła Wendigo w karpobus.

Ruszyła do przodu i obejrzała się za siebie. Na całej drodze i pod winnebaggo płonęły szczątki Wendigo.

- Kurwa mać! Kurwa twoja mać! - darł się mężczyzna przy karpobusie. - Co ja, do kurwy nędzy, pani zrobiłem!?

Do rainera podbiegły wilki i zaczęły skakać na jego boki. Para z winnebaggo natychmiast uciekła, znikając w ciemności.

Wilki skakały wokół samochodu, część z nich poruszała się na zadnich łapach, obchodząc go niezgrabnym krokiem. Wielki podpalany wilk podszedł do okna kierowcy i obnażył zęby. Jego oddech zasnuwał szybę mgiełką. Lily usłyszała, jak coś szarpie za klamki drzwi, i pomyślała, że musi wynieść się stąd jak najszybciej.

Przygazowała i rainer popędził w stronę jeziora Mystery. Bez Wendigo na holu poruszał się znacznie szybciej. Lily rozejrzała się na boki. Wilki miały coraz większy problem z utrzymaniem tempa. Po pięciu kilometrach przy samochodzie biegł już tylko podpalany wilk, ale i on zaczynał odpadać. Przez jakiś kilometr widziała jego żółte ślepie w lusterku, aż wreszcie pochłonęła je ciemność.

\*\*\*

Przejechała jeszcze półtora kilometra. Mały William łkał tak żałośnie, że w końcu stanęła na poboczu. Wzięła chłopca z tylnego siedzenia i przytuliła. William zsiusiał się i cały dygotał.

- No już, już - powiedziała uspokajająco. - Już dobrze. Wszystko w porządku. Zamieszkamy razem i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Chciałbyś mieszkać z ciocią Lily, Tashą i Sammym? Fajnie by było, co?

Była wykończona i poobijana, ale cieszyła ją myśl, że uratowała siebie i swoje dzieci przed Wendigo. Z ducha pewnie zostały już tylko popioły. Ci nieboracy z winnebago nigdy się nie dowiedzą, co im się przydarzyło.

Po chwili William ucichł, więc przypięła go w fotelu pasażera. Spróbowała dodzwonić się do Kelloga, ale nie miała zasięgu. Musiała pojechać nad jezioro Mystery, żeby sprawdzić, co się z nim dzieje. Miała nadzieję, że George Żelazny Piechur nie zrobił mu krzywdy. Agent co prawda był uzbrojony, ale Hazawin miała do dyspozycji całą moc lasu i żyjące w nim duchy.

Włączyła silnik i powiedziała do Williama:

- To co, mały, poszukamy wujka Nathana?

Ruszyła z pobocza i w tej samej chwili dostrzegła, że z mroku wypada czarny kształt. To był podpalany wilk. Wskoczył na maskę samochodu z okropnym łomotem, drapiąc pazurami o metal.

Lily gwałtownie skręciła kierownicą, próbując go zrzucić. Zwykły wilk nie utrzymałby się na masce, lecz ten chwycił się jej krawędzi ludzkimi dłońmi i patrzył na Lily przez szybę ze straszliwą wściekłością. Miał ludzką twarz. Był to George Żelazny Piechur. Jego płaszcz z lakierowanej skóry łopotał od pędu powietrza jak płaszcz wampira.

Lily usiłowała go strząsnąć z samochodu, ale trzymał się mocno. Walił pięścią w przednią szybę, jego ciężkie srebrne pierścionki trzaskały o szkło. Coś krzyczał, ale Lily nie mogła zrozumieć, co wywrzaskuje.

Próbowała go zrzucić przez parę kilometrów, lecz George wciąż leżał na masce i walił pięścią w szybę. Zahamowała gwałtownie i przyśpieszyła. Mimo to Indianin nie spadł.

-...zabiję cię! - darł się.

Jechała dalej. Wiedziała, że kiedy dotrze do jeziora, nie będzie miała gdzie uciekać. Tam droga się kończyła.

Gdy drzewa na poboczu zaczęły rzednąć, zobaczyła przed sobą dwa białe światła. W jej stronę jechał samochód. To był Nathan.

Lily wyłączyła światła. Nie wiedziała, czy George Żelazny Piechur domyślił się, co zamierza zrobić. Indianin sięgnął pod płaszcz i wyjął wielki nóż z ciężką rękojeścią. Zaczął walić nim w szybę jak szalony. W końcu szkło pękło na całej szerokości i po kolejnym uderzeniu pokryło się drobną siateczką, zasłaniającą Lily widok na drogę. Widziała tylko ciemną sylwetkę George'a i zbliżające się światła jeepa Nathana.

- William, niech Bóg ma nas w swojej opiece - powiedziała i skierowała się prosto na samochód agenta.

\*\*\*

Wydawało jej się, że chwila dzieląca ją od zderzenia rozciągnęła się w nieskończoność, choć wszystko trwało nie dłużej niż parę sekund. Szybę wypełniło oślepiające światło, po czym przed twarzą Lily wybuchła poduszka powietrzna. Nie usłyszała niczego, później też nie mogła przypomnieć sobie ani jednego dźwięku. Pamiętała tylko, że rzuciło ją gwałtownie do tyłu, a potem do przodu, tak samo jak potrząsał nią Jeff, gdy był pijany i wściekły.

Zapadła cisza, przerywana miarowym pykaniem stygnącego metalu. Lily spojrzała na Williama.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Chłopczyk popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami i pokiwał główką. Był w takim szoku, że zaniemówił.

Lily wciąż jeszcze siedziała za kierownicą, gdy ktoś z głośnym skrzypieniem otworzył drzwi. Uniosła rękę, gotowa się bronić, ale stwierdziła, że to Kellog.

- Nic ci się nie stało?

- Boli mnie tylko nos.

- A co z małym?

- Nic mu nie jest.

- Proszę - Kellog podał jej rękę. - Pomogę wam. Udało ci się z Wendigo?

- Przez moment było ciężko, ale w końcu się udało. Spłonął drań.

- Siatka wytrzymała?

- Wytrzymała. Przy okazji rozwaliłam chyba jakiemuś biedakowi kampobus. Ale siatka wytrzymała.

- Wspaniale. Tak bardzo się cieszę, że cię widzę. Lily na sztywnych nogach wysiadła z samochodu i wyjęła z niego Williama.

- A George Żelazny Piechur?

- Słucham?

- George Żelazny Piechur. Siedział na masce rainera. Nie mogłam go zrzucić.

Kellog w milczeniu wskazał szczipione ze sobą pojazdy. Zderzyła się czołowo z jego jeepem. Musiał jednak zdążyć zahamować, bo zniszczenia były mniejsze, niż sądziła - tylko zgięta maska i urwany przedni zderzak.

Między osłoną rainera i maskownicą jeepa tkwiło ciało wielkiego podpalanego wilka. Głową celował w niebo, miał wytrzeszczone oczy, zakrwawiony język zwisał mu z paszczy. Jego klatka piersiowa była zupełnie sprasowana.

- Nie wiem, jak to się stało - mruknął Kellog. - Musiał chyba stać na środku drogi...

Lily przytuliła Williama, by nie widział martwego zwierzęcia.

- To George Żelazny Piechur - powiedziała chrapliwie. Kellog spojrzał na nią sceptycznie.

- Zniknął z tą Indianką zaraz po tobie. Nie wiem, w jaki sposób to zrobili. Obejrzałem się, by popatrzeć, jak odjeżdżasz, a potem już ich nie było. Jakby wyparowali.

Lily zadrżała.

- Mógłbyś zabrać nas do domu? Bóg jeden wie, w jakim stanie psychicznym jest William.

- Jasne. Słuchaj, powinniśmy o tym pogadać. Jutro, jeśli możesz. Będę musiał jakoś to wszystko rozsądnie wytłumaczyć.

Podszedł do jeepa, sięgnął do środka i włączył silnik. Potem pomógł Lily wsiąść z przodu.

- Zawsze możemy powiedzieć prawdę - stwierdziła Lily.

Kellog wsunął się za kierownicę i wycofał wóz. Wilk trwał przez chwilę w pionie, celując nosem w niebo. Po chwili odpadł i z futrem pokrytym krwią wyglądał już jak każde przejechane na drodze zwierzę.

- Prawdę? - spytał Kellog, gdy wracali drogą do zwózki drewna. Powietrze pachniało dymem i płonąca sośniną. - Z własnego doświadczenia wiem, że nikt nie chce słuchać prawdy. Ludzie chcą słyszeć tylko to, co im odpowiada.

\*\*\*

Następny dzień był pierwszym dniem Miesiąca Wschodzących Czerwonych Traw. Było pochmurno, ale o wiele cieplej niż wczoraj. Śnieg się topił, z dachu ściekała woda. Lily pozwoliła Tashy spać do późna. William za to obudził się bardzo wcześnie i zażądał śniadania.

- Gdzie mama? - zapytał. - Kiedy przyjdzie?

- Już niedługo, kochanie.

Jak miała mu wytłumaczyć, że już nigdy nie zobaczy taty i mamy? Nawet nie potrafił pojąć, czym jest Niebo.

Wkrótce zeszli na dół Tasha z Sammym i zaczęli zabawiać Williama, aż w końcu doprowadzili go do śmiechu. Lily obserwowała ich igraszki znad kubka bezkofeinowej kawy. Intrygowało ją, gdzie tak naprawdę był William po porwaniu przez Wendigo. George Żelazny Piechur powiedział jej, że spał i śnił. No dobrze, tylko gdzie? Widziała Wendigo, ale nie

umiała wyobrazić sobie innej rzeczywistości, czy pod nogami, czy tuż obok, a najgorsze było to przenikanie z jednej do drugiej - równie łatwe jak przejście z pokoju do pokoju.

Tuż po jedenastej przybył agent Kellog. Miał na sobie brązową sportową marynarkę ze sztruksu i czarny golf. Wyglądał na wypoczętego i rześkiego, ale efekt psuł wielki fioletowy siniak na lewym policzku.

- Jak się masz? - zapytał od progu.

- Dobrze. Na pewno lepiej. Spokojniej. A ty?

- W sumie też nieźle. Musiałem powiedzieć, że podejrzewaliśmy George'a Żelaznego Piechura o udział w porwaniu małego Williama. Policja i ludzie z opieki społecznej zamierzają z tobą porozmawiać na ten temat, ale oświadczyłem, że po bohatersku pomogłaś FBI, więc nie powinni robić ci żadnych problemów. - Uśmiechnął się i dodał: - W końcu to prawda. Byłaś niesamowita.

- O mało nie umarłam ze strachu.

- I to właśnie czyni z nas bohaterów. Lily usiadła obok niego na kanapie.

- Nadal nie chce mi się wierzyć, że to wszystko miało miejsce.

- W to akurat bym nie wątpił. Pojechałem z powrotem nad jezioro i zleciłem odholowanie twojego SUV-a. Samochód George'a też zabrali. Porozmawiałem również z ludźmi, którym skasowałaś kempobus. Na szczęście nie mają pojęcia, co widzieli. Myśleli, że po prostu zapalił ci się samochód i spanikowałaś.

- A co z Wendigo? Były po nim jakieś ślady?

- Widziałem tylko popiół, no i resztki mojej siatki.

- Co z wilkiem?

- Nie znalazłem go. Pewnie jakiś drapieżnik zrobi sobie z niego późną kolację.

- Nathan, przysięgam, to był George Żelazny Piechur.

On potrafił zmieniać postać. Nie wiem jak, może używał hipnozy, ale umiał to robić.

- Hmm... No nic, po południu jadę do Doliny Czarnych Kruków, do jego domu. Jeżeli George Żelazny Piechur siedzi tam cały i zdrowy, to wszystko się wyjaśni. A jeśli go nie będzie... Cóż, wtedy kto wie? Może i był wilkiem.

- Przedstawisz mu zarzuty, jeśli jednak będzie w domu?

- Jakie niby zarzuty? O wezwanie na pomoc indiańskiego ducha drzew?

- Nathan, przecież on chciał nas zabić! Kellog ujął jej dłoń i uściśnął uspokajająco.

- Lily, przecież wiem o tym. Ale nawet jeżeli przeżył, to nie sądzę, by znów chciał ci coś zrobić. Myślę, że wyrównaliście rachunki.

- Mam nadzieję.

- A co będzie z tobą? Myślałaś już, co będziesz robiła po tym wszystkim?

Lily wzruszyła ramionami i odparła:

- Nie mam pojęcia. Na początku muszę zaopiekować się Williamem. Pewnie będę musiała zająć się również jego siostrą i bratem.

- Cholera, będziesz miała istną *Pełną chatę*.

- Oj, wiem. Chciałam tylko odzyskać dwójkę dzieci, a zanosi się na to, że będę miała piątkę.

- Hmm... myślę, że mogę ci w tym pomóc. Sam miałem sześcioro rodzeństwa. Wiem wszystko o opiece nad małymi dziećmi.

- Wspaniale, Nathan! Z radością przyjmuję twoją propozycję.

\*\*\*

Wieczorem, gdy już położyła Williama, a jej dzieci same poszły spać, naląła sobie duży kieliszek czerwonego wina, wyciągnęła stopy w stronę kominka i nastawiła *Bezsenność w Seattle*. Nie wiadomo czemu nigdy przedtem nie oglądała tego filmu, a dziś naszała ją ochota na coś zabawnego i romantycznego.

Miała wrażenie, że całe jej życie stanęło na głowie. Nie dlatego, że straciła Neda i Agnes, że zginął również Jeff i widziała śmierć Shooksa. Nie potrafiła już patrzeć na rzeczywistość jak kiedyś. Odtąd będzie żyła ze świadomością, że istnieje inny kraj niż ten, znacznie starszy, kraj, w którym mieszkają duchy, cudotwórcy i zwierzęta potrafiące zmieniać swoją postać. Świat, który jest obok niej, ale którego nigdy nie będzie mogła dojrzeć, bo zawsze będzie zwrócony do niej krawędzią.

Stłumiła ziewnięcie. Musi się wreszcie porządnie wyspać, tego jej teraz najbardziej potrzeba. Gdy podnosiła się z krzesła, usłyszała delikatne szczęknięcie, jakby ktoś otwierał frontowe drzwi.

Wstała, wyłączyła telewizor i zaczęła nasłuchiwać, ale nie usłyszała nic więcej. Doszła do wniosku, że chyba się przesłyszała. Śnieg topił się o tej porze roku bardzo szybko, więc w domu ciągle słychać było trzaski, skrzypienie i szuranie. Mimo to postanowiła zamknąć na noc drzwi na łańcuch i zasuwę oraz włączyć alarm.

Wyszła na korytarz, nadal nasłuchując. Odniosła wrażenie, że ktoś jest obok niej, patrzy na nią i stara się jak najciszej oddychać.

- Tasha? - zawołała. - Sammy?

Dzieci nie odpowiedziały. Lily wzruszyła ramionami i podeszła do frontowych drzwi. Z poirytowaniem stwierdziła, że nie są dokładnie zamknięte. Ech, te dzieciaki, pomyślała.



Wchodzą i wychodzą z domu co pięć minut i nigdy nie zamykają drzwi... Już chciała podejść, by je zamknąć, gdy nagle wszystkie światła w domu zgasły.

Odwróciła się, czując, że dostaje gęsiej skórki.

- Kto tam? - rzuciła w przestrzeń.

Odpowiedziała jej cisza.

- Ostrzegam, że ten dom ma alarm podłączony do komisariatu i wystarczy, że wcisnę jeden przycisk...

Jej oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności i po chwili zobaczyła, że w drzwiach kuchni ktoś stoi. Była to wysoka, ciemna postać, która miała na głowie coś na kształt rogów jelenia. Stała zupełnie nieruchomo, nie odzywając się.

- Kim jesteś? - zapytała Lily. - Wynoś się z mojego domu, ale już!

Postać ruszyła w jej stronę, po czym przemówiła z twardym akcentem z Minnesoty:

- Nie pamięta mnie pani, pani Blake? A szkoda. Musimy doprowadzić do końca pewną sprawę.

- Zjeżdżaj z mojego domu! - zażądała Lily. - Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj!

Postać zbliżyła się.

- Nie wiem, jak uniknęła pani boskiej zemsty, która się pani należy, ale gdy tylko się dowiedziałem, że pani żyje, bardzo się zdenerwowałem. Zwłaszcza gdy się okazało, że rzeczywiście jest pani czarownicą. To, co pani zrobiła z moim przyjacielem, z moim biurem i ze swoim byłym mężem, to jakieś cholerne czary. Na szczęście nadal mam klucz, który pani były mąż mi wtedy dał.

- Victor Quinn! - zawołała Lily. - Ty... parszywa kreaturo!

- Parszywa kreaturo? Oj, ja też coś pani powiem: pani jest pomiotem samego Szatana. Już ja dopilnuję, by nigdy więcej nie mogła pani nikogo zniszczyć tak jak tych dwóch niewinnych mężczyzn, którzy zawinili jedynie tym, że chcieli odzyskać własne dzieci, z ich własnej krwi i kości! Teraz też będą krew i kości, i to pani, pani Blake.

Lily zrobiła krok w stronę pokoju, po czym rzuciła się do centralki alarmu, wiszącej na ścianie przy drzwiach. Quinn był jednak szybszy - złapał ją za nadgarstek w chwili, gdy już miała nacisnąć guzik wzywania pomocy, i wykręcił jej rękę za plecy tak mocno, że znalazła się między łopatkami. Drugą ręką zakrył jej usta i przytrzymał za szczękę. Lily poczuła ten sam zapach papierosów i zastarzałego potu co poprzednim razem.

- Odzyskała pani dzieci, nie? Tyle że dzięki czarom. A teraz osieroci je pani, i to z własnej winy.

Lily szarpała się i kopała. Próbowwała ugryźć go w dłoń, ale Quinn zawlókł ją do kuchni i posadził na krześle. Z kieszeni wyjął czarny materiał i zakneblował Lily, wiążąc mocno końce knebla na dwa węzły. Potem wydobył dwa wojskowe parciane pasy z mosiężnymi sprzączkami. Jednym skrępował jej ręce, drugim kostki.

Nie, to się nie dzieje naprawdę, pomyślała Lily. Ten koszmar nie może się powtórzyć. Zabiłam Wendigo i mam umrzeć w taki sposób?

Quinn włączył światło. Tym razem nawet nie zasłonił się przezroczystą maską i Lily zobaczyła płaską, ziemistą twarz o bladoniebieskich oczkach i kartoflowatym nosie. Diable rogi na głowie intruza okazały się zwykłymi gałęziami, przymocowanymi taśmą klejącą.

Jesteś taki nijaki, skostatowała Lily. Mogłabym cię setki razy minąć na ulicy i nigdy nie zwrócić na ciebie uwagi.

Quinn wyciągnął spod kuchennego stołu czerwony plastikowy kanister.

- Tym razem zrobimy to jak trzeba - oświadczył. - Tym razem dopilnujemy, żebyś płonęła tak długo, aż zostanie z ciebie popiół.

Otworzył kanister i bez ceregieli oblał benzyną głowę Lily. Zapiekły ją oczy. Smród był tak straszny, że o mało nie zwymiotowała w knebel.

Mężczyzna wyjął plastikową zapalniczkę i zapalił ją.

- Od czego życzy sobie pani zacząć? Od stóp czy od głowy? A może od czubka nosa? Lily mogła tylko mocować się z pasami i warczeć na Quinna. Boże, w domu są dzieci. Zabij mnie, ale na litość boską, pomyśl o nich!

- Myślę, że najlepiej podpalić włosy. Wtedy zapłoniesz jak świeczka.

Wyciągnął rękę z zapaloną zapalniczką w jej stronę i podkasał rękaw płaszcza, by go nie przypalić.

Boże, żeby tylko nie bolało za bardzo.

W tym momencie rozległ się ogłuszający huk. Quinn poleciał na bok, jakby ktoś złapał go za kołnierz i cisnął na ziemię. Upadł za stół. Lily widziała tylko jego podrygujące stopy.

Do kuchni wszedł Kellog, trzymając oburącz desert eagle. Podeszedł do Quinna i przyjrzał mu się, po czym schował broń i wrócił do Lily. Ściągnął jej knebel, rozpiął pasy i pomógł wstać.

- Nie żyje? - zapytała Lily. Nie chciała oglądać ciała Quinna.

- Raczej nie, chyba że potrafi żyć bez połowy głowy.

- To Victor Quinn. Ten człowiek z FLAME... Już raz próbował spalić mnie żywcem.

- No to dostał wreszcie za swoje.

- Jakim cudem... O Boże, dzięki, że jesteś.

- Przyjechałem, by ci powiedzieć, gdzie jest twój samochód, oraz wyjaśnić kilka rzeczy. Zobaczyłem, że drzwi są otwarte, a wiem, jakiego masz hopla na punkcie alarmów. No dobra, chodźmy stąd. Musisz zmyć z siebie benzynę.

Lily tak bardzo się trzęsła, że Kellog niemal wniósł ją po schodach na piętro. Gdy doszli do połowy, z pokoju wyszła Tasha w pasiastej różowej piżamce.

- Mamo? Co się stało? Usłyszałam straszny huk!

W tym momencie drzwi swojego pokoju otworzył Sammy i również wyszedł na korytarz.

- Ja też słyszałem ten huk! Mamo, ty śmierdzisz! Śmierdzisz benzyną! Co się stało?

Lily wspięła się na podest.

- Wiecie co? Wezmę prysznic i przebiorę się. Stało się coś okropnego i proszę, żebyście nie schodzili na dół. Obiecuję jednak, że już nic więcej okropnego się nie przydarzy. Teraz jesteśmy bezpieczni.

Spojrzała na Kelloga.

- Mama ma rację - potwierdził agent. - Muszę teraz zadzwonić w parę miejsc, ale potem przyjdę zobaczyć, czy nic wam nie jest.

Lily poszła do łazienki i ściągnęła z siebie sweter i spodnie, mokre od benzyny. Sięgnęła do kabiny, by puścić wodę. Przy okazji rzuciła okiem w lustro nad umywalką, to samo, w którym ujrzała Wendigo.

Nie uśmiechała się. Jej twarz była jak z kamienia.

\*\*\*

Wcześniej nad ranem, gdy było jeszcze ciemno, nagle usiadła na łóżku. Coś ją obudziło, ale nie wiedziała co. Siedziała i nasłuchiwała przez długą chwilę.

I wtedy gdzieś niedaleko usłyszała upiorne wycie wilka.